

Grey Scale #13



Part Code
SF1316

DANES
-PICTA
.COM

A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19

ROMAN RYBARSKI

PRZYSZŁOŚĆ
GOSPODARCZA
POLSKI

WARSZAWA—1933



ROMAN RYBARSKI

PRZYSZŁOŚĆ
GOSPODARCZA
POLSKI

WARSZAWA—1933

PRZYSZŁOŚĆ GOSPODARCZA
POLSKI

THE UNIVERSITY OF CHICAGO
LIBRARY

ROMAN RYBARSKI

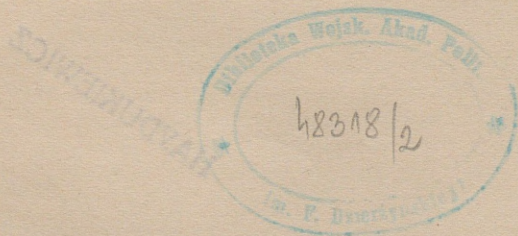
PRZYSZŁOŚĆ
GOSPODARCZA
POLSKI

HAYDUKIEWICZ

WARSZAWA—1933

ROMAN TYBARSKI

PRZYSTĘP
GOSPODARSTWA
POLSKI



ROZDZIAŁ I.

PRZESŁANKI I ZASADNICZE FAKTY.

1. Wydana w początkach 1932 r. praca piszącego te słowa p. t. „Przyszłość gospodarcza świata”, zawiera konkluzję, że byt gospodarczy narodów, ich rozwój i upadek, w bardzo znacznym stopniu zależy od nich samych. Książka ta kończy się temi słowami: „Rzecz jasna, że losy gospodarstwa narodowego będą i nadal zależały od tego, co się będzie działo w całym świecie. Ale w dzisiejszym układzie międzynarodowych stosunków nie można niczego budować na tym piasku, trzeba we własnym gospodarstwie narodowym rozwinąć organy jego samodzielnego życia, w niem szukać zabezpieczenia od niepewności losów świata. I w tych warunkach nabiera większego znaczenia świadoma wola kształtowania przyszłości. Zagadnienie, jaki ustrój gospodarczy wybiorą sobie różne narody, zdecyduje o ich bycie. Mimo wielkiej zależności od zewnętrznych wydarzeń, ostateczne rozstrzygnięcia o przyszłości gospodarczej narodu nie zależą od światowej koniunktury, lecz od kierunku i wartości polityki gospodarstwa narodowego”.

Wniosek ten jest punktem wyjścia obecnej pracy, poświęconej „Przyszłości gospodarczej Polski”. Autor jej zajmuje się nie tyle przewidywaniem, jaka będzie ta przyszłość, ile określeniem, jaka ona być może, względnie jaką być powinna. Pragnie w ogólnych, niekiedy bardzo grubych rysach, dać obraz naszego gospodarstwa w najrozmaitszych jego dziedzinach i na tej podstawie wy-

znaczyć linię przyszłej ewolucji, w związku z całą polityką gospodarczą narodu i państwa. Autor zdaje sobie sprawę z faktu, że nie wszystko da się opanować świadomą wolą. Dalekim jest od romantyzmu gospodarczego, od stosowania, przynajmniej w tej dziedzinie, zasady: „mierz siły na zamiary, nie zamiary według sił”. Okazuje się, że ten *sui generis* romantyzm, nieliczenie się z rzeczywistością warunkami, z własnymi zasobami i zdolnościami, przyniósł naszemu gospodarstwu olbrzymie szkody. Ale również nieuzasadniona jest przeciwna skrajność, w którą łatwo się wpada po bolesnych rozczarowaniach: fatalizm, wyczekiwanie poprawy od światowej konjunktury, polityka gospodarcza, która się streszcza w hasło „przeżycia”. Żadne zewnętrzne okoliczności i obiektywne, stałe warunki, w których znajduje się gospodarstwo narodowe, nie wyznaczają jednego kierunku świadomej woli narodu, a tylko zamykają jej ruchy w pewnych granicach. Trzeba zdać sobie sprawę z tych granic, poznać je, a potem myśleć przede wszystkim o tem, jak na tej podstawie zabezpieczyć pełny rozwój gospodarstwa narodowego.

Gdy chcemy określić przyszłość gospodarczą Polski, zagadnienie nie sprowadza się wyłącznie do tego, by nagromadzić w Polsce jak największą sumę bogactwa, by każdy jej obywatel miał kurę w garnku. Niewątpliwie polityka gospodarcza państwa zmierza bezpośrednio do powiększenia dochodu społecznego i wzrostu kapitału, do zwiększenia bogactwa. Drugim zaś celem jest, by bogactwo narodowe miało trwałe podstawy, by nie było nazbyt zależne od czynników zewnętrznych, było odporne na wypadek wstrząśnięć wojennych czy innych — czyli trwałość źródeł bogactwa. Po trzecie gospodarstwo narodowe powinno być samodzielną całością w tem znaczeniu, że nie jest częścią jakiegoś obcego systemu gospodarczego, że np. główne narzędzia obrotu i wymiany znajdują się w rękach rodzimych, a nie służą obcym celom gospodarczym — a więc samodzielność gospodarczą. Całością gospodarstwo narodowe powinno być i w tem znaczeniu, że poszczególne dziedziny zrosnięte są razem, połączone węzłami wewnętrznego podziału pracy, a ich zasoby jak

najlepiej wyzyskane w myśl interesów całości; chodzi tu poprostu o zjednoczenie gospodarcze. Wreszcie nie jest obojętnym rozdział dochodu społecznego i bogactwa, ustroj własności, wykluczający zbyt silne społeczne antagonizmy, bezwzględną przewagę jednej klasy nad drugimi; potrzebnym jest rozrost warstw, które łagodzą walki społeczne — słowem, równowaga społeczna.

Od tego, jak się rozwiną te pierwiastki, czy wytworzy się między niemi harmonja, zależy przyszłość gospodarcza Polski. Działalność gospodarcza pochłania znaczną bardzo część życia ludzkiego, walka o byt materialny nieraz wysuwa się na czoło celów życiowych. Ale gospodarstwo nie może być ostatecznym i najwyższym celem życia jednostki i narodu; gospodarstwo narodowe jest tylko częścią jego życia, związaną z niem w jedną całość. Upadają narody, które zaniedbały swój rozwój gospodarczy; ale upadło także wiele narodów, które ugrzęzły w materializmie, w których zapanowało hasło użycia, a pieniądź stał się najwyższym dobrem.

2. Rozwój gospodarczy kraju zależy przedewszystkiem od jego zasobów materialnych, od tego, co mu dała natura. Władztwo jej nad człowiekiem nie jest bezwzględne i niezmiennie; technika podnosi do znaczenia różne zasoby naturalne i płody ziemi, a potem obniża ich wartość, albo też stwarza towary, których produkcja przedtem była zawisła od skąpych darów przyrody, czego przykładem są syntetyczne nawozy azotowe. Ale by mógł powstać przemysł, trzeba pewnych bogactw naturalnych, a rozwój rolnictwa zawisł zawsze od właściwości gleby. Jakie więc są, w najogólniejszych rysach, zasoby naturalne Polski?

Polska jest przedewszystkiem krajem rolniczym. Z rolnictwa żyje przeważająca część ludności. Z powierzchni ogólnej Polski przypada (w r. 1928) na grunta uprawne prawie połowa, bo 48.6%; Polska zajmuje pod tym względem trzecie miejsce w Europie, po Danji i Węgrzech. Statystyk Wł. Woytiński zalicza Polskę do krajów z bogatą przestrzenią uprawną, gdyż w Polsce ma przypadać na 1000 ha — 1661 ludzi, podobna ilość jak w Bułgarii, Fin-

landji i Szwecji¹⁾). Nie wynika z tego, że Polska, w stosunku do swojej ludności, jest szczególnie obficie zaopatrzona w ziemię uprawną. Gdy się uwzględni tylko ludność rolniczą, okaże się, że w Polsce na 1000 ha uprawianej ziemi przypada 707 osób ludności rolniczej, gdy w Czechosłowacji 614, we Francji 579, w Niemczech 504, a tylko w Belgii trochę więcej niż w Polsce, bo 742. Przy wyraźnej przewadze rolnictwa w Polsce na 1 km.² mieszka około 80 ludzi, gdy przeciętnie w całej Europie, bez Rosji, w r. 1928—68. Nie zapominajmy o tem, że Polska ma gęstsze zaludnienie, niż Francja.

W cyfrach bezwzględnych Polska zajmuje w ilości uprawnej ziemi trzecie miejsce, po Niemczech i Francji, nie licząc Rosji Sowieckiej; w ilości lasów miejsce czwarte, po Szwecji, Niemczech i Francji. Produkcja żyta w roku 1928 zajmowała w Polsce przestrzeń, stanowiącą 32.5 % ogólnej przestrzeni, zajętej pod tę uprawę w Europie kontynentalnej, bez Rosji, pszenicy tylko 4.6 %, jęczmienia 12 %, owsa 12.3 %, ziemniaków 24.6 %. Udział w produkcji przedstawia się gorzej, ze względu na niższy od przeciętnego stan kultury rolnej; niemniej jednak w zbiorach żyta Europy kontynentalnej w r. 1928 na Polskę przypada 26.2 %, a w zbiorach ziemniaków 23.6 %. W produkcji cukru zajmuje Polska (w r. 1928/9) miejsce czwarte, po Niemczech, Czechosłowacji i Francji; w ogólnym wywozie cukru państw kontynentu Europy przypada na Polskę w roku 1927 — 12.5 %, a w r. 1928 — 11.2 %. W Polsce było w r. 1928 bydła rogatego 9.4 % ogólnej ilości Europy kontynentalnej, 18.6 % koni, świń 9.5 %, innego bydła stosunkowo małe ilości. Mimo wielkich rozmiarów produkcji zbóż, Polska nie odgrywa czynniejszej roli w ich wywozie, natomiast na rynkach europejskich zyskuje sobie wagę wywóz z Polski produktów hodowlanych.

W zakresie bogactw górniczych najważniejsze znaczenie ma węgiel kamienny. W r. 1928 na Polskę przypada 3.3 % produkcji całego świata; w Europie zajmuje Polska czwarte miejsce, po Wielkiej Brytanji, Niemczech i Francji, a przed Rosją. Produkuje Polska w produkcji rudy cynko-

¹⁾ Wł. Woytinsky, Tatsachen und Zahlen Europas, 1930 s. 88 i n.

wej; w Europie zajmuje pierwsze miejsce, z innych państw wyprzedzają ją tylko Stany Zjednoczone Am. Półn. W produkcji cynku ustępuje pierwszeństwa jeszcze Belgii, natomiast gorzej jest z wytwarzaniem żelaza i stali. Produkcja surowki żelaza w Polsce stanowi ułamek procentu ogólno-swiatowej produkcji, a pośród państw europejskich Polska jest na dziewiątym miejscu; podobnie, choć trochę lepiej, jest z produkcją stali. W górnictwie i przemyśle naftowym maleje znaczenie Polski, przemysł tekstylny służy przede wszystkim na wewnętrzne potrzeby. Polska z dziedziny przemysłu, pomijając produkty przemysłu rolnego, wywozi przede wszystkim surowce i półfabrykaty, natomiast nie rozwinął się wywóz z Polski właściwych produktów przemysłu przetwórczego.

Pośrednictwo handlowe w handlu zagranicznym jest przeważnie w rękach obcych. W organizacji własnej floty handlowej stawiamy dopiero pierwsze kroki. Organizm wymiany pieniężnej i kredytu jest słabo rozwinięty, w przeważnej części zależny od obcego kapitału. Nie odgrywamy czynniejszej roli w światowym pośrednictwie handlowym, jako kraj tranzytowy nie mamy większego znaczenia.

Jesteśmy, biorąc ogólnie, wielkim państwem rolniczym; mamy pewne znaczenie w świecie jako dostawca niektórych produktów kopalnych, węgla i cynku; w rozwoju przemysłu nie możemy iść w porównanie z wielkimi potęgami przemysłowymi; pod względem rozwoju handlu towarowego i pieniężnego jesteśmy bierni.

Dość częstą była u nas przesada w ocenie naszych bogactw naturalnych. Wydawało się czasem, że cały świat będzie się do nas ciskał, by je eksploatować. Polska jednak nie przedstawia dla niego atrakcji, jako jakiś kraj dziewiczy, w którego łonie spoczywają olbrzymie skarby najrozmaitszych bogactw kopalnianych. Nasza siła nie tkwi w tych zasobach, któreby imponowały w skali porównań gospodarstwa światowego. Bardziej znamieną jest pewna równowaga naszych zasobów i ich różnorodność, słaba zależność od zagranicy w dowozie podstawowych surowców. Możemy sami siebie wyżywić i w niektórych dziedzinach rozwinąć eksport produktów rolnych. Wiele pło-

dów kopalnych mamy u siebie, niektóre nawet na wywóz. Z ważniejszych surowców musimy przywozić tylko surowce włókiennicze, które najwięcej kosztują, rudy żelazne i miedziane. Pod tym względem jesteśmy w lepszym położeniu, niż ogromna większość państw europejskich. Nikt nie odważy się twierdzić, że Polska jest sztucznym tworem ekonomicznym, pozbawionym warunków samodzielnego rozwoju.

3. Jesteśmy samodzielnym gospodarstwem narodowym z uwagi na bogactwa naturalne, równowagę i różnorodność działów wytwórczości, obszar i zaludnienie. Także i czynniki geograficzne nie stoją na drodze rozwoju tej samodzielności. Dorzecze Wisły obejmuje znaczną, najbogatszą część Polski; od dorzecza Niemna i rzek, uchodzących do morza Czarnego, nie dzielą dorzecza Wisły żadne nieprzebyte góry, żadne przeszkody naturalne. Kiedyś, w przyszłości, może połączyć Polskę w jedną całość system dróg wodnych; nic nie stoi temu na przeszkodzie, by koleje żelazne ułatwiały wymianę między najbardziej odległymi dzielnicami.

Jednakże położenie geograficzne nie pod każdym względem sprzyja intensywnej wymianie wewnętrznej. Najważniejszym czynnikiem ujemnym jest skupienie środowisk wielkiego przemysłu, opartych o zasoby górnicze, w południowo-zachodniej części Polski, w znacznej części nawet na jej pograniczu. Skutkiem tego płody górnictwa i przemysłu muszą odbywać bardzo daleką drogę, by dotrzeć na wschód, północny i południowy. Podraża to koszty produkcji i utrudnia rozwój rynku wewnętrznego; wystarczy wspomnieć, na jakie przeszkody natrafia zaopatrzenie w węgiel ziem wschodnich. A zarazem z punktu widzenia obrony kraju, ekscentryczne położenie wielkiego przemysłu zmusza do ofiar, związanych z umieszczeniem przemysłu wojennego tam, gdzie on jest potrzebny do celów strategicznych, a nie ma naturalnych warunków rozwoju.

Następnie bardzo silnie zaznacza się w rozmieszczeniu naszej wytwórczości fakt niezbyt dawnej przynależności dzielnic Polski do trzech różnych systemów gospodarczych. Podział ten nie miał geograficznego uzasadnienia;

np. Wisła nie jest naturalną granicą gospodarczą, gdyż obydwą jej brzegi stanowią jedną całość, a granice państw zaborczych pokrajały jedno zagłębie węglowe. Jednakże podział ten trwał przez czas bardzo długi, a powstający wówczas przemysł dostosował się w różnych dzielnicach do rynków zbytu w państwach zaborczych. Przemysł tekstylny w Łodzi i jej okolicy nie rozporządza ani bliskością ani łatwością dowozu surowców; daleko mu do portów, z których przywozi się bawełnę i wełnę, dość daleko leży od węgla. Powstał i rozrósł się bardzo dzięki rynkowi rosyjskiemu. Dzisiaj oczywiście ten przemysł trzeba utrzymać, ale niewątpliwie na jego kosztach i zdolności konkurencyjnej ciąży ujemnie jego geneza. Gdybyśmy w niepodległym państwie wybierali siedzibę przemysłu tekstylnego, nie przypadłaby ona na okolice Łodzi.

Albo inny przykład. Polska miała w r. 1931—17.566 km. kolei normalno-torowych, w przeważnej części odziedziczonych po państwach zaborczych. Możemy obliczyć, wiele warte są te linie, budynki i urządzenia według tego, coby kosztowało ich zbudowanie. Dojdziemy w ten sposób do dość okazałej cyfry, jednej z najważniejszych pozycji naszego narodowego bogactwa. Ale tę sumę trzeba dość wydatnie zmniejszyć ze względu na to, że Polska nie przedstawia jeszcze jednego narodowego systemu komunikacyjnego, a raczej kompleks okrawków trzech różnych systemów, które z natury rzeczy dość powolnie się zrastają. Rzut oka na mapę sieci kolejowej wskazuje, że jest szereg linii ślepych, urywających się na dawnej granicy niemiecko - rosyjskiej i austriacko - rosyjskiej. Wiele linii ma charakter strategiczny, a raczej miało dawniej, jak np. linie karpackie, które się nie rentują, a które trzeba utrzymywać. Odziedziczyliśmy w ten sposób sporo martwych pozycji.

Okoliczność, że Polska powstała z trzech dzielnic, postawiła przed nią specjalne trudności. Zjednoczenie gospodarcze wymaga nakładów i kosztów, nie we wszystkich dziedzinach da się przeprowadzić w szybkim tempie. Innym jest położenie państwa, które powstało na gruzach jednej całości ekonomicznej, jak np. Czechosłowacji; można było od razu puścić w ruch cały aparat produkcyjny.

Zarazem jednak zjednoczenie Polski, powstanie wielkiego państwa o dużych możliwościach, złożonego z dzielnic o bardzo różnym poziomie gospodarczym i kulturalnym, otworzyło przed nim specjalne zadania, które streszczają się w tem, by dzielnice niżej gospodarczo rozwinięte podciągnąć do poziomu dzielnic stojących wyżej, a nie obniżyć poziomu tych ostatnich.

Sama różnorodność ekonomiczna daje podniętę do żywszej wymiany i zrastania się części w jedną całość. Jest rzeczą naturalną, że benzyna z dawnego galicyjskiego zagłębia dociera na Pomorze i do Wilna, że towar łódzki idzie do Lwowa i Poznania. Będzie również rzeczą naturalną, że ludność z dzielnic gęściej zaludnionych przeniesie się tam, gdzie ziemi jest więcej. Trudno sobie wyobrazić, by utrzymać się mógł na stałe taki stan rzeczy, iż (według spisu z 1921 r.) w województwie krakowskiem, przeważnie rolniczym, mieszka na 1 km.² — 114.2 ludzi, a wołyńskiem mniej niż połowa tego, bo 47.5 ludzi na 1 km.². Fakt powstania jednego państwa, zjednoczenia się jego ziem, i w tej dziedzinie, jak i w wielu innych, musi mieć swoje następstwa.

Okoliczność, że Polska powstała przez połączenie dzielnic, które przez półtora wieku żyły oddzielnem życiem gospodarczem, jest źródłem wielu trudności, ale zarazem przed naszym gospodarstwem narodowem otwiera nowe perspektywy. Zjednoczenie gospodarcze jest jednym z najważniejszych zadań; zadanie to nie jest jakimś postulatem programowym, który można przyjąć lub odrzucić, lecz wynika z konieczności geograficznych i historycznych. Jest jednym z podstawowych warunków rozwoju gospodarczego Polski.

4. Wyobraźmy sobie na chwilę, że państwo polskie powstało do nowego życia w II połowie XIX w. — wtedy, gdy dokonało się zjednoczenie Włoch. O ileż łatwiejszem byłoby jego urządzenie, jego rozwój, choćby w chwili powstania państwa jego gospodarstwo było bardziej zrujnowane, aniżeli po wielkiej wojnie. Dwa czynniki rozstrzygnęłyby dodatnio o przyszłości: Polska zdobyłaby sobie niezbyt drogi, nawet taniejący kredyt zagraniczny; a następnie nadmiar jej ludności miałby gdzie emigrować,

dzięki czemu, pomijając już zmniejszenie się bezrobocia, bilans płatniczy kształtowałby się pomyślnie. Dzisiaj kredyt jest drogi i o kredyt trudno, a przed naszą emigracją zamknęły się tereny, najbardziej dla niej korzystne.

Nie dość na tem. Nie żyjemy w atmosferze pokoju, która z małemi przerwami panowała od 1870 r. po lata, poprzedzające wielką wojnę. Prowadzi się zawzięte wojny ekonomiczne. Protekcjonizm przybiera nieznane przedtem rozmiary. W finansach świata chaos, przesilenie wlecze się bez końca, zachwiana jest wiara w stałość stosunków społeczno-ekonomicznych. Wszystko to oddziałuje ujemnie na Polskę, która nie może się odgradzić od reszty świata. Czy jednak ta zależność od układu sił w świecie ma rozstrzygające znaczenie dla naszego bytu i rozwoju?

Nie chcemy w tej chwili omawiać układu sił w gospodarstwie światowym, powiązania z sobą różnych gospodarstw narodowych. Zagadnienia te porusza wspomniana już, inna praca autora. Stopień zależności naszego gospodarstwa od gospodarstwa światowego nie jest zresztą narzucony przez jakieś fakty obiektywne, niezależne od polityki gospodarczej. Narody, które się nadmiernie zadłużają, kładą dobrowolnie głowę pod jarzmo kaudyńskie. Ze względu na swoją strukturę gospodarczą, nie wszystkie państwa w jednakowy sposób wpłątane są w gospodarstwo światowe. Wyrazem tego jest stosunek wartości handlu zagranicznego kraju do jego wewnętrznych obrotów. Wł. Woytinsky (l. c.) podaje zestawienie porównawcze tego stosunku dla szeregu państw, zrobione na podstawie publikacji „Dresdner Banku”, „Die wirtschaftlichen Kraefte der Welt”. Wynika z niego, że handel zewnętrzny Polski stanowi 14% całego zbytu, łącznie z wewnętrznym; dla Rosji ten stosunek wynosi 4%, Stanów Zjednoczonych 7, Indji angielskich 12; z pośród państw europejskich (pominęta jest Litwa, Łotwa, Estonja, Grecja, Hiszpanja i Portugalia) mniejszy stosunek zbytu zewnętrznego od Polski ma Bułgarja, bo 13%, na Rumunję liczy się tyle, co na Polskę. Dla Austrii ten stosunek wynosi 36%, Węgier 17, Czechosłowacji 30, Włoch 21, Niemiec 20 i t. d.

Cyfry te mają bardzo hipotetyczne znaczenie. Trudno obliczyć zbyt wewnętrzny jakiegos kraju; specjalnie

co do Polski nie ma takich danych, na którychby można opierać się z dostateczną pewnością. Jednakże nie ulega wątpliwości, że handel zagraniczny Polski w stosunku do handlu wewnętrznego nie jest tak rozwinięty, jak w ogromnej większości innych krajów. Wystarczy zwrócić uwagę na stosunkowo małe rozmiary polskiego handlu zagranicznego. Prawdopodobnie w ostatnich latach ten handel skurczył się w daleko silniejszym stopniu, zwłaszcza dzięki ogromnemu zmniejszeniu się przywozu, niż zmalała wewnętrzna produkcja. Polska jest dostatecznie rozległym i ludnym krajem, ma dosyć różnorodną produkcję, nie potrzebuje jak wiemy sprowadzać z zagranicy środków żywności i całego szeregu surowców, by miała być tak wpłątana w gospodarstwo światowe, jak jakieś małe państwo przemysłowe lub handlowe, o jednostronnej strukturze gospodarczej, położone na skrzyżowaniu wielkich dróg świata.

Fakt ten daje nam większą swobodę ruchów, uchronić nas może od ostrzejszych wstrząśnień gospodarstwa światowego. I jeżeli nam dolegają warunki zewnętrzne, to nie tyle może ciąży na nas obecny stan rzeczy w całym gospodarstwie światowym, ile bezpośrednie sąsiedztwo.

Mamy granicę bardzo długą, powyginaną, trudną do ochrony i obrony, gdyż tylko częściowo ta granica jest naturalna: wązki skrawek morza, błota pińskie i na południu Karpaty. Granica ta nakłada na nas szczególne zadania wojskowe, co oczywiście odbija się na budżecie państwa, a przez budżet na całym gospodarstwie. Układ stosunków społecznych i gospodarczych u naszych najważniejszych sąsiadów jest taki, że nie sprzyja on rozwojowi życia gospodarczego w Polsce. Rosja sowiecka przeprowadza ogromny eksperyment społeczno-ekonomiczny: nie wiadomo co z niego wyniknie, jednakże nie jest on obliczony na to, by wzmacniać intensywność stosunków wymiennych z sąsiednicą. Zdaje się być pewnem, że gdyby w Rosji panował taki ustrój społeczny, jaki jest w innych krajach europejskich, nasza ekspansja na wschód przybrałaby większe rozmiary. Sąsiad zachodni w swoich stosunkach z Polską ma bardzo wyraźne cele polityczne, stosuje do nich swoją politykę handlową względem Polski, co

i nam nakazuje ostrożność w wymianie z tym sąsiadem. Litwa nie chce uznać obecnych granic Polski, blokuje dostęp do morza przez swoje terytorjum, co oczywiście daje się odczuć nie tylko jej, lecz także i północno-wschodnim ziemiom Polski.

Niema widoków na to, by nasze stosunki z wszystkimi sąsiadami uległy wybitnej naprawie, w dającej się przewidzieć przyszłości; tem samem więc trzeba tę pozycję: „sąsiedztwo”, zapisać w bilansie naszych sił i możliwości jako pozycję ujemną.

5. Ludność kraju jest czynnikiem względnie stałym, niezależnym lub mało zależnym od polityki ekonomicznej państwa. Polityka ludnościowa ma bardzo ograniczone możliwości. Kształtowanie się ruchu ludności da się przewidzieć na szereg lat. A ma ono olbrzymie znaczenie dla przyszłości gospodarczej narodu. Tego pierwiastka często się nie docenia. A tymczasem należy go wziąć za punkt wyjścia dalszych rozważań, potraktować go jako główną przesłankę całej polityki gospodarczej państwa. Tembardziej, że ewolucja ludności polskiej idzie po innym torze w Polsce, niż w prawie wszystkich państwach europejskich.

Tymczasowe wyniki drugiego powszechnego spisu ludności z dnia 9 grudnia 1931 r. wykazują przyrost ludności w Polsce w wysokości 4.943.303 osób, czyli o 18,0% w porównaniu z dniem 30.IX. 1921. Cyfra ta nie jest zupełnie ścisła, gdyż spis ludności z r. 1921 nie objął całego terytorjum Polski: dla terytorjów nieobjętych tym spisem podano liczby z r. 1919. Ponadto te dwa terminy spisów obejmują okres większy od 10 lat, gdyż spis z r. 1921 odbył się dnia 30.IX. o 2 miesiące i 9 dni wcześniej od dnia spisu z roku 1931. Na właściwy przyrost naturalny ludności, to zn. nadwyżkę urodzeń na zgonami, przypada 4.893.313 osób, gdyż 49.990 przypada na nadwyżkę imigracji nad emigracją.

Względniając wcześniejszy spis ludności w r. 1921, względnie zużytkowanie spisów dla niektórych terytorjów (bardzo zresztą niedokładnych) z r. 1919, możemy powyższą liczbę przyrostu rozdzielić na 41 kwartałów (10 lat + 1 kwartał). Przeciętny przyrost w jednym kwar-

tale wynosi 119.349, czyli 477.396 rocznie. Ludność Polski w dniu 9.XII. 1931 r. wynosiła 32.120.020. Gdy utrzyma się, w następnym dziesięcioleciu, nadwyżka urodzeń nad zgonami z poprzedniego dziesięciolecia, ludność Polski z końcem 1941 r. będzie wynosiła okragło 37 milionów mieszkańców.

Niepodobna na tem miejscu przeprowadzić szczegółowego rozważenia wszystkich czynników, które w najbliższych latach będą oddziaływały na przyrost ludności w Polsce; zadowolimy się bardzo prowizorycznymi danymi. Niewątpliwie przedłużający się kryzys oddziaływa ujemnie na przyrost naturalny: zmniejsza ilość zawieranych małżeństw i w pewnych sferach, jak to wykazała ankieta Polskiego Instytutu Badania Zagadnień Ludnościowych, powoduje daleko idące ograniczenie ilości dzieci¹⁾.

W mieście Warszawie zawarto w r. 1928 — 10.092 małżeństw, w r. 1929 — 11.131, w r. 1930 — 10.647, w r. 1931 — 9.885 małżeństw. Niewątpliwie można w tych liczbach wysledzić oddziaływanie kryzysu. Jednakże podobne wahania były i dawniej. W r. 1925 zawarto 8.499 małżeństw, a w r. 1926 — 7.874. Tendencję do ograniczenia ilości urodzeń może zrównoważyć zmniejszenie się śmiertelności. W pierwszych latach dziesięciolecia 1921 — 1931 śmiertelność w Polsce była bardzo duża, co obniżyło przeciętną przyrostu naturalnego. W mieście Warszawie można zauważyć wyraźną tendencję do zmniejszania się śmiertelności: w r. 1921 na 1000 mieszkańców wynosiła ona 15,2, w r. 1922 — 15,6, w r. 1923 — 14,2, a w r. 1928 — 13,7, w r. 1929 — 13,5. Podobnie było i w innych środowiskach. Kryzys ekonomiczny działa na zatamowanie emigracji, wywołuje nawet nadwyżkę immigracji nad emigracją. Coprawda można się z tem liczyć, że w latach 1935 — 1940, w których wejdą w życie mniej liczne roczniki, urodzone w czasie wojny, wzrośnie popyt na ręce robocze. Ale kraje zachodnie będą usiłowały w tym czasie zlikwidować swoje miliony bezrobotnych, nie można być pewnym masowej emigracji z Polski w tym czasie.

¹⁾ Por. Kwartalnik Statystyczny R. 1932 T. IX. Z. 1.

Wreszcie kryzys gospodarczy hamuje odpływ ludności ze wsi do miast, bo ona tam nie znajduje zajęcia. A szybka urbanizacja zawsze oddziaływa na zmniejszenie przyrostu naturalnego ludności.

Z tych wszystkich powodów można przyjąć, że przynajmniej w najbliższym dziesięcioleciu, Polska będzie miała duży jeszcze przyrost naturalny ludności. Hipoteza, że z końcem r. 1941 ludność Polski będzie wynosiła około 37 milionów mieszkańców, wydaje się usprawiedliwiona.

Czy się widzi w tem objaw dodatni, czy ujemny, niema to bezpośrednio wielkiego wpływu na fakt przyrostu ludności. Niewątpliwie nie jest pozbawioną znaczenia propaganda na rzecz ograniczenia ilości urodzeń, duże zmiany w jej liczebności mogą wywołać przeobrażenia religijno-psychiczne, ale z punktu widzenia czysto gospodarczego działa to dopiero w dalszej przyszłości.

Jak powszechnie wiadomo, przyrost ludności zmniejsza się gwałtownie w innych państwach. Europa, bez Polski, Rosji i paru innych krajów, zmierza szybko do stanu statycznego w swoim zaludnieniu. Niektóre kraje widzą w tem swoje dobrodziejstwo, główne lekarstwo na bezrobocie, jak np. Anglja. A zaś Włochy współczesne usiłują zapobiedz zmniejszaniu się nadwyżki urodzin nad zgonami, widzą w silnym przyroście naturalnym wyraz i źródło swojej żywotności.

6. Znaczny przyrost naturalny sam przez się nie jest bogactwem; może się niem stać pod warunkiem, że w parze z nim idzie przyrost kapitału. Silny przyrost naturalny stwarza pewne możliwości rozwoju, stanowi dodatni fakt dla gospodarstwa, równocześnie jednak stawia bardzo wysokie wymagania gospodarstwu narodowemu.

Pierwszą konsekwencją silnego przyrostu naturalnego jest rozszerzenie się możliwości zbytu, przedewszystkiem dla rolnictwa. Na innem miejscu starałem się dać temu wyraz cyfrowy, wychodząc z założenia, że w r. 1941 ludność Polski będzie liczyła o 5.000.000 więcej. Wartość dodatkowej konsumpcji zbóż, biorąc za punkt wyjścia ich konsumpcję w l. 1923—25, przyjąłem, wedle cen dość wysokich z czerwca 1932 (żyto 30 zł., pszenica 31 zł., owies

25 zł., jęczmień 23 zł.) na 429 milj. zł.¹⁾. Równoległe z tem może wzrósć zapotrzebowanie na różne inne płody rolne, a także i na artykuły przemysłu; wystarczy wskazać, jak ogromne znaczenie miał w XIX w. silny przyrost naturalny dla rozwoju przemysłu budowlanego.

Oczywiście nie można tego przypuszczenia brać w oderwaniu od całokształtu warunków ekonomicznych, traktować siły konsumcyjnej ludności jako czegoś stałego, co nie może już zejść niżej pewnego minimum. Specjalnie w Polsce zmniejszenie się stopy życiowej może posuwać się bardzo szybko, jak tego dowodzą ostatnie czasy. Rozstrzyga nie tylko zdolność konsumcyjna, określona przez przyzwyczajenia, przez warunki fizyczne organizmu i kulturę społeczeństwa, lecz również i siła nabywczą ludności, zależna od tego, co ta ludność produkuje, za co może nabyć potrzebne sobie towary. W każdym razie silny przyrost ludności otwiera, zwłaszcza przed rolnictwem, duże możliwości zbytu, tem bardziej, że poziom potrzeb w Polsce jest bardzo niski, nie doszły one jeszcze do stanu względnego choćby nasycenia.

Drugą konsekwencją silnego przyrostu naturalnego ludności jest wielka podaż rąk roboczych. Jeżeli stan zatrudnienia w następujących po sobie latach utrzymuje się w niewiele zmienionych granicach, to automatycznie wzrasta bezrobocie; na głowę ludności przypada z każdym rokiem coraz mniej „robotniko-godzin”, jeżeli mamy użyć tego niebardzo pięknego terminu. Rezultatem tego jest silny nacisk na rynek pracy, co wyraża się w niskich płacach, w porównaniu z krajami, gdzie nie przybywa nowych robotników. Czynniki ten wystąpi bardzo wyraźnie, gdy postępujący stopniowo zastój przyrostu naturalnego ludności dojdzie do bezpośredniego znaczenia w innych krajach. Przeludnienie wsi wywiera swój wpływ na miasta i ośrodki fabryczne. Gdy robotnik lub rolnik niema gdzie emigrować, jak emigrował dawniej w wielkich masach, musi ofiarowywać taniej swoją siłę roboczą. Zwłaszcza w kraju młodym ekonomicznie, ubogim w kapitał.

Silny przyrost naturalny ludności wywołuje względ-

¹⁾ Artykuł w „Rolniku Ekonomście” Nr. 15-16 R. 1932.

ną drożyzną kapitału. Ale i bezwzględnie hamuje tempo jego przyrostu. Niewątpliwie można wykazać, że liczna rodzina jest środowiskiem, w którym łatwiej powstaje prężność gospodarcza, pobudza do większych wysiłków. Ale bardzo liczne rzesze ludności nie mogą gromadzić oszczędności, gdyż wszystko lub niemal wszystko pochłania utrzymanie i wykształcenie dzieci. Możliwoby w tym widzieć żywy „kapitał”, ale nie zda się on na wiele, gdy zwyczajnego kapitału będzie za mało.

Gdy ludność wzrasta i przed gospodarstwem narodowym staje natarczywie konieczność jej zatrudnienia, trzeba umiejętnie gospodarzyć tym kapitałem, którym się rozporządza. A więc trzeba, *caeteris paribus*, dawać pierwszeństwo takim działom produkcji, które wymagają stosunkowo słabszego nasycenia stałym kapitałem. Gdy mamy dwa przedsiębiorstwa o kapitale zakładowym po 10 milj. złotych, o równych szansach rentowności, a jedno z nich może zatrudnić 500 robotników, a drugie 5.000, w naszych warunkach temu drugiemu należy przyznać pierwszeństwo.

Najważniejszą jednak jest rzeczą, by gromadził się kapitał. Jeżeli tempo tego przyrostu nie jest proporcjonalne do wzrostu ludności, wówczas postępuje pauperyzacja, z wszystkimi swoimi społecznymi konsekwencjami. Polska nie może sobie pozwolić na zastój w przyroście kapitału; nie tylko dlatego, że jest go bezwzględnie za mało, lecz także i z tego powodu, iż niema zastoju w ruchu ludności.

Trzeba ogromnego wysiłku, by nadążyć z przyrostem kapitału za przyrostem ludności. Ale i to nie wystarczy. Nie może stać się naczelnym postulatem polityki gospodarczej stabilizacja dzisiejszej biedy. Kapitał powinien wzrastać szybciej, niż wzrasta ludność.

W tej lub innej postaci zagadnienie kapitalizacji wysuwa się na czoło wszystkich zagadnień gospodarczych Polski współczesnej. Nie mamy tyle kapitału, byśmy mogli główną uwagę skupić na rozdziale bogactwa. Na plan pierwszy wysuwa się zagadnienie wytwórczości. Są ręce gotowe do pracy, są konsumenci, są siły techniczne, ale brak jest kapitału, który trzeba stworzyć.

ROZDZIAŁ II.

KAPITALIZACJA.

1. Wysłunięcie na czoło zagadnień gospodarczych Polski współczesnej sprawy kapitalizacji mogłoby wydać się czemś jednostronnem. Jednak wyraz „kapitalizacja” ma treść bardziej niewinną, a zarazem bardziej rozległą, niżby się napozór mogło wydawać. Nie oznacza bynajmniej wzrostu przewagi kapitału nad pracą, ani dalszych postępów wielkiego kapitalizmu. Kapitalizacja jest również naczelnym celem polityki sowieckiej — tylko że Sowiety urzeczywistniają ją za pomocą przymusu, nawet w bardzo gwałtowny sposób. Kapitalizacja może być dokonywana zarówno przez osoby prywatne, dla ich własnej korzyści, jak przez państwo i instytucje społeczne.

Oznacza poprostu lepsze uposażenie człowieka w narzędzia i urządzenia materialne, które służą jego potrzebom. Postępy kapitalizacji — to więcej uprawnej ziemi i większa jej wydajność, więcej środków komunikacyjnych, fabryk i domów, więcej maszyn, kopalni, różnego rodzaju produkcyjnych warsztatów, więcej kapitału obrotowego, obsługującego wytwórczość i handel.

Niema sposobu, by zmierzyć dokładnie postępy kapitalizacji. Można by obliczać co roku czystą wartość majątku narodowego, porównywać wyniki, ale te obliczenia są i trudne i zawodne. Może się zdarzyć, że wartość tego majątku pójdzie w górę, chociaż odpowiednio nie podniesie się możność zaspokajania potrzeb ludzkich. I naodwrot, wzrost produktywności fizycznej nie zawsze połą-

czony jest z ilościowym wzrostem wartości. Np. gdy inwentarz żywy w ciągu roku wzrośnie o 10%, bardzo łatwo może się zdarzyć, że cena sztuki inwentarza spadnie i w rezultacie wartość całego inwentarza nie będzie większa niż przedtem, mimo, że nastąpił fizyczny wzrost majątku.

Nie obejmujemy statystyką całej kapitalizacji. Czy ta kapitalizacja czyni postępy, o tem można się przekonać albo na podstawie fragmentarycznych statystyk, albo też wprost na podstawie codziennej obserwacji. Jeżeli np. widzimy, że po wsiach więcej jest domów murowanych niż drewnianych, więcej krytych dachówką niż słomą, bydło lepiej wygląda i pola lepiej są uprawne, to nie mamy wątpliwości, że kapitalizacja czyni postępy. A kto jeździ naszymi szosami w roku Pańskim 1932, i porównuje ich stan ze stanem z r. 1929, ten również niema wątpliwości — odczuwa to na własnych kościach — że w tym dziale kapitalizacja zmniejszyła się w ostatnich paru latach, że majątek narodowy, tkwiący w szosach, uległ wyraźnemu zmniejszeniu.

Te obserwacje są o tyle zawodne, że nie mówią nam bezpośrednio, za jakie pieniądze powstały nowe domy, fabryki, urządzenia komunikacyjne: czy z oszczędności społeczeństwa, czy też za pieniądze, pożyczone przez obcych, albo dzięki inflacji, która zawsze więcej kapitału pieniężnego niszczy, niż powstaje dzięki niej kapitału rzeczowego. Niełatwo więc zestawić ogólny bilans kapitalizacji. Istnieją jednak pewne wskaźniki, ilustrujące jej postępy lub jej upadek. Na podstawie pewnych jej postaci, bardziej uchwytnych, można nabrać wyobrażenia o całości. Oto w dzisiejszem życiu gospodarczem, opartem w bardzo silnym stopniu na kredycie, możemy łatwo obliczyć gromadzenie się kapitałów pieniężnych. Możemy śledzić postępy kredytu długoterminowego. Dalej zestawić nowe emisje kapitału akcyjnego, które, biorąc ekonomicznie, nie formalnie, są również formą udzielania kredytu przedsiębiorstwom. Wreszcie możemy dokładnie wysledzić, jak wzrastają wkłady oszczędnościowe, i jak wzrasta obrotowy kapitał społeczeństwa, umieszczony pod różnemi postaciami w kredytowych instytucjach.

2. Rozwój kredytów długoterminowych w świetle sta-

tystyki ostatnich kilku lat przedstawia się dość pięknie. Razem emisja listów zastawnych i obligacyj przez banki państwowe, banki hipoteczne, ziemskie i miejskie towarzystwa kredytowe, dwa banki komunalne i Towarzystwo Kredytowe Przemysłu Polskiego wynosiła z końcem 1927 r. 1.083,9 milj. zł., z końcem 1929 r. — 1.837,3 milj., z końcem 1930 r. — 2.060,9, a z końcem 1931 — 2.213,0 milj. zł., a więc wzrosła w ciągu tych lat z górą o miliard, podwaja się w porównaniu ze stanem z końca 1927 r. Kto jednak jest nabywcą tych papierów? Głównym nabywcą jest państwo i instytucje państwowe, przede wszystkim P. K. O. i zakłady przymusowych ubezpieczeń. Część tych listów zastawnych i obligacyj ulokowana jest zagranicą. A na szarym końcu zostają nabywcy z wolnego rynku. Np. z 787 milj. zł. papierów, emitowanych przez B. G. Kr. z końcem 1931 r., najwięcej, bo 196 milj. miało Ministerstwo Skarbu, P. K. O. 180 milj. zł., zakłady ubezpieczeń 138 milj., Bank Polski 39 milj., zagranica 155 milj., a „inni” (rozmaici, w tem zwyczajni nabywcy — tylko 60 milj. zł. Bardzo charakterystyczny jest następujący ustęp ze sprawozdania Państwowego Banku Rolnego za 1930 rok, które mówiąc o trudnościach lokaty papierów długoterminowych, zaznacza: „mimo wynikających (stąd) trudności Bank zdołał, dzięki swym zabiegom i poparciu czynników rządowych uzyskać dość poważne lokaty i t. d.”. Czyli, że dzisiaj dla ulokowania papieru na rynku, potrzeba poparcia czynników rządowych; innemi słowy, musi ten papier kupić instytucja państwowa, lub od państwa zależna.

Głównem źródłem kredytu długoterminowego w Polsce jest albo zagranica — za pośrednictwem pożyczek, zaciągniętych przez państwo — albo też przymusowa oszczędność. Publiczność z reguły nie kupuje listów zastawnych i obligacyj. Należą już do wspomnień te czasy, gdy dłużnik towarzystwa kredytowego ziemskiego lub miejskiego brał listy zastawne i sprzedawał je bez trudności na giełdzie. Dzisiaj bank hipoteczny lub towarzystwo kredytowe szuka nabywcy w P. K. O., w Banku Polskim, w zakładach ubezpieczeń lub wprost w skarbie państwa. Gdyby te instytucje zechciały sprzedąć na giełdzie pewnego dnia

pakiet listów zastawnych lub obligacji wartości choćby tylko jednego miliona, wywołałyby natychmiastową de-rutę, mimo, że papiery te są waloryzowane i że publiczność jest skłonna szukać stałych zabezpieczeń swoich oszczędności.

Ministerstwo Skarbu w swoim biuletynie statystycznym oblicza, że rentowność pożyczek państwowych z końcem I półrocza 1932 wynosi 18.86%, a rentowność listów zastawnych pierwszej klasy — 16.95%. Biuletyn Czecho-słowackiego Banku Narodowego podaje tablicę rentowności papierów o stałym oprocentowaniu kilkunastu państw; Polska zajmuje w niej ostatnie miejsce, wyjąwszy te państwa, jak Grecja i Węgry, które zawiesiły płatność swoich zobowiązań. Z końcem 1931 r. rentowność polskich papierów wynosiła 17.87%, gdy Rumunii 13.26, Jugosławii — 11.19, Niemiec 11.90, Kolumbji 14.22, Austrii 7.90. Inne państwa mają rentowność daleko niższą, to znaczy lepsze kursy swych pożyczek.

Różnemi okolicznościami można objaśniać stan polskiego kredytu długoterminowego. Niewątpliwie oddziaływa ujemnie brak rynku zagranicznego, który nie wchłania w dostatecznej ilości polskich papierów procentowych, który niema do nich zaufania. Być może, że przyczyniły się do obniżenia kursów złe dokonane i rozmieszczone emisje, słabość konsorcjów finansowych, powołanych do opiekowania się polskimi pożyczkami państwowymi. Ale w normalnych warunkach, gdyby w kraju istniał rynek na papiery długoterminowe, wchłaniałby on papiery, ofiarowywane przez zagranicę po niższym kursie, i w ten sposób dalsza niżka byłaby zatamowana. Przecież możliwość lokaty oszczędności z pełnem zabezpieczeniem walutowem, przy oprocentowaniu, które dochodzi niemal do 20%, powinna by uruchomić wierzycieli. Ale tych prywatnych wierzycieli prawie niema. Państwo, instytucje ubezpieczeniowe i publiczne instytucje finansowe nie mają wolnych zasobów w obecnej chwili. Przeważnie same usiłują pożyczyc gdzie się da i sprzedać każdy papier, który uda się sprzedać. Państwo i związki publiczne są bardzo „sztywnym” wierzycielem. Potrafią w dobrej konjunkturze wiele papierów wchłonać, a potem nagle przestają je nabywać.

Etatyzacja kredytu publicznego pociąga za sobą taki stan kursów, jaki obecnie widzimy.

3. Nie oszczędza również społeczeństwo pod tą formą, która przed wojną była bardzo rozpowszechniona: nabywania papierów o zmiennem oprocentowaniu, tak zw. papierów dywidendowych. Kupowali akcje i udziały w przedsiębiorstwach ludzie, którzy chcieli mieć wyższy procent. Gdy list zastawny przynosił 4 lub $4\frac{1}{2}$ od sta, akcje dobrego i pewnego przedsiębiorstwa dawała od 6% w górę. Gdy dzisiaj papier długoterminowy przynosi faktycznie nabywcy 18—19%, nie ma mowy o tem, by jakakolwiek spółka akcyjna mogła dać więcej swoim akcjonariuszom. Przeciwnie, dawała ona nawet w dobrych czasach daleko mniej, a bardzo wiele przedsiębiorstw nie przynosiło wogóle żadnej dywidendy.

W okresie inflacji akcje były bardzo popularne. Nabywała je szeroka publiczność, uczestniczyła w coraz to nowych emisjach, licząc na to, że te papiery reprezentują wielkie, wzrastające wartości. Poniosła na tem wielkie straty. Cała masa papierów okazała się bez wartości — wypuszczano je, by znieść naiwnych. Nawet wielkie przedsiębiorstwa, czynne naprawdę w produkcji, dopuściły do nadmiernego rozwodnienia swojego kapitału zakładowego. Sumy, uzyskiwane z emisyj, szły na koszty handlowe i administracyjne. Równocześnie i w Polsce nastąpił objaw, który charakteryzuje ewolucję spółek akcyjnych w innych krajach, zwłaszcza w Niemczech: spółki akcyjne nie płać dywidendy swoim zwyczajnym akcjonariuszom, albo też płać bardzo mało, a natomiast grupa rządząca w spółce, często reprezentująca małą część kapitału akcyjnego, ciągnie dochody w postaci dywidendy od akcji uprzywilejowanych, a przede wszystkim w postaci wysokich wynagrodzeń dyrekcji i zarządów. Odbывało się na wielką skalę wywłaszczenie akcjonariuszy z należnego im dochodu.

A rezultatem tego jest zanik zwyczajnego akcjonariusza, to znaczy człowieka, który raczej jest wierzycielem spółki a nie właściwym przedsiębiorcą, który nie bywa na walnych zebraniach, nie wchodzi do rady nadzorczej, a tylko kupuje papiery, cieszące się dobrą renomą na gieł-

dzie. Niektórzy posiadacze akcji trzymają je nadal, bo nie chcą sprzedawać ze stratą, chociaż te akcje mało im przynoszą dochodu. Drobnny akcjonariusz znikł, jako aktywna siła gospodarcza, podobnie jak zanikli kapitaliści, lokujący swoje oszczędności w większych rozmiarach w listach zastawnych i obligacjach.

A więc i ta forma oszczędności, w postaci nabywania papierów dywidendowych, niema obecnie większego znaczenia. W jaki sposób zasilają się spółki akcyjne, skąd czerpią pieniądze? Przecież nawet w dobie zastoju zachodzi, w poszczególnych wypadkach, potrzeba powiększenia kapitału zakładowego, zawsze powstaje pewna ilość nowych przedsiębiorstw. Otóż zasobniejsze spółki akcyjne, które miały dochody, stwarzały u siebie ciche rezerwy, robiły inwestycje, nie ujawniając zysków. Przeważnie jednak odbywał się inny proces. Spółki akcyjne zadłużały się na powiększenie swojego kapitału obrotowego, na modernizację swoich warsztatów, na „racjonalizację”. Zadłużały się z reguły na krótkie terminy i na dość wysoki procent. Potem nie mogły spłacić tych zobowiązań. Gdy przyszedł zastój, zbyt się ograniczył i dochody zmalały. Panami szeregu spółek akcyjnych stali się wierzyciele. Niektórzy z nich doprowadzili do formalnej zmiany stanu posiadania w spółkach przez to, że, czy w drodze nadzoru sądowego, czy bez tego nadzoru, przejęli część kapitału zakładowego, spychając na plan dalszy dawnych właścicieli. W innych znowu wypadkach pozornie wszystko zostaje po dawnemu, zarząd jest niewiele zmieniony, ale dominuje wierzyciel, którego spółka nie może się pozbyć, choćby chciała. Dodajmy jeszcze jedno, co ma zasadnicze znaczenie: w ogromnej większości, niemal z reguły, tym wierzycielem krajowych spółek jest zagraniczny kapitał, który przez kredyty opanował, volens nolens, cały szereg wielkich przedsiębiorstw w Polsce, zarówno w sferze przemysłowej, jak handlu i bankowości.

A więc w braku krajowego akcjonariusza, w braku dopływu rodzimych kapitałów do przemysłu, wiele wartości przeszło w obce ręce, nieraz po bardzo tanich cenach. Ten dopływ zagranicznego kapitału nie ożywił na trwałe naszego życia gospodarczego. Zwłaszcza w dobie przesi-

lenia zastój na rynku papierów akcyjnych jest u nas większy, niż gdzieindziej. Dzisiaj nikt nie ogłasza publicznej subskrypcji na akcje, bo nie znalazłyby nabywców.

4. Jeżeli więc wolne oszczędności nie przybierają postaci listów zastawnych i obligacji, jeżeli nie lokuje się ich w papierach dywidendowych, to możnaby przypuścić, że z tem większą siłą napływają do kas oszczędności, spółdzielni kredytowych i banków w postaci wkładów terminowych. Wkłady te wzrastały przez pewien czas bardzo silnie, jak tego dowodzi następujące zestawienie:

Koniec roku	1928	1929	1930	1931	1932 VI.
	(miljony złotych):				
B. G. K.	206.7	139.8	138.7	144.4	144.1
P. B. R.	22.8	24.9	29.6	32.4	25.9
Banki komunalne	32.2	52.3	57.3	50.9	52.4
Banki akcyjne	313.7	364	405.1	217.4	180.4
P. K. O.	122.3	173	253.7	332.2	386.1
Kasy oszczędn.	324.5	401.6	535.0	559.4	562.7
Spółdzielnie kred.	262.3	338.4	393.5	347.2	312.3
Razem	1.284.5	1.494	1.812.9	1.683.9	1.663.9

Statystyka powyższa nie jest kompletna, gdyż w poszczególnych latach obejmowała ona nieco więcej niektórych instytucji, aniżeli w latach poprzednich, np. kas komunalnych. W tych kasach nie są wliczone wkłady instytucji finansowych, natomiast objęte są zestawieniem wkłady samorządów i przedsiębiorstw samorządowych, które nie oznaczają przyrostu wolnych oszczędności. Wkłady w P. K. O. obejmują również i wkłady pochodzące z waloryzacji, których przybywało w poszczególnych latach, co jednak nie oznacza rzeczywistego przyrostu oszczędności.

Wzrost wkładów oszczędnościowych nie oznacza całkowicie przyrostu nowych oszczędności. Są one lokowane w instytucjach pieniężnych krajowych, albo zagranicznych i tezauryzowane w postaci złota i dewiz zagranicznych. Stabilizacja złotego wywołała przeobrażenie

tych oszczędności w obcych walutach na wkłady oszczędnościowe w kraju, wydobyla je niejako na powierzchnię. Załamanie się złotego w r. 1925 wywołało nową ucieczkę, a potem, od r. 1927, te spłoszone oszczędności wracają znowu do krajowego obiegu. Niewątpliwie znaczny odpływ wkładów w r. 1931 nie oznacza również w całości skonsumowania ich, lecz znowu kupuje się złoto i waluty albo lokuje pieniądze zagranicą.

Wogóle ostatnie czasy kryzysu odbiły się bardzo mocno na oszczędnościach, zgromadzonych w różnych instytucjach finansowych i przez to dostępnych życiu gospodarczemu. Nie wszędzie nastąpiło to smutne zjawisko. W Belgii, Bułgarii, Hiszpanii, w Stanach Zjednoczonych, Finlandii, Grecji, we Włoszech, na Łotwie, Rumunii, Anglii, Szwecji, Czechosłowacji i Jugosławii wkłady w kasach oszczędności wzrosły z końcem 1931 r. w porównaniu z końcem 1930 r. Stosunkowo słabo zmniejszyły się w Niemczech; podobnie jak w Polsce spadły w Austrii, silnie tylko na Węgrzech. Zastój gospodarczy wywołuje odpływ pieniądza od nowych przedsiębiorstw, od papierów dywidendowych, ale normalnie powiększa nawet zasoby, szukające stałego oprocentowania, zwalniając je z obrotu. Często likwidacje różnych przedsiębiorstw zostawiają gotówkę, która musi być gdzieś ulokowana. Narastają wtedy kapitały, które czekają pomyślnej chwili, by przenieść się do wytwórczości i obrotu. Dlatego tanieje pieniądz dzienny. U nas przesilenie nie przyniosło ani potępienia kredytu, ani nie zwiększyło w łącznej sumie wkładów oszczędnościowych. Dowodzi to słabego tempa kapitalizacji.

Bo przecież te półtora miljarde wkładów oszczędnościowych we wszystkich instytucjach, to bardzo mało z uwagi na nasze potrzeby gospodarcze, nawet na rozrost naszej wytwórczości. Przypomnijmy sobie niektóre przedwojenne cyfry. Wszystkie komunalne kasy oszczędności, z całej Polski, miały na koniec grudnia 1931 r. 522.4 milionów wkładów. A tymczasem w samych galicyjskich kasach oszczędności było w r. 1914 wkładów oszczędnościowych na sumę 368.6 milj. kor., czyli znacznie więcej, niż dziś ma cała Polska. Według zestawień,

zawartych w wydawnictwie „Polskie kooperatywy kredytowe i kasy oszczędności” (Lwów 1914), pod redakcją prof. J. Michalskiego, wkłady oszczędnościowe w polskich kooperatywach kredytowych i kasach oszczędności w Królestwie Polskim, Galicji, Poznańskim i Prusach Zachodnich wynosiły sumę 1.174.258 franków, czyli okragło, według parytetu złota, 2.018 milionów złotych. A to zestawienie nie jest z natury rzeczy zupełne; nie obejmuje niektórych dzielnic Polski, np. Śląska, dotyczy tylko polskich instytucyj, nie włącza wkładów w pocztowych kasach, nie mówiąc już o bankach. W instytucjach, które obejmuje wspomniane wydawnictwo, przeciętny roczny przyrost wkładów oszczędnościowych wynosił około 124 milj. zł. dzisiejszych. A więc przytoczona wyżej suma wkładów nie była dziełem bardzo długiego okresu. Gdy się uwzględni, wiele lokowano pieniędzy po bankach, wiele oszczędności wyciągały z kraju obce instytucje (np. z Galicji banki wiedeńskie), to łatwo możemy dojść do wniosku, że wkłady oszczędnościowe ludności dzisiejszej Polski były przed wojną parokrotnie większe, aniżeli są w chwili obecnej.

Szczupłość naszych zasobów oszczędnościowych wystąpi jeszcze jaskrawiej, gdy porównamy sumę wkładów na głowę ludności w Polsce i w innych krajach. Oczywiście porównanie naszych oszczędności z bogatemi państwami Zachodu nie byłoby może zbyt wymowne, bo trudno nam się mierzyć z Francją czy Anglją. Ale przytoczmy kilka cyfr, z końca 1930 r., dotyczących krajów już mniej bogatych. Oto w Czechosłowacji przypadało wtedy na głowę ludności wkładów oszczędnościowych 344 zł.; we Włoszech 315 zł.; w Austrii 287 zł.; w Finlandji 226 zł.; w ubogiej i nieuporządkowanej gospodarczo Hiszpanji 96 zł.; a w Polsce tylko 36 zł.! Oczywiście można np. powiedzieć, że Czechosłowacja nie przeszła przez zniszczenia wojenne i przez dwie inflacje; ale to wszystko nie usprawiedliwia stosunku wkładów jak 1 do 10.

5. Mniejsze znaczenie, z punktu widzenia gospodarczego, ma suma rachunków bieżących, żyrowych i czekowych, wogóle wkładów płatnych a vista (łącznie z saldami kredytowymi na rachunkach bieżących po bankach

akcyjnych). Niemniej jednak ta cyfra charakteryzuje zasobność gospodarstwa narodowego w kapitał obrotowy, jest również wskaźnikiem stopnia kapitalizacji. Zmiany, które zaszły w tych rachunkach i ich ogólny stan ilustruje poniższe zestawienie:

Koniec roku	1928	1929	1930	1931	VI. 1932
(miljony złotych):					
Bank Polski					
(bez rach. skarbu)	182.4	177.4	162.4	190.5	113.9
B. G. K.	144.7	115.1	104.4	94.3	98.4
P. B. R.	31.6	46	32.7	30.5	33.8
Banki komunalne	12.6	8.7	11.2	11.6	12.7
Banki akcyjne	626.9	594.6	686.6	450.2	387.4
P. K. O.	193.5	210.6	177.6	177.6	148
Kasy oszczędn.	34.2	44.8	47.1	43.9	48.3
Spółdzielnie kred.	2.3	2.8	4.4	3.5	3.3
Razem	1.228.2	1.200	1.226.4	1.002.1	845.8

Powyższa tablica nasuwa następujące wnioski: 1) suma rachunków bieżących, wogóle wszelkich wkładów a vista jest bezwzględnie biorąc mała, nawet w stosunku do szczupłego obiegu pieniężnego; 2) w okresie wysokiej konjunktury nie okazuje ona wzrostu, analogicznego do wzrostu terminowych wkładów oszczędnościowych; 3) w r. 1931 i 1932 spada bardzo silnie, co dowodzi wydatnego zmniejszenia się kapitału obrotowego naszego gospodarstwa.

Wycofywania wkładów a vista nie można wyjaśniać przez obawę przed spadkiem złotego, gdyż w razie bezpośredniego niebezpieczeństwa można te wkłady natychmiast uruchomić. Prostu kurczy się kapitał pieniężny, w związku z kurczeniem się produkcji i obrotów towarowych. To kurczenie się nie zwalnia wolnych zasobów, które lokowane są a vista, w oczekiwaniu natychmiastowego zatrudnienia. Ten fakt stanowi jedną z cech charakterystycznych przebiegu przesilenia w Polsce, odrębną od tego, co się dzieje w krajach, obfitujących w ka-

pitał. I znowu dowodzi on — gdyby jeszcze trzeba było dowodów — słabego tempa kapitalizacji w naszym gospodarstwie.

6. Stopień przyrostu kapitału w Polsce w formie pieniężnej przedstawia się mizernie. Jest bardzo prawdopodobne, że nagromadzanie się kapitału, ulokowanego w produkcji, w trwałych dobrach konsumcyjnych przedstawia się lepiej. W wielu kierunkach porobiono duże inwestycje. Wedle obliczenia p. B. Cywińskiego, koleje państwowe wydały w ciągu 7 lat, od 1924 do 1930, na inwestycje i odbudowę 858 milj. zł.¹⁾ Inne inwestycje państwowe są również ogromne, także wielki przemysł odbudował swoje zniszczone warsztaty i podniósł ich zdolność produkcyjną. Mimo wszelkich trudności zbudowano wiele nowych domów w Polsce. Ale nie można zapominać i o odwrotnej stronie medalu: wiele tych nakładów zrobiono na kredyt, zwłaszcza zagraniczny. Zobaczymy później, jak wielkie jest zadłużenie państwa i całego gospodarstwa narodowego.

A następnie przyrostu majątku narodowego nie można mierzyć sumą pieniędzy, wydanych na trwałe urządzenia produkcyjne i komunikacyjne, na różne budowle, służące tak wytwórczości, jak i konsumcji. Wiele pieniędzy po prostu zmarnowano. Dużo poszło na różne inwestycje reprezentacyjne, które się nie opłacają. Gdy z uwagi na niżkę cen i zmniejszenie się siły płatniczej społeczeństwa dom mieszkalny nie wytrzymuje kalkulacji, nie oprocentowuje włożonego weń kapitału, ten kapitał musi ulec redukcji, w obliczeniach wartości majątku narodowego trzeba spore sumy odpisać na straty. Podobnie jest i z fabrykami, które rozszerzyły swoją zdolność wytwórczą ponad rzeczywiste, trwałe możliwości zbytu. Trudno to wszystko dokładnie obliczyć, ale nie można pominąć tego pierwiastka, gdy się rozpatruje stopień przyrostu kapitału w Polsce.

Że on jest niedostateczny, dla nikogo nie ulega wątpliwości. Przyczyny tego są różnorodne. Czy składa się na to przyrost naturalny ludności, czy niechęć do oszczędza-

¹⁾ B. Cywiński, Kolejnictwo polskie w dobie kryzysu, 1932, str. 52.

nia, upadek ekonomiczny warstw, odznaczających się dużą zdolnością kapitalizacyjną, niedostateczna rentowność produkcji, zbyt wielka ilość ludzi, pracujących nieproduktywnie, czy dużo znaczy ciężar danin publicznych — na te zagadnienia niepodobna dać wyczerpującej odpowiedzi. Gdy się będzie rozważało, w jaki sposób podnieść kapitalizację, wtedy eo ipso wyświetlone zostaną okoliczności, które ją hamują.

By sobie zadanie ułatwić, spojrzymy najpierw na gospodarstwo narodowe, jako na pewną całość w stosunkach nazewnątrz, w jego zależności od innych gospodarstw. Na tej drodze uwidoczni się struktura naszego gospodarstwa. Zbadanie bilansu płatniczego Polski rzuci światło na naszą siłę ekonomiczną, a zarazem na istotne postępy gromadzenia się kapitału w Polsce.

ROZDZIAŁ III.

BILANS PŁATNICZY.

1. Wszystkie państwa prowadzą dziś walkę o to, by ich bilans płatniczy, to znaczy stan ich pieniężnych i towarowych obrotów z zagranicą był jak najbardziej dodatni. Epoka obecna przypomina mocno czasy merkantylizmu, kiedy to zagadnienie wyrażało się w dążeniu, by z handlu zagranicznego uzyskać jak największy dopływ kruszców szlachetnych. A że i dzisiaj, jak i dawniej, najważniejszą pozycją bilansu płatniczego jest bilans handlowy, stosunek przywozu do wywozu, powszechną jest w krajach dłużniczych walka o utrzymanie i powiększenie dodatniego salda bilansu handlowego; a zaś kraje wierzycielskie, względnie czerpiące duże korzyści z emigracji, z ruchu cudzoziemców, starają się ile możliwości zmniejszyć ujemne saldo bilansu handlowego. Zagadnienie to staje się szczególnie ostre w chwili obecnej, gdy chwieją się nawet potężne waluty.

Epoka liberalizmu nie miała zrozumienia tej walki, uważała ją za niepotrzebną, za niezgodną z prawami ekonomicznymi. Teoria bilansu handlowego poszła w kąt, a raczej zastąpiona została bardziej harmonijnym i niezachęcającym do walki poglądem. Jakiś kraj ma bierny bilans handlowy, sprowadza więcej z zagranicy, niż wywozi? Niema w tem nic groźnego. Oto deficyt bilansu handlowego będzie musiał być wyrównany wywozem złota. Złoto odpłynie z kraju, stanie się bardziej poszukiwane,

będzie go mniej, a więc ceny towarów spadną. Spadek cen wywoła automatycznie wzrost wywozu, bo towar w kraju będzie tańszy. W ten sposób deficyt bilansu handlowego zniknie i wróci równowaga, chwilowo zachwiana.

Pogląd ten nie odpowiada rzeczywistości. Nie byłby z nią zgodny nawet wówczas, gdy istniał naprawdę wolny handel między narodami. Gdyż bynajmniej cena towarów nie reguluje się automatycznie ilością złota w obiegu. Zresztą w działaniu tej teorii wywołuje komplikacje dobrodziejstwo czy przekleństwo kredytu zagranicznego. Kraj, który ma bierny bilans handlowy, może przez jakiś czas ratować się pożyczkami zagranicznymi. Wtedy równocześnie i ceny towarów rosną i wzrasta deficyt bilansu handlowego. A potem przychodzi czas płacenia tych długów; nieraz trzeba płacić głębokimi wstrząsami finansowymi, zwłaszcza załamaniem się pieniądza.

Gdyby istniała jedna tylko waluta na świecie i gdyby obroty między państwami odbywały się wyłącznie na podstawie gotówkowej, zagadnienie bilansu handlowego byłoby mało skomplikowane. Wówczas każdy kraj sprowadzałby tylko tyle z zagranicy, na ile go stać, nie byłoby nadmiernego przywozu. Ale w rzeczywistości jest inaczej. Nikt dzisiaj nie hołduje też starej liberalnej teorii obrotu międzynarodowego. Ale nieraz nie docenia się, także i u nas, znaczenia bilansu płatniczego, a przynajmniej do niedawna lekceważono to zagadnienie; lekkomyślne traktowanie tej sprawy w latach 1928 i 1929 spowodowało wielkie klęski na nasze gospodarstwo. Niektórym przedstawicielom sfer finansowych, zwłaszcza związanym z zagranicznymi bankami, wydawało się, że wszystko jest w porządku, jeżeli bierny bilans handlowy — a w r. 1928 deficyt tego bilansu wyniósł prawie miliard złotych — jest wyrównany pożyczkami, choćby nawet towarowym kredytem. A tymczasem zagadnienie naszego bilansu płatniczego jest jednym z najważniejszych zagadnień naszego bytu gospodarczego.

Człowiek, który więcej wydaje, niż ma dochodu, musi albo zadłużać się, albo też wyprzedawać. W zupełnie podobnym położeniu jest państwo w stosunku do zagranicy.

Jeżeli nie potrafi więcej wywozić, niż przywozi, albo nie ma dochodu z swoich kapitałów i przedsiębiorstw zagranicznych, nie ma liczego dopływu cudzoziemców, którzy w nim zostawiają pieniądze, nie czerpie zysków z swojej emigracji — nie zostaje mu nic innego, jak zadłużać się zagranicą, lub sprzedawać obcym swój majątek. O ile dzięki kredytom wzmoże swoją zdolność wytwórczą i swój wywóz, wszystko jest w porządku, ale nie zawsze się tak dzieje. A chyba cudzoziemcy nie po to kupują rodzime przedsiębiorstwa, by dochód z nich zostawiać w kraju.

W innem położeniu jest kraj bogaty, o uregulowanych stosunkach pieniężnych, a w innem kraj taki jak Polska, który musi dopiero dorabiać się trwalszych podstaw swojej waluty. Potrzebne mu są stosunkowo większe nadwyżki w jego bilansie płatniczym. Polska nie ma dochodów z kapitałów, umieszczonych zagranicą, ani nie ciągnie zysków ze swojej floty i handlowego pośrednictwa. Te pozycje, tak ważne w niektórych bilansach płatniczych, jak np. Wielkiej Brytanji, a u nas nie mają prawie żadnego znaczenia. Gdzież więc szukać tej nadwyżki, tak bardzo potrzebnej?

2. Nieraz pisano o tem, że Polska, z uwagi na swoje geograficzne położenie, jest naturalnym pośrednikiem między Zachodem a Wschodem Europy. Gdyby temu położeniu geograficznemu odpowiadał układ stosunków ekonomicznych, Polska osiągałaby wielkie zyski z tranzytu towarów i przewozu osób. Ale te zyski są względnie niewielkie, chociaż nie można ich lekceważyć. Za usługi komunikacyjne (koleje, poczta, telegraf) otrzymała Polska netto milj. zł.: w r. 1927 — 104, w r. 1928 — 160, w r. 1929 — 202, w r. 1930 — 124. W r. 1931 uzyskano niewątpliwie mniej, gdyż zaznaczył się mocniej kryzys gospodarczy, który już w r. 1930 bardzo wydatnie zmniejszył wzrastający od paru lat dochód z usług komunikacyjnych. Niepodobna oczekiwać wielkich sum z tej pozycji, zwłaszcza, gdy się przypomni, z jakich pierwiastków ona się składa.

Tranzyt z Rosji i do Rosji, wbrew oczekiwaniom, daje

nam bardzo niewiele. Np. w r. 1927, na na 76 milionów należności z tytułu tranzytu kolejowego, przypada na tranzyt Niemcy — Rosja 2.7 miliona; minimalne sumy daje tranzyt z zachodu do Rumunii; natomiast z górą 73 miliony przypada na należności z tranzytu Niemcy — Prusy Wschodnie. Mimo olbrzymiej długości naszej lądowej granicy z Rosją, nie można oczekiwać, by tranzyt z tego i do tego kraju przyniósł wielkie zyski w dającej się przewidzieć przyszłości, nawet, gdyby ożywił się handel zagraniczny Rosji, a Polska udoskonaliła i przystosowała do potrzeb tranzytu swoją sieć komunikacyjną. Morze Bałtyckie i Morze Czarne odciągają ruch z polskiej granicy lądowej. Rosja chce przede wszystkim swojemi okrętami przywozić i wywozić swoje towary. Państwa, które mają żywe stosunki handlowe z Rosją, jak Stany Zjednoczone, Niemcy i Anglja, również chcą dać zatrudnienie swojej próżnującej flocie handlowej i docierają bezpośrednio do portów rosyjskich. Na tranzyt rumuński już bardzo niewiele można liczyć. Pozostaje tranzyt między Niemcami a Prusami Wschodniemi, który ma ograniczone możliwości rozwoju, z uwagi na słabe życie ekonomiczne tego ostatniego kraju. Zresztą polityka niemiecka w każdym razie nie będzie dążyła do intensywniejszego posługiwania się tym tranzytem, woli ona, ile możliwości, skierować tranzyt na drogę morską.

Kraj, który ma tylu emigrantów zarobkowych, jak Polska, z natury rzeczy poważne dochody w swym bilansie płatniczym czerpie z pieniędzy, przesyłanych lub przywożonych przez emigrację. Przed wojną jej oszczędności miały olbrzymie znaczenie w życiu gospodarczem niektórych dzielnic, zwłaszcza Galicji. Na ich zarobkach opierał się w mocnym stopniu kredyt ludowy, w szczególności rozwój kas Raiffeisena. I w pierwszych latach po wojnie wielką doniosłość miały pieniądze, przysyłane ze Stanów Zjednoczonych; bodaj, że stanowiły one najpoważniejszą pozycję naszego bilansu płatniczego.

Od sum, uzyskiwanych od emigrantów, należy potrącić sumy, wywożone z Polski przez emigrację. Wyniki tych obrotów tak się przedstawiają (milj. zł.):

Rok	Przychód	Rozchód	Nadwyżka
1923	234	41	193
1924	271	49	222
1925	258	134	124
1926	241	62	179
1927	243	54	189
1928	271	61	210
1929	278	69	209
1930	292	45	247

W dochodzie z emigracji nie widać wielkich zmian. Wzrost jego w r. 1930, wykazany w prowizorycznych obliczeniach Wiadomości Statystycznych (1932, Nr. 14) wydaje się wątpliwy; pogłębiające się przesilenie nie powinno było wpłynąć na zwiększenie dopływu pieniędzy z emigracji. Trudno oczekiwać, by ta pozycja uległa zwiększeniu w najbliższych latach; raczej może się zmniejszyć. Główna część pieniędzy od emigrantów płynie ze Stanów Zjednoczonych Am. Półn. Np. w r. 1927 na 243 milj. przychodu przypada na Stany Zjedn. 147 milj. Emigracja polska do tego kraju, nieodnawiana przez szereg lat, traciła także i finansowy związek z krajem macierzystym. Natomiast wychodztwo do Francji jest mniej rentowne z powodu niskich płac. Może powiększyć się emigracja do Kanady i niektórych krajów Południowej Ameryki; ma jednak tam widoki wychodztwo rolnicze, a ono mniej pieniędzy wraca krajowi, niż robotnicze wychodztwo, które obecnie podlega najostrzejszym ograniczeniom. Gdyby zresztą wzrosła emigracja z Polski, to przeważnie będzie wymagała pewnych kosztów, zmniejszających nadwyżkę. Naogół międzynarodowe wędrówki zarobkowe ludności nie przybiorą tych rozmiarów w XX w., jakie miały w wieku XIX, bo nie zanoszą na rozluźnienie ograniczeń imigracyjnych. Nie możemy więc liczyć na wzrost dochodów w tym dziale.

Bierną pozycję stanowią wydatki turystyczne w szerokim wyrazu znaczeniu, łącznie z wyjazdami dla celów naukowych i t. d. Oto cyfry (w milj. zł.):

	1927	1928	1929	1930
Przychód	71	98	167	158
Rozchód	122	169	165	245
Nadwyżka (+)				
lub deficyt (—)	—51	—71	+2	—87

Nie uda się wydatnie zwiększyć przychodu od turystów zagranicznych. Polska nie przedstawia dostatecznej dla nich atrakcji; jest równocześnie krajem za mało egzotycznym i za mało kulturalnym w znaczeniu komfortu, wymaganego przez podróżnych. Leży raczej na uboczu głównych szlaków turystycznych. Wszelkie próby ściągnięcia do Polski cudzoziemców, które trzeba robić, dadzą mierne wyniki. Nie widać też, by wzrastało gospodarce zainteresowanie się Polską zagranicą, coby mogło ściągnąć więcej przybyszów. Można zmniejszyć deficyt z turystyki, gdy się zdusi wyjazdy za granicę obywateli polskich, co się zresztą teraz robi. Ale pod tym względem najlepszym sojusznikiem jest bieda; gdy ona będzie mniejsza, wtedy wyjazdy za granicę wzrosną, mimo wszelkich pasportowych ograniczeń.

Wynika z tego, że wybitnej poprawy bilansu płatniczego nie można oczekiwać ani z ruchu tranzytowego, ani z emigracji, ani z turystyki. Wysiłki w tych dziedzinach mają dość ograniczone pole. Czyli że zostaje najważniejsza pozycja: bilans handlowy. Jego ewolucja będzie miała rozstrzygające znaczenie dla naszego bilansu płatniczego, dla naszej pozycji w świecie i wewnętrznej siły gospodarczej. Od bilansu handlowego przede wszystkim zależą losy naszej waluty.

3. By uprzytomnić sobie, jakie nadwyżki powinien dać bilans handlowy, trzeba zwrócić uwagę na ciężar odsetek od kapitałów zagranicznych, ulokowanych w Polsce, dywidend, które wydobywają zagraniczne przedsiębiorstwa i różnych prowizyj, które otrzymuje zagraniczny kapitał. Po potrąceniu przychodów w tej grupie, otrzymamy czysty deficyt w następującej wysokości: w roku 1927 — 229 milj.; w r. 1928 — 284 milj.; w r. 1929 — 380 milj.; a w r. 1930 — 404 milj. zł. W przeciągu czterech lat

wzrost tego obciążenia wyniósł z górą 76%. I to obciążenie, na dłuższą metę, niezależnie od przejściowych wahań, będzie wzrastało.

Na podstawie obliczeń bilansu płatniczego za lata 1923 — 1930 otrzymujemy cyfrę 3.138 milionów, jako czysty wzrost zadłużenia Polski, względnie czyste zwiększenie się stanu posiadania obcego kapitału w naszym majątku narodowym. Cyfra to wysoka, ale bodajże raczej za nisko obliczona. Kredyty towarowe i gotówkowe, udzielone przez zagranicę krajowym przedsiębiorstwom, nie dadzą się w całości uchwycić. Urząd Statystyczny opierał się na ankietach, rozsyłanych do różnych przedsiębiorstw. A takie ankiety zawsze nie dają pełnego obrazu. Nie zawsze również uda się ujawnić nabycie udziałów przez zagranicę w krajowych przedsiębiorstwach, względnie całkowite ich przejęcie przez obcy kapitał. Te rzeczy odbywają się w ciszy i dopiero jakieś wielkie bankructwo, jak np. Amstelbanku, uwydatnia, jak głęboko sięgnął zagraniczny kapitał, jak bardzo uzależnił od siebie przedsiębiorstwa, które uchodziły za krajowe. W tej dziedzinie jest wiele camouflage'u, którego nie zdołają odsłonić zwyczajne badania statystyczne.

Mamy zresztą inne obliczenie stanu zadłużenia Polski. Wiadomości Statystyczne (Nr. 14, 1932), podają, że stan zadłużenia Polski w dniu 31.XII. 1930 wyniósł 10.098 milionów złotych, wierzytelności Polski 1.222 milj. zł.; pozostaje netto zadłużenie 8.876 milj. zł. Z tego przypadało na długi państwa i samorządów 4.214 milj. zł.; na zadłużenie prywatne, przedewszystkiem w postaci kapitałów, zaangażowanych w przedsiębiorstwach polskich, brutto 1.978 milj. zł., kredytów gotówkowych przedsiębiorstw polskich 1.829 milj., następnie zobowiązania bankowe wynosiły 643 milj., kapitały zagranicznych przedsiębiorstw w Polsce 549 milj., kredyty z tytułu handlu zagranicznego 518 milj., prywatne obligacje i listy zastawne 318. Pozostaje więc łącznie z drobniejszymi pozycjami, po potrąceniu wierzytelności, suma 4.662 milj. zadłużenia prywatnego, w znacznym bardzo stopniu krótkoterminowego. Rzecz jasna, że to zadłużenie w lwiej części naro-

sło w okresie lat 1924 — 1930, także i państwowe długi w tym czasie się zwiększyły.

Następnie w ostatnim półtora roku, kiedy kredyty prywatne nie napływały do Polski, a nawet sporo obcych kapitałów zostało wycofanych, wzrosły jednakże długi państwowe. Na 1 lipca 1932 r. zadłużenie zagraniczne samego państwa, bez samorządu, wynosiło 4.553 milj. Obliczenie to nie uwzględnia obciążenia z tytułu pierwszej transzy pożyczki na budowę kolei Śląsk — Gdynia; nie są niem również objęte różne kredyty przedsiębiorstw państwowych i monopolii, różne zobowiązania dłużne skarbu z tytułu dokonanych dostaw, które w pewnej części znalazły się zagranicą. Również tą statystyką długu państwowego nie są objęte niektóre kredyty w stosunku do obcych rządów, jak np. część kredytów francuskich, których konsolidacja znajdzie swój wyraz w następnych latach w budżecie państwa.

Oprocentowanie pięciu państwowych pożyczek emisyjnych możemy z grubsza obliczyć na 93 milj. zł. Nie są oczywiście wliczone korzyści dodatkowe, które czerpią wierzyciele pożyczki włoskiej z tytułu dostaw tytoniu i dzierżawcy monopolu zapalczanego. Długi w stosunku do obcych państw wynosiły dnia 1 lipca 1932 — 2.883 milj. zł. Sprawa tych długów nie jest uregulowana. Polska korzysta w tej chwili z moratorium Hoovera. Być może, że na drodze międzynarodowej nastąpią pewne ulgi w płaceniu tych długów. Ale ostatecznie trudno oczekiwać ich skreślenia. Przejściowe moratoria dadzą dodatkowe obciążenia w latach późniejszych. Trzeba liczyć z grubsza, że oprocentowanie tych długów wyniesie około 3½ %, a więc od sumy 2.883 milj. — 100 milj. zł. Jeżeli uwzględnimy jeszcze obciążenie z tytułu długów samorządowych, następnie różne nowe obciążenia przedsiębiorstw i monopolii państwowych, możemy przyjąć, że normalne oprocentowanie dotychczas zaciągniętych długów przez państwo i samorząd wyniesie około 200 milj. rocznie.

W obciążeniu prywatnego gospodarstwa trzeba odróżnić kredyty we właściwym wyrazu znaczeniu od lokaty obcych kapitałów w przedsiębiorstwach krajowych.

Pierwsze mają swoje określone oprocentowanie. Procent, płacony od listów zastawnych i obligacji jest dość wysoki — również liczy się dosyć dużo od kredytów gotówkowych, jak i od kredytów towarowych, pod różnemi zresztą formami. Nie udziela się Polsce pożyczek krótkoterminowych w tym celu, by zadawałniać się minimalnym procentem.

Następnie kapitał zagraniczny, który w ostatnich kilku latach bardzo się rozszerzył w krajowej wytwórczości, nie osiągał jeszcze normalnego zysku. Szereg potężnych grup finansowych zagranicznych, zaangażowanych mocno w przemysł polskim, w latach wysokiej konjunktury robił duże inwestycje, racjonalizował produkcję, rezygnując z dywidendy lub odsetek od swoich lokat. Wiadomo, że działa się to w przemyśle naftowym, w węglu, w hutnictwie, w przemyśle chemicznym. Robił to w oczekiwaniu przyszłego zniwa. Być może, że rentowność przeinwestowanych przedsiębiorstw zawiedzie, że wiele z nich, z powodu zbyt dużego powiększenia zdolności produkcyjnej, nie da spodziewanych zysków. Niemniej jednak ten kapitał będzie chciał wydobyć dywidendę i procent od swoich lokat, i jeżeli dalsze inwestycje okażą się zbędne, te bieżące zyski będzie wywoził zagranicę. Gdyby zaś część tego kapitału miała odpłynąć z kraju z powodu niedostatecznej rentowności i strat, to taki proces likwidacyjny wytworzyłby też pewien nacisk na nasze zasoby walutowe.

4. Możemy przyjąć, że kapitał zagraniczny, ulokowany w Polsce w prywatnej wytwórczości pod najrozmaitszemi postaciami, oprocentowany jest w przybliżeniu na 7 od sta. Nie wynika z tego, że wszystkie przedsiębiorstwa zagraniczne, działające w Polsce, wydobywają z niej dochód conajmniej w tej wysokości; ale niewątpliwie taki dochód będą usiłowały wydobyć. Jeżeli się przypuszcza, że wcześniej czy później nastąpi poprawa położenia gospodarczego, to musi się ona odbić i na rentowności kapitału zagranicznego w Polsce, na płynności przedsiębiorstw krajowych, zadłużonych u niego. Otóż 7% od 4.662 milj. zadłużenia prywatnego daje rocznie okragło 326 milj. Możemy zredukować tę sumę, ale nie-

wiele, gdy chcemy zachować ostrożność. Nie oznacza ona zresztą rzeczywistego oprocentowania zagranicznego kapitału w Polsce, lecz niejako oprocentowanie potencjalne, z którem trzeba się liczyć, gdy się sięga w przyszłość. Razem z 200 milj. oprocentowania długów publicznych, daje to sumę 526 milj. zł.

Wróćmy do obliczeń bilansu płatniczego. Łączne zestawienie przychodów i rozchodów komunikacyjnych, z emigracji, turystyki, dywidend, procentów i prowizji daje wyniki następujące (w milj. zł.):

Rok	1927	1928	1929	1930
Przychód	616	780	991	876
Rozchód	646	789	1048	1163
Deficyt	30	9	57	287

Za najbardziej charakterystyczną należy uważać cyfry z r. 1930 — 287 milj. deficytu. Ale nie można na tej cyfrze się zatrzymać. Cały szereg okoliczności, wymienionych wyżej, wskazuje na to, że obciążenie w tej grupie będzie wzrastało. Jeżeli się uwzględni nadto potrzebę powiększenia naszych zasobów kruszcowych, by zapobiedz nadmiernemu skurczeniu się obiegu lub poprostu inflacji pod tą lub inną formą, potrzebę uzyskania rezerwy na spłatę zobowiązań zagranicznych w razie niemożności pomagania sobie nowymi kredytami, należy dojść do wniosku, że inne pozycje bilansu płatniczego powinny rocznie dawać nadwyżkę w sumie około 500 milj. zł. Oczywiście, że temi „innymi pozycjami” jest przede wszystkim bilans handlowy.

5. Dotychczas nie dawał tej nadwyżki, a nawet bardzo daleko było do tego wyniku. Ogólny deficyt bilansu handlowego za lata 1923 — 1930, objęte zestawieniami bilansu płatniczego wynosi 2.464 milj. złotych. W obliczeniu tem uwzględnione są nie tylko zarejestrowane obroty towarowe (bez złota), lecz także i obrót niezarejestrowany w ogłaszanej statystyce handlu zagranicznego, przynajmniej częściowo (wartość towarów, sprowadzanych przez instytucje państwowe, obroty z Gdańskiem, przypuszczalna wartość przemytu i t. d.). Gdy się

uwzględni te pierwiastki, które z natury rzeczy są pominięte w zwyczajnej statystyce handlu specjalnego Polski razem z Gdańskiem, to wówczas okaże się, że istotny deficyt obrotu towarowego jest większy, a nadwyżka mniejsza od tej, którą wykazuje statystyka handlu specjalnego.

Dla ilustracji przytoczymy cyfry za lata 1927 — 1930; w pierwszym szeregu podajemy deficyt względnie nadwyżkę handlu specjalnego, a w drugim analogiczne cyfry dla całego obrotu towarowego, według danych, zestawionych w obliczeniach bilansu płatniczego (bez obrotu złota).

Deficyt (—) względnie nadwyżka (+).

(w milionach złotych):

Rok	1927	1928	1929	1930
Handel specjalny	—377	—854	—297	+187
Cały obrót towarowy	—453	—988	—462	+ 68

Rzecz jasna, że tę drugą pozycję, jakkolwiek opiera się w części na hipotetycznych obliczeniach, trzeba brać pod uwagę. Okazuje się, że wykazywane przez statystykę handlu specjalnego deficyty względnie nadwyżki bilansu handlowego trzeba każdego roku powiększyć lub zmniejszyć o sto kilkanaście milionów złotych.

Z pośród lat 1923 — 1930 tylko w trzech latach, na osiem, osiągnięto nadwyżkę bilansu handlowego. Nadwyżka z r. 1923, wynosząca 136 milj. złotych (handel spec.), ma swoje źródło w inflacji markowej; wielka nadwyżka 707 milj. zł. z r. 1926 tłumaczy się niedwuznacznie skutkami załamania się złotego w r. 1925. A więc aktywność naszego bilansu handlowego w niektórych dawniejszych latach osiągnięta została przez działanie sztucznych przyczyn. Czy w ostatnim czasie nastąpiła zmiana tego rodzaju, że zbliżamy się do usunięcia głównych trudności naszego bilansu płatniczego?

Nadwyżka, wykazana przez statystykę handlu specjalnego w r. 1931 wynosi 416 milj. zł. (inne pozycje obrotu

towarowego, zmniejszające tę nadwyżkę, nie zostały jeszcze obliczone). Poprawa nastąpiła nie przez wzrost wywozu, lecz przede wszystkim przez gwałtowne zmniejszenie się przywozu. Przywóz spadł z 2.246 milj. zł. w roku 1930 na 1.462 milj. zł. w r. 1931, czyli o 35%. Równocześnie spadł także wywóz, choć w mniejszym stopniu, z 2.433 milj. na 1.878 milj., czyli o 23%. Nadwyżka bilansu handlowego, w tych warunkach osiągnięta, nie może mieć sama przez się stałego charakteru. W wypadku ostrej depresji gospodarczej nie sprowadza się bardzo wielu rzeczy, które w normalnych czasach będą musiały być sprowadzane; a równocześnie wysyła się wiele towarów zagranicę z oczywistą stratą, byle uniknąć strat większych. Trudno na tem budować.

W pierwszych ośmiu miesiącach 1932 r. nadwyżka wywozu nad przywozem wynosiła 136 milj. zł., gdy w analogicznych miesiącach 1931 r. doszła do 231 milj. Co więcej, spadek tej nadwyżki zaznacza się silniej w miesiącach późniejszych, aniżeli wcześniejszych. Od kwietnia 1932 do końca sierpnia 1932 nadwyżka wywozu nad przywozem dochodzi ledwo do 49 milionów, gdy w tych 5 miesiącach 1931 r. wynosiła 171 milj.

A więc wyniki z ostatnich czasów nie dowodzą jakiegóż zasadniczego i definitywnego zwrotu w kształtowaniu się naszego bilansu handlowego. Jego zagadnienie staje przed Polską w całej swojej powadze.

ROZDZIAŁ IV.

HANDEL ZAGRANICZNY I ZEWNĘTRZNA POLITYKA HANDLOWA.

1. Celem polityki handlowej Polski, wogóle całej polityki gospodarczej, jest uzyskanie znacznej i trwałej nadwyżki wywozu nad przywozem. Można to uzyskać albo przez to, że się zwiększy wywóz, albo że przywóz będzie mniejszy, względnie stosując równocześnie jedno i drugie. W jakim stopniu aktywność naszego bilansu handlowego możemy zdobyć przez zmniejszenie przywozu, a w jakim przez zwiększenie wywozu?

Weźmy za podstawę dwa ostatnie lata, w których bilans handlowy kształtuje się czynnie. W r. 1931 wywóz był większy o 28.5% od przywozu (bez niewidzialnych, nierejestrowanych obrotów), a w pierwszych 8 miesiącach 1932 nadwyżka wywozu wynosiła 23.8%. Nadwyżka wywozu nad przywozem jest niedostateczna, zwłaszcza w r. 1932. Przywóz do Polski w r. 1931 wynosił przeciętnie miesięcznie 123 miliony, a w r. 1932 — 71 milionów. Jest to naprawdę bardzo mało. Polska w międzynarodowych obrotach znajduje się na szarym końcu. Nie oceniając w tej chwili, czy to jest dobrze czy źle, ale dalsza redukcja przywozu jest, w ogólnym swoim wyniku, zdaje się niemożliwa. Nie sprowadza się bardzo wielu rzeczy, które się normalnie będzie sprowadzało. Zmniejszył się przywóz nie tylko zbędnych artykułów, takich, które można zastąpić krajową produkcją, lecz także potrzebnych surowców i instalacyj.

Wydatniejszą nadwyżkę bilansu handlowego można osiągnąć przez zwiększenie wywozu. Przypuśćmy, że przywóz w najbliższych latach będzie wynosił około 1 miljarda złotych rocznie. Bardzo to mało, niewiele ponad 80 milj. zł. miesięcznie, ale zróbmy to przypuszczenie. Jeżeli chcemy uzyskać nadwyżkę wartości 600 milj. zł., wywóz musiałby być większy od przywozu o 60%, czyli że na każde 10 zł. przywiezionych do kraju musielibyśmy otrzymywać 16 zł. za nasz wywóz.

Tak wysokiego współczynnika nadwyżki bilansu handlowego nie da się utrzymać. Nawet przed wojną taka nadwyżka wywozu nad przywozem była bodaj że nieznaną. Np. bardzo czynny bilans handlowy miały Stany Zjednoczone i Rosja; otóż w r. 1911 — 1913 wywóz był większy od przywozu o 34% w pierwszym z tych krajów, a o 24% w drugim. A były to czasy niemal idylliczne w polityce handlowej, w porównaniu z tem, co jest dzisiaj. Narzekano już na rozwój protekcjonizmu, ale wtedy względnie umiarkowane cła nie krępowały zbytnio międzynarodowych obrotów, tani kapitał wyrównywał różnice w bilansach handlowych, a tani towar, bijący konkurencję, mógł wszędzie dotrzeć, mimo barjer celnych. Dzisiaj porównawczy koszt produkcji nie gra takiej roli jak przedtem. Każde państwo oblicza, ile sprowadza od każdego innego państwa i patrzy niechętnie na ujemny bilans wymiany towarowej. Wraca się do *sui generis* wymiany surowej. By importować na cudzy rynek, trzeba na tym rynku zakupić odpowiednią ilość towarów. W tych warunkach trudno o tem marzyć, by udało się conajmniej o 1/2 raza więcej wywozić, niż się przywozi z zagranicy.

2. Konieczność oprocentowania i amortyzacji obcego kapitału, pożyczonego Polsce lub w niej ulokowanego, nadaje swoistą treść idei tak zw. samostarczalności.

Istnieją nieszczęśliwe określenia, które zawsze są źródłem nieporozumień. Używa się bowiem ich w dwójakiem znaczeniu — i wtedy polemiki są łatwe. Do nich należy termin: „samostarczalność”, nie bardzo zresztą piękny. Zwolennicy dalej posuniętego międzynarodowego podziału pracy wykazują, że tak zwana samostarczalność jest absurdem, że w szczególności Polska nie jest w mo-

żności jej osiągnąć. Mają wtedy na myśli zamknięte państwo handlowe, które nie ma żadnych lub prawie żadnych stosunków wymiennych z zagranicą.

Ale niema chyba nikogo, kto by bronił tej fantazji. Polska musi mieć obrót towarowy z zagranicą, choćby dla tego, by mieć z czego spłacać długi zagraniczne, by wypracować nadwyżkę bilansu handlowego. Jeżeli się chce wywozić z kraju, musi się do niego przywozić — na to niema rady. Chyba, że się te długi skreśli, wytworzy się własny, oryginalny system walutowy, niezależny od zagranicy, od jej zaufania. Ale ten eksperyment niełatwo jest przeprowadzić.

Jeżeli przez „samostarczalność” rozumiemy ograniczenie przywozu do minimum, stworzenie u siebie głównych działów produkcji przemysłowej, co by pozwoliło na przetrwanie izolacji od zagranicy przez czas dłuższy, np. jakiejś dłuższej blokady, to na taki system gospodarczy może sobie pozwolić państwo, niesłychanie bogate i różnorodnie uposażone przez naturę, np. Rosja. I istotnie Rosja sowiecka pracuje nad urzeczywistnieniem tego systemu. Jej przywóz, to przedewszystkiem przywóz maszyn i instalacyj, to przywóz surowców i półfabrykatów, których dotychczas jeszcze Rosja u siebie nie produkuje. Jak te próby się powiodą, to inne pytanie. Narazie jesteśmy świadkami bardzo dziwnego zjawiska: ideał zamkniętego państwa handlowego, rzucony przed stu laty z górami przez niemieckiego filozofa, J. B. Fichtego, jako odpowiedź narodowych Niemiec na inwazję napoleońską, urzeczywistnia dzisiaj komunizm, kierunek nawskroś międzynarodowy. I rosyjscy komuniści nie idą w tym przypadku w ślady K. Marxa, który był zwolennikiem wolnego handlu, bo widział w nim nieświadome narzędzie rewolucji społecznej.

Na „samostarczalność” mogłyby sobie pozwolić Stany Zjednoczone Ameryki Północnej — przynajmniej z geograficzno-ekonomicznego punktu widzenia. Mało bowiem jest surowców, któreby one musiały sprowadzać z zagranicy. Ale bogactwo Stanów płynie już w znacznym stopniu z eksportu ich towarów i kapitałów, z ich lokat zagranicznych, nie mają one ochoty cofać się do

granic swojego olbrzymiego zresztą terytorjum. Samostarczalność nie opłaci się Stanom.

A więc w przeważnej ilości przypadków nie daje się urzeczywistnić, a w nielicznych pozostałych przypadkach próby jej urzeczywistnienia nie miałyby racji. Nikt też np. w Polsce nie propaguje samostarczalności w ciśniejszym tego wyrazu znaczeniu. Jeżeli jednak obrońcy oficjalnej polityki handlowej, broniący np. znacznego przywozu ryżu do Polski, powołują się na to, że samostarczalność jest absurdem, to mamy do czynienia z nadużyciem wyrazu, albo co najmniej z nieostrożnem jego używaniem przez jedną lub drugą stronę.

Samostarczalność, w szerszym znaczeniu tego terminu, jest usprawiedliwiona, gdy występuje się w jej imieniu przeciw przywozowi artykułów, które z powodzeniem można zastąpić przez krajową produkcję, gdy następnie chce się o ile możności, przerabiać w kraju surowce, a wywozić gotowe produkty. Dążenie to wyraża się po prostu w tem, by nasze gospodarstwo narodowe było bardziej różnostronne, by mniej było zależne od zagranicy, zwłaszcza w tych gałęziach produkcji, w których wchodzi w grę interes obrony kraju.

Wiąże się z tem dążenie, by w handlu zagranicznym nie być zależnym od jednostronnego obcego pośrednictwa, które redukuje do minimum zyski z wywozu. Kraj, aktywny gospodarczo, będzie chciał mieć własny handel międzynarodowy, docierać ile możności bezpośrednio do nabywcy. Wielką doniosłość ma również okoliczność, z jakimi krajami utrzymuje się stosunki handlowe. Przewaga jednego z sąsiadów w handlu słabszego ekonomicznie kraju nie tylko krępuje jego swobodę na rynkach międzynarodowych, lecz również grozi poważnemi niebezpieczeństwami na wypadek wojny. Dlatego też, w rozważaniu polityki handlowej, nie można ograniczyć się do pytania, ile się przywozi i ile wywozi, lecz trzeba zbadać i kierunki tego handlu. Analiza udziału poszczególnych krajów w handlu zagranicznym Polski z innymi jeszcze przyczyn jest potrzebna.

3. Kraj, który dąży do uzyskania nadwyżki w swoim bilansie handlowym, łatwiej osiągnie ten cel w stosunkach z krajami wierzyielskimi, które ze względu na lokaty kapitału zagranicą mogą sobie pozwolić na bierność bilansu handlowego. Naturalną jest rzeczą, że bilans handlowy kraju wierzyielskiego jest bierny, a dłużniczego czynny. Przytem kraje wierzyielskie mają bardzo rozległy handel, obroty ogromnej wartości, i w tych wielkich sumach łatwiej się przemknie zwiększenie naszego wywozu. Natomiast kraje dłużnicze bronią się zaciekle przed biernością swojego bilansu. Byłoby rzeczą zdrową, gdyby wzmagał się nasz handel z krajami wierzyielskimi, gdyby zwłaszcza wzrastał do nich nasz wywóz, a stosunkowo stracił swoje znaczenie handel z krajami dłużniczymi.

To odróżnienie krajów wierzyielskich i dłużniczych pokrywa się częściowo innem odróżnieniem, już geograficznej natury; kraje dłużnicze, to przedewszystkiem nasi sąsiedzi, to państwa, z któremi poszczególne dzielnice Polski stanowiły jedne całości państwowe. Węzły, wytworzone przez przynależność do tych całości gospodarczych, nie zostały odrazu przecięte przez powstanie niepodległego państwa polskiego. Tradycje wymiany między prowincjami niegdyś jednego państwa nie mogły odrazu stracić swojej siły. Ale byłoby rzeczą naturalną, gdyby Polska, na nowo powstała do życia, wychodziła coraz więcej ze swoim handlem na szeroki świat, wyzwalała się od zależności gospodarczej od swoich dawnych władców.

Z pośród krajów wierzyielskich wchodzą w rachubę następujące: Anglja, Stany Zjednoczone, Francja, Holandja, Belgja i Szwajcarja. Istnieją i inne państwa wierzyielskie, ale ten ich charakter nie jest wyraźny, a przeważnie obroty handlowe z niemi nie mają większego znaczenia. Otóż przypatrzmy się temu, jaki jest udział tych 6 państw w naszym handlu zagranicznym. Najbardziej plastycznie ten udział występuje w liczbach względnych, bo wtedy zacierają się wahania, wywołane przez wielkość zagranicznych obrotów handlowych.

Udział tych 6 krajów wynosi (w proc.):

Rok	Przywóz	Wywóz
1924	30.1	20.6
1925	32.6	15.6
1926	43.4	28.1
1927	37.6	21.3
1928	39.3	17.6
1929	37.0	20.2
1930	36.5	24.2
1931	36.7	33.3
I—VIII 1932	39.5	36.4

O ile udział krajów wierzycielskich w naszym przywozie nie odzwierciedla jakichś głębszych zmian w ciągu tych ośmiu lat, o tyle w ostatnich kilku latach uwidoczniła się wyraźna poprawa w wywozie. W poprzednich latach nasz bilans handlowy w stosunku do krajów wierzycielskich był bierny. To znaczy, że te kraje, które eksportowały kapitały, między innymi także do Polski, miały, razem wzięte, nadwyżkę wywozu do Polski nad przywozem z Polski. Sytuacja ta uległa zmianie dopiero w ostatnich czasach. W r. 1930 nasz przywóz z tych sześciu krajów przedstawiał wartość 818 milionów zł., a wywóz 588 milionów, czyli że deficyt wynosił 230 milionów. W roku 1931, przy przywozie 536 milionów zł., wywóz osiągnął 624 miliony, czyli że nadwyżka wynosi 88 milionów zł. Za pierwsze 8 miesięcy 1932 r. nadwyżka osiągnęła 32 milj. zł. (przywóz 225 milionów, wywóz 257 milionów).

Nadwyżka ta została uzyskana dzięki ogromnemu wzrostowi wywozu produktów hodowlanych do Anglii. Wzrósł także wywóz do Francji i Belgii, ale jest bez porównania mniejszy, niż wywóz do Anglii. Natomiast nie zdołała Polska rozwinąć swojego wywozu do Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej, mimo, że przywóz ze Stanów jest ogromny. Nasz wywóz do Stanów rzadko kiedy osiąga więcej, niż 1 proc. całego naszego wywozu. Zdaje się, że nie wszystkie możliwości w tym zakresie zostały wykorzystane. Nie uruchomiono siły nabywczej i zapotrzebo-

wania polskiego wychodztwa. A równocześnie np. Czechosłowacja w swoim wywozie do Stanów Zjednoczonych osiągnęła bardzo piękne wyniki.

A teraz przyjrzyjmy się ewolucji naszego handlu z sąsiadami. Wchodzą tu w rachubę: Rosja sowiecka (państwa nadbałtyckie możemy opuścić), Niemcy, dalej Czechosłowacja. Nasz handel z Rumunią nie opiera się bynajmniej na dawnych stosunkach handlowych b. Galicji z Rumunią i Siedmiogrodem, dlatego pomijamy Rumunię, podobnie jak i Jugosławję. Natomiast uwzględniamy Austrię, ze względu na jej bardzo żywe stosunki dawniej z Galicją, a teraz z całą Polską, jak również i Węgry, które na znacznej przestrzeni graniczyły z dawną Galicją. Razem więc udział procentowy tych pięciu państw (Rosja sowiecka, Niemcy, Czechosłowacja, Austria i Węgry) w naszym handlu zewnętrznym przedstawia się w ten sposób:

Rok	% przywozu	% wywozu
1924	52.8	62.4
1925	48.9	67.7
1926	37.2	48.1
1927	42.9	57.0
1928	42.3	61.7
1929	42.8	57.1
1930	43.2	50.2
1931	39.8	41.9
I—VIII 1932	32.6	35.5

A więc w powyższych latach nasz handel z krajami sąsiednimi uległ stanowczej redukcji, w porównaniu z handlem z pozostałymi krajami. W latach 1924 i 25 kraje sąsiednie miały bezwzględna przewagę w naszym handlu, zwłaszcza w przywozie do Polski. Zmniejszenie nastąpiło w r. 1926, jako skutek wojny celnej z Niemcami. Potem udział krajów sąsiednich wzrasta się, nie podnosi się jednak do dawnego poziomu, zarówno w przywozie jak i wywozie. Natomiast w czasie, w którym z całą siłą wystąpiły skutki kryzysu, od r. 1931, przyszło bardzo wydatne zmniejszenie tych obrotów, które w r. 1932 schodzą

już po obydwu stronach bilansu prawie do $\frac{1}{3}$ ogólnego handlu zagranicznego Polski.

Równocześnie pogarsza się także stosunek wywozu do przywozu. Coprawda nadwyżka bilansu handlowego osiągnęła w r. 1929 — 274 milj. zł. (wywóz 1.606, a przywóz — 1.332), a w r. 1930 nadwyżka ta podniosła się do 325, przy skurczonym już wywozie i przywozie; natomiast w r. 1931 nadwyżka bilansu z krajami sąsiednimi obniża się do 204 milj. (przywóz 785, wywóz 581 milj.), a w pierwszych 8 miesiącach 1932 r. osiągnięto 67 milj., co stanowi mniej, niż $\frac{2}{3}$ nadwyżki z r. 1931.

Względne zmniejszanie się handlu z sąsiadami jest objawem naturalnym. Z każdym rokiem słabsze są węzły, które łączyły różne dzielnice Polski z krajami, z którymi one stanowiły przed wojną wspólny obszar celny. Ale jeszcze jedna ważna okoliczność wchodzi w rachubę. Najżywsze stosunki handlowe miała Polska w niektórych latach po wojnie z Niemcami. Był czas, kiedy Niemcy panowały nad naszym handlem zagranicznym. Po wojnie celnej 1925 r. udział procentowy Niemiec w naszym handlu nie wrócił do dawnej normy. Pogląd, że między Niemcami a Polską da się urzeczywistnić daleko posunięty podział pracy, okazał się fałszywy. Zarówno z przyczyn gospodarczych, jak i politycznych, Niemcy starają się uczynić zbędnym przywóz płodów rolnych z Polski. Doprowadziły do tego, że w ostatnich czasach nasz bilans handlowy z Niemcami stał się biernym; w pierwszych 8 miesiącach 1932 r. Niemcy osiągnęły nadwyżkę 8 milj. zł.

Nasi sąsiedzi, to kraje dłużnicze, a więc kraje, bardziej skłonne do stosowania radykalnych sposobów w walce o swój bilans handlowy. W stosunkach z nimi istnieją duże trudności płatnicze. Choćby te trudności zostały usunięte, to niemniej wszystkie te kraje będą dążyły do zredukowania naszego wywozu, do usunięcia naszej nadwyżki w stosunkach z nimi.

Nie oznacza to oczywiście, że mamy dążyć do wycofania się z rynków sąsiednich, zaniedbywać nasze stosunki handlowe z Czechosłowacją, lekceważyć zwłaszcza znaczenie rynku rosyjskiego i t. d. Ale nie możemy oprzeć, na dłuższą metę, aktywności naszego handlu przede-

wszystkiem na handlu z sąsiadami — choćbyśmy chcieli to zrobić. Polska musi dalej szukać swoich rynków zbytu, umocnić swój wywóz do krajów zachodnich, do państw wierzycielskich. A w ten sposób równocześnie dojdzie do większego znaczenia nasz handel morski, dostęp do morza stanie się naprawdę podstawą naszego handlu zagranicznego.

4. By wzmóc eksport a ograniczyć import, stosuje się klasyczne już dzisiaj sposoby: cła, zwroty ceł, premje, ulgowe taryfy kolejowe i t. d. Stosują je prawie wszyscy, robi to i Polska; a nawet gdyby w innych krajach był wolny handel, Polska nie mogłaby zrezygnować z protekcjonizmu, przynajmniej w niektórych działach wytwórczości, np. na rzecz przemysłu, mającego szczególne znaczenie dla obrony kraju. Gospodarstwo narodowe jest całością, winno być samodzielną całością. Nie może przystosować się, w dzisiejszych czasach, jednostronnie do międzynarodowego podziału pracy, nie może zasadniczych gałęzi obrotu i wymiany oddać w obce ręce.

Protekcjonizm ma jednak ograniczone działanie; im się go szerzej i głębiej stosuje, tem mniej okazuje się skuteczny. Cło, nałożone na zagraniczny towar, podnosi cenę towaru, produkowanego w kraju, o odpowiednią sumę. Różnicę tę ponosi nabywca towaru — konsument lub producent, zużywający go do dalszej produkcji. Przypuśćmy, że tylko 10% całej produkcji jest obłożonej cłami, w przeciętnej wysokości 50 od sta. Jeżeli wartość całej produkcji przyjmiemy za 1000, przez nałożenie cła na 1/10 w wysokości 50% podniesie się ta wartość do 1050, czyli że ceny przeciętnie wzrosły o 5%. O tyle więcej z ogólnego dochodu społecznego zabiera przemysł, chroniony przez cła, o tyle pomniejsza się realna wartość robocizny, rosną ogólne koszty produkcji. Taką ofiarę można wytrzymać, a przemysł, korzystający z ochrony celnej, odczuje w całej pełni jej dobrodziejstwa; sprzedawać może na rynku wewnętrznym po wyższych cenach, a sam robotnikom, dostawcom surowców i półfabrykatów nie płaci odpowiednio więcej.

Przypuśćmy jednak, że korzysta z ochrony celnej cała wytwórczość, np. w wysokości 50%. Wówczas wszystkie

ceny podniosą się o 50%, wzajemny stosunek cen będzie taki, jak był przed wprowadzeniem ochrony celnej. Każdy producent musi płacić drożej za surowce, półfabrykaty, robociznę, i nie ma z tego pożytku, że sam sprzedaje drożej. Przywilej protekcjonizmu przez to, że staje się udziałem wszystkich, nie jest już więcej przywilejem. Protekcja oznacza ofiarę całości na rzecz części; ofiarę całego gospodarstwa narodowego na rzecz tych jego gałęzi, które ze szczególnych względów wymagają poparcia. Niepodobna jednak protegować wszystkich.

Ochrona celna, która obejmuje prawie wszystkie towary, dotyczy zarówno głównych gałęzi przemysłu jak i rolnictwa, ma niewątpliwie ten skutek, że chroni rynek krajowy od nadmiernego przywozu zagranicznego. Wyższy poziom cen wewnętrznych nie pozwala na zbyt wielki przywóz. Ale łączy się z tem inna ujemna strona: maleją widoki wywozu, gdyż wzrastają koszty produkcji. W ten sposób powszechny protekcjonizm oddziałuje na skurczenie się obrotów międzynarodowych, a w każdym razie tamuje ich rozrost.

Teoretycznie można wykazać bezskuteczność ochrony celnej, ale w praktyce może z niej odnieść protegowana wytwórczość duże korzyści. Dzieje się to wtedy, gdy w parze ze wzrostem cen towarów nie idzie wzrost wynagrodzeń i płac roboczych, gdy poprostu zniżają się realne płace. Niewątpliwie podążą one wcześniej czy później za wzrostem cen towarów. Ale przez okres przejściowy, zanim nie zostaną zawarte nowe umowy taryfowe, koszty produkcji, z punktu widzenia producenta, są mniejsze.

Następnie przez wzrost cen towarów maleje ciężar zaciągniętych długów. Przypuśćmy, że w cenie towaru, równej 100, na oprocentowanie zaciągniętych długów przypadała 20. Obecnie podnosi się cena do 150, ale dług zostaje ten sam. Obroty wzrastają o 50% i wtedy przedsiębiorcy łatwiej jest płacić procenty, gdyż płaci je w tej samej, co przedtem nominalnej sumie, a tymczasem ceny poszły w górę, czyli zmalała realna wartość pieniądza. Dług 100.000 zł. w nowych warunkach jest już lżejszym długiem. Wierzyciel, który otrzymuje 5.000 zł. od swojej wierzitelności, jak i dawniej otrzymywał, ponosi ofiarę;

mniej za tę sumę można kupić. Ale nieraz strata wierzy-
cieli była premją dla dłużników, dawała podnieętą wy-
twórczości.

Zawsze ktoś musi ponosić ofiarę; czy nowy przedsię-
biorca, czy robotnik, czy wierzyciel. Można sobie zdawać
w pełni sprawę z ujemnych stron systemu protekcyjnego,
nie mieć wielkich iluzyj co do jego skuteczności na dłuż-
szą metę, ale mimo to trzeba go stosować. Nietylko dla-
tego, że niemal wszyscy go stosują. W Polsce na pierw-
szy plan wysuwa się zagadnienie, jak dać pracę ogromne-
mu przyrostowi ludności, która niema gdzie emigrować.
Ten wzgląd krzyżuje wszelkie kalkulacje, oparte na czy-
sto gospodarczych podstawach, co do rentowności róż-
nych działów produkcji. W przemyśle musi się znaleźć
lekarstwo na przeludnienie wsi. Bodaj, że rozwój prze-
mysłu — niekoniecznie tylko wielkiego przemysłu — jest
najlepszą reformą rolną.

Nie wynika z tego, że dotychczasowa nasza polityka
handlowa, która stoi zasadniczo na gruncie protekcjo-
nizmu, zasługuje na aprobatę. Brak jej wyraźnej linii, z-
decydowanych podstaw. Zawiera się niepotrzebnie różne
traktaty handlowe, nieraz bardzo egzotyczne, wprowa-
dzając do nich klauzulę największego uprzywilejowania,
co potem, przy poważniejszych traktatach, sprawia tru-
dności. Idzie się czasem bardzo ostro w kierunku protek-
cyjnym, a potem nagle robi ustępstwa, przyznaje wielkie
kontyngenty obcemu przywozowi. Błędną okazała się ra-
chuba, że dojdzie się do porozumienia z Niemcami, że na
niemieckim rynku znajdą w większych ilościach zbyt na-
sze płody rolne. Podpisano i ratyfikowano traktat han-
dlowy z Niemcami, który nie wszedł w życie, mimo, że za
niego zapłacono wysoką cenę z rachunku likwidacji nie-
mieckiej własności.

Nie zawsze jednak państwo może tak daleko posuwać
protekcjonizm, jakby chciało. Zagraniczni kontrahenci
mają niekiedy bardzo skuteczną broń w swoich rękach —
nacisk kredytowy. Państwo dłużnicze, jakim jest Polska,
jest zależne od dopływu obcego kapitału; dużo jednak
znaczy stopień i rodzaj tej zależności. Gdy się szuka po-
życzek za każdą niemal cenę, gdy potrzebne są one ze

względów walutowych i budżetowych, wówczas Polska, targująca się o swój wywóz i broniąca się przed nadmiernym przywozem, jest w położeniu bardzo trudnym. A pozatem wyniki polityki handlowej zależą od ogólnej zewnętrznej polityki państwa, od jego stanowiska w świecie.

5. Zasadniczo nikt jednak nie kwestionuje potrzeby uprawiania polityki protekcyjnej. Wysokie nawet cła na obce towary nie budzą strachu. Wprowadzenie cel na import zbóż chlebowych przeszło zupełnie gładko. Ale w dzisiejszych warunkach nie wystarcza już zwyczajny protekcjonizm celny. Konsekwencją wszechstronnej ochrony celnej jest wywóz towarów po cenach niższych od wewnętrznych, powszechnie zwany „dumpingiem”. I ta metoda walki o rynki zagraniczne budzi zastrzeżenia i spory.

Hasło walki z dumpingiem jest dość popularne, ale zakres pojęcia dumpingu nie jest ustalony. Używa się często wyrażen: dumping walutowy, dumping kredytowy, które mają treść bardzo szeroką. Specjalny charakter ma tak zw. dumping sowiecki, z uwagi na odrębne podstawy kalkulacji w Sowietach, aniżeli w innych krajach. Państwa o wysokich kosztach produkcji, broniące się przed zalewem towarów z krajów o niższych kosztach, mają skłonność oznaczać nazwą dumpingu każdy przywóz po wybitnie niższych cenach. Jeżeli jakiś kraj ze względu na niestałą walutę ma niższy poziom cen wewnętrznych, aniżeli jego konkurent, wywozu, który w tych warunkach odbywa się, nie można nazywać dumpingiem. Podobnie kraj o obfitości kapitału daje łatwo kredyty zagranicznym odbiorcom, czego nie może dać kraj ubogi w kapitał. Różnice w kosztach produkcji i możliwościach wywozu między różnymi krajami są rzeczą naturalną, istniałyby także i w systemie wolnego handlu. Pojęcie „dumpingu” ma treść bardziej określoną.

Przez dumping możemy rozumieć planowe sprzedawanie towaru zagranicą po cenach o tyle niższych, że ten wywóz ma rację tylko w związku ze sprzedażą towaru po wyższych cenach na rynku wewnętrznym. A więc świadomie sprzedaje się taniej zagranicą, a drożej w kraju

i wyższa cena krajowa umożliwia tańszy zbył zagraniczny. Dumping polega na różnicowaniu ceny.

Dlaczego to się robi, dlaczego nieraz, jak się to mówi, sprzedaje się „ze stratą”? Pojęcie „straty” jest względne. Między kosztami produkcji trzeba odróżnić koszty stałe i koszty zmienne, zależne od jej rozmiarów (surowiec i robocizna). Gdy przedsiębiorstwo jest w ruchu np. w 30% swej zdolności produkcyjnej, koszty stałe (ogólny zarząd, amortyzacja budynków i maszyn, niektóre podatki i t. d.) rozkładają się na cały zbył. Jeżeli przedsiębiorstwo może zwiększyć produkcję np. o 20%, to tę dodatkową produkcję może sprzedawać po cenie, uwzględniającej tylko koszty zmienne, a więc po cenie niższej. Sprzedaje się np. na rynku wewnętrznym po cenie, pokrywającej wszystkie koszty, a na rynku zagranicznym po cenie kosztów zmiennych. Nie można twierdzić, że w tym wypadku konsument krajowy dopłaca do sprzedaży zagranicą po niższych cenach. Gdyby bowiem nie było wywozu zagranicznego, cena krajowa nie byłaby niższa.

Często jednak idzie się jeszcze dalej. Cena zagraniczna nie pokrywa nawet kosztów zmiennych. Wtedy istnieje dopłata, wtedy wszyscy krajowi odbiorcy towaru ponoszą *sui generis* podatek na rzecz wywozu. Uprawiają ten dumping przedsiębiorcy z własnej inicjatywy, by zdobyć nowe rynki, by nie dać się z nich wyprzeć konkurencji, w nadziei, że kiedyś uzyskają lepsze ceny, albo też zabezpieczy je międzynarodowe porozumienie. Często jednak nacisk w kierunku uprawiania dumpingu wywiera państwo. Zależy mu na tem, by nie kurczył się handel zagraniczny i nie zmniejszał przez to dopływ walut i dewiz, albo też by zmniejszenie zbytu zagranicznego nie pociągnęło za sobą wzrostu bezrobocia z jego finansowymi i społecznymi skutkami.

Ofiary na rzecz zagranicznego wywozu mogą się wyrażać nietylko w bezpośredniej wyższości ceny krajowej, co w oczach ogółu uchodzi za typowy wyraz dumpingu. Państwo chcąc poprzeć wywóz, może przyznawać premje wywozowe; uwalniać eksport od podatków; przewozić towary, wysyłane zagranicę, po cenach, niepokrywających kosztów przewozu na państwowych kolejach żelaznych.

W pierwszym wypadku, wyższej ceny w kraju, ów podatek na wywóz płać tylko odbiorcy danego towaru, w drugim zaś ciężar forsowania wywozu rozkłada się na całe gospodarstwo, w postaci wydatków z budżetu na premje, konieczności pokrycia deficytu kolejowego lub ubytku normalnych dochodów skarbowych. W jednym i drugim wypadku społeczeństwo ponosi ofiary. Ponoszenie ich traci swoją rację, gdy są one za wielkie.

Można poprzeć dumpingiem wywóz jednej lub kilku gałęzi produkcji; ale niepodobna na dumpingu opierać przeważnej części zagranicznego wywozu. Z przyczyny bardzo prostej. Dumping doprowadza do zwyżki cen towarów, względnie do wzrostu obciążeń publicznych, co również podraża koszty produkcji. I w ten sposób wywóz z kraju, w całości wzięty, staje się trudniejszy, gdyż wewnętrzny poziom cen jest za wysoki. Polityka handlowa państwa wpada w błędne koło. Każę się dopłacać do wywozu, a równocześnie muszą płacić więcej za robociznę, za surowiec i półfabrykaty, ponosić większe ciężary podatkowe, te wszystkie gałęzie produkcji, na rzecz których wprowadza się dopłaty. Co daje się jedną ręką, drugą się odbiera.

Nie można zerwać odrazu z dumpingiem, z uwagi na bilans handlowy, na stan zatrudnienia w kraju. Ale można i trzeba wprowadzić w ten cały system popierania eksportu pewien porządek. Można przeobrazić go, wychodząc z zasady, by jak największy wynik osiągnąć jak najmniej kosztem. Zgodnie z tem, w granicach dopuszczalnego w tej chwili dumpingu, należy przeprowadzić następujące zasady.

Po pierwsze ograniczyć wywóz artykułów, przy których dopłata jest stosunkowo wysoka, na rzecz wywozu towarów, nie wymagającej tak wysokiej dopłaty. Nie jest obojętne, czy różnica ceny wynosi 100, czy 20%. W szczególności intensywniejsze poparcie wywozu niektórych płodów gospodarstwa rolnego, a ograniczenie zbyt silnie forsowanego wywozu niektórych surowców przemysłowych, sprzedawanych w kraju po bardzo wysokich cenach, a zagranicą niemal za bezcen, mogłoby przyczynić się do przywrócenia wewnętrznej równowagi cen.

Po drugie pierwszeństwo w wywozie należy dać tym artykułom, które mają stosunkowo wielki zbyt wewnętrzny, kosztem wywozu artykułów o słabym wewnętrznym zbycie. Jeżeli sprzedaje się zagranicę o 50% taniej, niż w kraju, ale wywóz jego wynosi 2 razy tyle co zbyt wewnętrzny, wywołuje to daleko większe podniesienie ceny wewnętrznej, niż w wypadku, gdy z całej produkcji tylko $\frac{1}{3}$ lub $\frac{1}{4}$ wywozi się zagranicę. Równoległe z tem zwiększenie zbytu krajowego, opłacalnego, zmniejsza ciężar dumpingu, który ponosi całe gospodarstwo.

Po trzecie jeżeli zmniejszył się zbyt zagraniczny towarów, do których grubo się zdaniem przedstawicieli przemysłu dopłaca, a zbyt wewnętrzny nie zmalał w tym samym stopniu, powinno to spowodować odpowiednią zniżkę ceny wewnętrznej, co może pośrednio przyczynić się do podniesienia eksportu. Dumping nie może być powodem sztucznego podtrzymywania cen przez kartele.

U nas cały system dumpingu jest w znacznym stopniu dziełem przypadku, prywatno - gospodarczych zabiegów, w mniejszym zaś rezultatem świadomej polityki gospodarczej rządu i organizacji przemysłowych.

6. Czasami rozważa się u nas pytanie, na wywozie jakich artykułów ma się oprzeć wywóz z Polski: czy dla wywozu ma większe znaczenie rolnictwo, czy też górnictwo i przemysł. Spory na ten temat są bezpłodne. Musimy wywozić to, co się da wywozić. Ale ewolucja naszego wywozu uwydatnia następujące fakty:

a) wywóz z Polski w zakresie górnictwo - przemysłowym jest przede wszystkim wywozem surowców i półfabrykatów; wywóz produktów przemysłu przetwórczego jest na szarym końcu;

b) w wywozie płodów rolnych na pierwszy plan wysunęły się płody hodowlane, wywóz zboża niema większego znaczenia;

c) wywozimy wiele artykułów w stanie nieprzerobionym i nieobrobionym, przez co wywóz nie jest dostatecznie intratny;

d) główne artykuły wywozu z Polski należą do grupy nieopłacającego się eksportu, wymagają dopłat, jak np. węgiel, cukier i nafta;

e) perspektywy wywozu niektórych artykułów, jak np. drzewa, są daleko gorsze obecnie, niż były kilka lat temu.

Z tych samych faktów wynika wniosek, że struktura naszego wywozu będzie musiała ulec przeobrażeniu. Ostatecznie nie ma racji, *à la longue*, wywozić surowce po zbyt tanich cenach, które uzdalniają zagranicę do konkurencji z nami w zakresie przemysłu przetwórczego. Przykład innych krajów, jak np. Czechosłowacji, dowodzi, że można i w dzisiejszych warunkach zdobyć sobie rynek na gotowe wyroby przemysłowe, nawet rynki zamorskie; dowodem ogromny zbyt wyrobów czeskiego przemysłu ceramicznego. Na bezwzględnej przewadze wywozu tanich surowców niepodobna jednostronnie się opierać. Trudniejszym niewątpliwie jest wywóz gotowych wyrobów przemysłowych, gdyż nie wchodzi tu w grę artykuły standaryzowane, proste w swojej jakości. Ale jeżeli nasz bilans handlowy ma być bardziej aktywny, musi i w organizacji naszego handlu zagranicznego przejawiać się więcej aktywności.

Niewątpliwie przeszkodą w tym wypadku jest okoliczność, że bardzo znaczna część naszego wielkiego przemysłu jest w rękach obcych. Obcy przedsiębiorca dba przede wszystkim o to, by opanować polski rynek. Przy stosowuje się do faktu ochrony celnej polskiego rynku, zakłada tu czasem swoje przedsiębiorstwa, by eksploatować, na zbyt wewnętrzny, swoje patenty. Ale naogół nie przychodzi do Polski w tym celu, by korzystając z taniej robocizny w Polsce, wytworzyć towary na zbyt zagraniczny — nawet w wypadkach, gdy w kraju jest surowiec, czego przykładem jest gospodarka monopolu zapalczanego, który to monopol zwolnił się z obowiązku eksportu. Czasami może być w interesie obcego kapitału tamowanie produkcji w Polsce, jej ograniczenie, by jej współzawodnictwo nie dawało się we znaki na rynkach, już dawniej opanowanych przez ten obcy kapitał. Wyrazem tego są rady różnych ekspertów i doradców zagranicznych, by Polska nie tworzyła u siebie „sztucznego przemysłu”.

Z chwilą, gdy jakiś dział produkcji jest w rękach obcej grupy finansowej, ona oczywiście czerpie korzyści z zy-

sków na handlu zagranicznym, ona zajmuje się tym handlem. Ale nawet tam, gdzie wywozimy produkty rodzimej wytwórczości, nie mamy jeszcze dostatecznie zorganizowanego eksportu, by dotrzeć do najlepszego rynku, by doprowadzić towar do możliwie najdalszego punktu i osiągnąć zyski z pośrednictwa handlowego. Ten czynnik obniża rentowność naszego wywozu.

Podobnie jest i z przywozem. Można poprawić bilans handlowy przez to, że się będzie kupowało potrzebne towary możliwie najtaniej, bez niepotrzebnego obcego pośrednictwa. Pod tym względem zawsze jeszcze ciąży na nas pośrednictwo niemieckie. Niewątpliwie przeciwdziała temu uprzywilejowanie przywozu morskiego przez port w Gdyni, ale to nie wystarcza. Wiele zależy od tego, kto się zajmuje handlem zagranicznym, jakich mamy eksporterów i importerów. Handel w Polsce jest słabo zorganizowany, a handel zagraniczny należy do najtrudniejszych jego działów. Dużo czasu potrzeba na to, by zając w tym handlu naprawdę samodzielne stanowisko, ale w tym kierunku trzeba skierować bardzo intensywne wysiłki. Nie powinno się powtórzyć to, co się stało w dawnej Polsce: Polska miała wielki wywóz, ale inni zarabiali na tym wywozie, a obce towary przywoził do Polski uprzywilejowany kupiec zagraniczny.

7. Doniosłość popierania wywozu jest rozumiana powszechnie. Powtarza się czasami, zwłaszcza gdy bilans handlowy się psuje, z wielkim patosem hasło: wszystko dla wywozu, „wszyscy na szanice”. Wszakże rozwój wywozu zależy od dwojakiego rodzaju czynników: od zabiegów, które go bezpośrednio wzmagają i od ogólnych warunków gospodarczych, od całej polityki gospodarczej i finansowej państwa, choćby napozór nie miała ona związku ze sprawą wywozu. Pole działania bezpośredniej protekcji eksportu jest ograniczone. Wymaga ona ofiar, a nie zawsze stać nas na te ofiary; a zresztą, im więcej się ich ponosi, tem ich działanie jest mniej skuteczne. Rozstrzygające znaczenie mają ogólne warunki gospodarcze, struktura gospodarcza kraju i cała linja rozwoju jego gospodarstwa. Nie można oddzielić zagadnień wywozu od

innych zagadnień. Wywóz, jego kierunki i rozmiary, są funkcją położenia gospodarczego kraju.

Oto warunek zasadniczy: by wywóz mógł się rozwijać, by nie upadał, gdy tracą siłę sztuczne jego podniety, koniecznym jest, by koszty produkcji w Polsce były niższe. Nie możemy dopuścić do tego, by nasze ceny zrównały się z poziomem cen zachodnich. Takie zrównanie byłoby dla nas katastrofą. U nas długie jeszcze lata kapitał będzie droższy, dlatego też towary i robocizna muszą być tańsze. W przeciwnym razie nie utrzymamy niezbędnej równowagi gospodarczej, staniemy się biernym rynkiem zbytu obcej produkcji, mimo najwyższych murów celnych — dopóki będziemy mieli czym płacić za obce towary.

Niższy koszt produkcji, to niższa cena płacy roboczej. Nie znaczy to, że dzisiejsze płace, wzięte w całości, są za wysokie. Polska z konieczności zresztą musi mieć tanią robociznę, gdyż ma znaczny przyrost ludności, wielką podaż rąk roboczych, a równocześnie emigracja zarobkowa nie przybiera większych rozmiarów. Ale nie można iść na tej drodze zbyt daleko, gdyż nasz przemysł i cała nasza wytwórczość zależna jest od pojemności i zdolności chłonnej rynku wewnętrznego. Równocześnie względnie niskie koszty robocizny oznaczają także i niski poziom kierowniczych wynagrodzeń i wszelkich ogólnych kosztów. Jeżeli w Polsce robotnik dostaje mniej, niż zagranicą, mniej musi otrzymywać dyrektor i prezes zarządu, mniej musi kosztować reprezentacja i zastępstwo interesów zawodowych. Wygórowane koszty zarządu przy małych obrotach i małych zyskach zaważyły ujemnie na bycie niejednego przedsiębiorstwa. A dalej bardzo ważnym pierwiastkiem kosztów produkcji jest obciążenie fiskalne i społeczne, jest cały system danin publicznych, pobieranych pod różnemi postaciami; jest koszt usług, oddawanych przez przedsiębiorstwa publiczne.

W ten sposób wchodzimy na teren bardzo rozległy, wymagający wszechstronnego oświecenia. Zagadnienie handlu zagranicznego sprowadza się do zagadnienia warunków i kosztów naszej wytwórczości. Zanim poruszymy

te wszystkie problemy, wspomnijmy o jednym bardzo ważnym pierwiastku kosztów: o koszcie kredytu.

Gdy się docieka przyczyn zbędnego nieraz importu, stwierdza się fakt, że przychodzą do kraju towary, które ani nie są niezbędne, ani ich cena nie jest zasadniczo niższa od ceny krajowej, a przychodzą one dlatego, że importer zagraniczny daje takie warunki kredytowe, których nie może dać krajowy producent. Także wywóz, mimo niższych cen, cierpi na tem, że nasz eksporter nie może dać dogodnego kredytu, bo sam go nie ma, albo pożycza na wysoki procent. Stąd wyłania się postulat taniego kredytu eksportowego. Jeżeli ma go dostarczać państwo lub banki państwowe, to wówczas dopłaca się do niego i wytwórczość płaci podatki na różnicę procentu. Kredyt eksportowy będzie wówczas tani, gdy wogóle kredyt będzie tani, gdy pieniądź w Polsce stanie się bardziej płynny, gdy produkcji nie będzie hamował niedostatek kapitału obrotowego. Kredyt w Polsce, jak już wspomniano, będzie droższy niż gdzieindziej, ale chodzi o to, by zmniejszyć i złagodzić tę ogromną różnicę między stopą procentową w innych krajach, a rzeczywistą naszą stopą procentową. Wielu ludzi nie zdaje sobie sprawy z tego, jak ogromną doniosłość w całym życiu gospodarczym, a w szczególności w zagadnieniu handlu zagranicznego ma sprawa kredytu — i jak wiele w tej dziedzinie dopuszczono się błędów i popełniono lekkomyślności.

ROZDZIAŁ V.

KREDYT I OBCE KAPITAŁY.

1. Polska nie ma jednego systemu kredytowego; to najbardziej wybitne znamię naszych stosunków kredytowych. Istnieje system kredytu, oparty o Bank Polski, banki państwowe i częściowo prywatne banki akcyjne. Stopa dyskontowa i lombardowa Banku Polskiego jest niezbyt wysoka, obniża się ją nawet czasem, gdy obniża się ona na innych rynkach. Na podobnych warunkach, jak w Banku Polskim, korzysta czasami przedsiębiorca z kredytów zagranicznych; udzielają, a raczej udzielały uprzywilejowanym takiego kredytu banki państwowe. Te ostatnie mają cały szereg kredytów, krótko i długoterminowych, niskoprocentowanych, na specjalne cele. Z osobnych funduszków popiera się kredyt budowlany, udziela się ulgowych kredytów na eksport. Kto z tych różnych kredytów korzysta, nie odczuwa specjalnie drożyzny stopy procentowej.

By uchronić innych dłużników od wyzysku, wprowadzono w drodze ustawy ograniczenia stopy procentowej. Nie przeszkadza to temu, że „Wiadomości Statystyczne” ogłaszają czasem stopę dyskontową od „pierwszorzędnych” weksli na wolnym rynku, wyższą od stopy, prawnie dopuszczalnej. Nie zajmuje się tem wykroczeniem ani prokurator, ani władze skarbowe. Zapomnieli już ludzie o tem, że takie ograniczenia istnieją. Zakaz pobierania

wyższych odsetek należy do martwych przepisów, pozbawionych siły; swoim istnieniem podrywa on powagę prawa w Polsce, ale lichwy nie poskramia.

Istnieje oficjalny system kredytu, którego obroty rejestruje statystyka, o którym dobrze wiadomo, jak działa i jakie ma rozgałęzienia. Obok niego, w bardzo znacznym stopniu od niego niezależnie, istnieje drugi, podziemny świat kredytowy. Gdy się wejrzy w jego zakamarki, budzą one grozę. Niektóre instytucje finansowe dokonywują czasem operacji na warunkach, dość daleko odbiegających od przyjętych za normalne. Ale bądź co bądź skrepowane są nadzorem państwowym. Natomiast istnieje wielu wierzycieli prywatnych. Ludzie, którzy uratowali resztki fortuny, którym udało się zarobić kilka lub kilkanaście tysięcy, nie idą z swemi kapitałami do kas lub banków, lecz puszczają je w ruch na własny rachunek. Po wsiach trudnią się czasami pożyczaniem na procent bogatsi chłopci. Dominuje oczywiście nad wszystkim nieśmiertelny, typ lichwiarza żydowskiego, powszechnie znane „Pajaki”.

Rozpiętość stopy procentowej w tym obrocie jest ogromna. Kredyt, uzyskany na 3 lub 4% miesięcznie, nie uchodzi jeszcze za nadmiernie wysoko oprocentowany. Na tych warunkach pożyczają często poważne firmy przemysłowe i handlowe, dużo jest tego rodzaju kredytów ziemiańskich. A to oprocentowanie miesięczne wynosi tyle, albo nawet więcej, ile płaci się od łatwo dostępnych kredytów krótkoterminowych we Francji, Belgji, Szwajcarji, w stosunku rocznym. Trafiają się jednak pożyczki, od których płaci się po 80, po 100%. Badania, przeprowadzone nad lichwą na wsi, ujawniały procenty, wynoszące i 300 rocznie.

Operacje te przybierają najrozmaitsze postacie, nie zawsze dadzą się ująć ściśle w pieniężnych obliczeniach. Znam wypadek, który nie razi nikogo w środowisku, w których się zdarzył: żyd — lichwiarz pożycza zawodowemu woźnicy stary powóz, wartości około 500 zł., bierze za jego wypożyczenie 5 zł. dziennie, a dłużnik nadto po paru miesiącach ma ten powóz zremontować. Sprzeda-

je się czasem towary na kredyt, a w ich cenie mieści się ogromne oprocentowanie; w niektórych okolicach kraju wyrobnicy wiejscy lub komornicy odrabiają pożyczone pieniądze w gospodarstwie wierzyciela na warunkach, które mocno przypominają najgorsze stosunki pańszczyźniane.

Pomijając jednak te jaskrawości, trzeba stwierdzić, że z nadmiernie oprocentowanego kredytu, a za taki w każdym razie należy uznać dług, oprocentowany na kilkanaście procent, nie korzystają tylko bankruci, ludzie nieodpowiedzialni finansowo, od których wierzyciel musi brać wysoki procent, by się zabezpieczyć przed ryzykiem straty. Posługują się takim kredytem dłużnicy, w normalnych warunkach najlepiej wypłacalni — np. chłopci. Gdy zacięcia się możliwość uzyskania kredytu, opartego o dyskonto w Banku Polskim, wówczas schodzą do tych podziemi kredytowych ludzie, którzy przedtem nie płacili nadmiernych procentów.

Wiadomo dobrze, że tak zw. lichwy nie uda się wytepić represjami ustawowemi i administracyjnymi. A dopóki nadmierny, rujnujący nieraz procent będzie pospolitem zjawiskiem, a długi tego rodzaju będą zaciągali ludzie, których położenie i funkcje ekonomiczne, przez nich sprawowane, uprawniają do innego kredytu, dopóty nie będzie w Polsce prawidłowych stosunków kredytowych, a temsamem i gospodarczych.

2. Cechą najbardziej wyraźną naszego systemu kredytowego jest ogromna przewaga publicznych instytucyj kredytowych. Na dzień 30 kwietnia 1932 r. kapitał zakładowy i rezerwy 60 banków akcyjnych (poza Bankiem Polskim), wynosiły 312.4 milj. zł.; a zaś kapitał własny i rezerwy dwóch banków państwowych (B. G. K. i P. B. R.) wynosiły 386 milj. zł. P. K. M. zestawia w „Rolniku Ekonomicznym” (Nr. 18 r. 1932), ile z pośród pożyczek hipotecznych udzielonych w listach zastawnych i obligacjach, przypada na instytucje prywatne i samorządowe, a ile na obydwa banki państwowe. Podajemy tu tylko stosunek procentowy pierwszej i drugiej grupy:

Rok	Inst. prywat. i sam.	B-ki państw.
1925	42.20	58.80
1926	27.13	72.87
1927	37.88	62.16
1928	37.32	62.68
1929	30.37	69.63
1930	41.48	58.52
1931	45.62	54.38

Przewaga banków państwowych jest widoczna. Jeżeli nadto uwzględni się fakt, że w grupie instytucyj prywatnych i samorządowych te ostatnie również mają charakter publiczny, jeżeli się przypomni, jak są alimentowane różne towarzystwa kredytowe ziemskie, w jak wielkim stopniu korzystają z funduszy publicznych i przymusowej oszczędności, dojdzie się do wniosku, że kredyt długoterminowy w Polsce jest kredytem publicznym, w stopniu daleko większym, niż w jakimkolwiek innym kraju.

Mniejsza jest rola państwa w kredycie krótkoterminowym. Ale i tutaj etatyzm kredytowy posunął się bardzo daleko. P. K. O. gromadzi stosunkowo wiele wkładów oszczędnościowych w porównaniu z wkładami po bankach akcyjnych i spółdzielniach kredytowych. Wkłady te idą w zbyt wielkim stopniu na lokaty w listach zastawnych i obligacjach, a potrzeby kredytu krótkoterminowego są bardzo słabo zaspokojone. Albo zwróćmy uwagę na zjawisko bardzo charakterystyczne, a zarazem i niebezpieczne: najpoważniejszym klientem Banku Polskiego są banki państwowe, zarówno w dyskoncie weksli, jak i w lombardzie. Wdzierają się do portfela Banku Polskiego weksle różnych przedsiębiorstw i monopolii państwowych, które mają charakter weksli finansowych, ich dyskonto jest ściśle związane z deficytem budżetowym państwa. Bank Gospodarstwa Krajowego zastawia papiery Państwowego Banku Rolnego, a Bank Rolny papiery tamtego banku. Kredyty prywatnego życia gospodarczego muszą być mniejsze, gdyż państwo i jego przedsiębiorstwa występują jako bardzo natarczywy i wpływowy dłużnik.

Różnica między kredytem prywatnym a kredytem pu-

blicznym zasadza się przedewszystkiem w odmiennej polityce kredytowej. Bank prywatny przy udzielaniu kredytów baczy przedewszystkiem na wypłacalność dłużnika. Gdyby inaczej postępował, doszedłby szybko do bankructwa. Bank czy jakaś inna instytucja państwowa, udzielając kredytu, ma na oku względy społeczne. W innym razie kredyt publicznym nie miałby racji, bo przecież państwo nie zakłada banku dla zarobku. Gdyby państwo przeznaczało na akcję kredytową ściśle określone fundusze, które czerpie z budżetu, ta akcja miałaby swoje uzasadnienie; można np. przy pomocy taniego kredytu popierać meljoracje, komasację, podnosić poziom ekonomiczny rzemiosła i t. d. Byłyby to jednak ściśle określone ofiary, ograniczone w swoich finansowych możliwościach, które nie naruszają całego systemu kredytowego, opartego na prywatno - gospodarczych podstawach. Gdy jednak kredyt publiczny wysuwa się na czoło w ogólnych obrotach kredytowych, zarazem nie jest oparty na opłacalności i bezpieczeństwie, jako na głównej podstawie, wówczas powstaje położenie bardzo ciężkie. Przesilenie gospodarcze uwydatnia, że cały ten gmach kredytu publicznego stoi na glinianych nogach.

Teoretycznie banki państwowe wymagają bardzo surowych zabezpieczeń. Ale nie zawsze te normy są przestrzegane. Niezależnie od tego, z chwilą, gdy ustawy ograniczają dobór klientów banku do pewnej, specjalnie oznaczonej grupy, bank państwowy nie ma możliwości doboru sobie najlepszych dłużników, z czego korzysta bank prywatny. W udzielaniu kredytu działają różne względy uboczne, nieraz wpływy polityczne, co dla kredytu jest zabójstwem.

Cytowany poprzednio autor, p. K. M. wykazuje, że pożyczki, udzielane przez P. Bank Rolny nabywcom parcel, trafiły na bardzo słabych dłużników, dla których te pożyczki stały się bardzo wielkim ciężarem. Pożyczki, udzielone na kupno gruntu przez P. Bank Rolny w niektórych województwach, jak krakowskiem i śląskiem, wynoszą ponad 1.000 zł. na 1 hektar. Nabywcy tych parcel, którymi z reguły nie są zamożniejsi włościanie, muszą, przy dzisiejszej rentowności gospodarstwa rolnego, płacić przez

długi szereg lat około 9% rzeczywistego oprocentowania, a są obciążeni ponadto lichwiarskimi długami; nie zdołają wywiązać się ze swoich zobowiązań.

W Banku Gospodarstwa Krajowego suma wszystkich pożyczek komunalnych i budowlanych stanowi prawie $\frac{2}{3}$ ogółu kredytów w listach zastawnych i obligacjach. Poszły te pożyczki na finansowanie różnych inwestycji komunalnych, do robienia których na wielką skalę zachęcały zarówno władze nadzorcze samorządu, jak i sam B. G. K. Dzisiaj szereg gmin jest jawnie niewypłacalnych, a bardzo wiele są wypłacalnemi tylko w teorii. Można by wykazać na konkretnych przykładach, że niektóre samorządy nie zdołają wogóle oprocentować porobionych na kredyt inwestycji. W pożyczkach budowlanych B. G. K. na pierwszy plan wysunęły się spółdzielnie budowlane; w myśl planów rozbudowy miast pierwszeństwo tych kredytów przysługuje gminom miejskim, instytucjom społecznym i humanitarnym i spółdzielniom, a potem dopiero idą inne osoby fizyczne i prawne. W ten sposób, jak podkreśla p. K. M., ze względów polityki socjalnej przyznano uprzywilejowane stanowisko jednostkom, które z reguły nie reprezentują prawie zupełnie własnego kapitału, które stawiają domy niemal wyłącznie za udzielone im kredyty z funduszy publicznych. Mimo niskiej stopy procentowej, mimo różnych przywilejów, te spółdzielnie nie potrafią ani domu na czas wykończyć, ani też często nie umieją go budować. Ludzie, którzy mieli bardzo skromne dochody, pozaciągali nadmierne zobowiązania. Gdy te dochody się zmniejszyły, przyszły bankructwa i ciężkie katastrofy. Niejeden z tych, komu polityka socjalna - kredytowa państwa chciała udzielić szczególnej pomocy, przeklina tę chwilę, kiedy z tej pomocy zaczął korzystać. A kończy się to nietylko na stratach jednostek, lecz podrywa także pozycję wierzyciela.

A konsekwencje udziału B. G. K. w różnego rodzaju prywatnych przedsiębiorstwach przemysłowych i handlowych? Zbyt dobrze są znane, by wymagały wielu komentarzy, wystarczy przytoczyć jeden przykład. B. G. K. otworzył spółce „Zjednoczone Zakłady Przemysłowe K. Scheiblera i L. Grohmana w Łodzi” kredyt do wyso-

kości 2½ milj. dolarów; saldo debetowe tej spółki dnia 30.VI. 1931 wynosiło 22.076 tys. zł. Ponadto skarb niezależnie od tego udzielił gwarancji tej spółce w wysokości 1.000.000 dol. i 6.250.000 fr. szw., Bankowi Polskiemu jest ona winna około 9 milj. zł., prócz tego znaczne sumy wierzytelom prywatnym. Ponieważ wątpliwem jest ściągnięcie tych kredytów, trzeba było w B. G. K. otworzyć nowy rachunek p. t.: „Ministerstwo Skarbu, rezerwa na straty z tytułu wydanych gwarancyj”. Ale podobnych „rezerw”, których zresztą naprawdę nie ma, trzeba by „otworzyć” jeszcze więcej. B. G. K. usprawiedliwia się, że udzielał nieściągalnych kredytów na polecenie i pod naciskiem Ministerstwa Skarbu, względnie innych ministerstw; to znaczy, że te kredyty nie były uzasadnione ani stanem finansowym korzystających z nich przedsiębiorstw, ani też zasobami Banku.

Kto ma jakikolwiek kontakt z życiem gospodarczym, ten wie dobrze, że B. G. K. stał się szpitalem dla wielu chorych przedsiębiorstw, które gdzieindziej nie mogły znaleźć kredytu — a częściowo przytułkiem dla nieuleczalnych.

Niewątpliwie na ten stan rzeczy złożyły się także i indywidualne błędy i przypadkowe okoliczności. Zaostrza się przez to, że wogóle przez wzrost wartości pieniądza, przez przesilenie ekonomiczne, położenie dłużników stało się niezwykle ciężkie, że właśnie przesilenie kredytu jest może najbardziej dotkliwym przejawem przesilenia. Likwidacja jego stosunków w tej dziedzinie jest niezwykle trudna. Kryzys, jak każda ciężka choroba, atakuje najslabsze, najmniej odporne części organizmu. Szczególnie silnie trafia on w całą organizację kredytu publicznego. Nie obejdzie się bez wielkich wstrząszeń i ofiar. Gdyby jednak polityka kredytowa państwa miała mniejsze ambicje, gdyby na pierwszy plan wysunęły się racjonalne zasady udzielania kredytów, to niewątpliwie owo przesilenie kredytowe miałoby przebieg spokojniejszy, a w każdym razie nie wymagałoby tak wielkich ofiar ze strony finansów publicznych, jakie nas czekają.

Na podstawie tych doświadczeń, które wszyscy odczują na swojej skórze, zdobędzie się chyba naukę, iż trzeba

zerwać z etatyzacją kredytu; że rolę państwa i instytucji publicznych w tej dziedzinie należy ograniczyć do ściśle sprecyzowanych zadań, dostosowanych do siły finansowej państwa; że wreszcie dominującą postacią kredytu musi się stać kredyt prywatny i społeczny, zorganizowany po staremu, na podstawach opłacalności i bezpieczeństwa operacji kredytowych.

3. Jeżeli państwo popełniło błędy, nie wynika z tego, że społeczeństwo jest bez winy. Niepodobna rozważać stanu kredytu w Polsce, jeżeli się nie zwróci uwagi na ogromną u nas lekkomyślność kredytową. W normalnych warunkach gospodarczych lekkomyślni dłużnikami są utracjusze, którzy żyją razem ze swojemi lichwiarzami niejako na marginesie życia gospodarczego. U nas lekkomyślnych dłużników mają i najpoważniejsze instytucje finansowe. Kryzys gospodarczy poderwał bytem całego szeregu przedsiębiorstw. Byłoby jednak wielkim błędem, gdyby się jedyną przyczynę ich załamania się upatrywało w ogólnem działaniu tego kryzysu, w pierwiastkach, niezależnych od ludzkiej woli. W bardzo wielu wypadkach przyczyną upadku była lekkomyślność kredytowa.

Bodaj że można usprawiedliwić nadmierne zadłużenie, wywołane przez rozpęd produkcyjny, przez chęć modernizacji warsztatu, podniesienia jego zdolności przetwórczej. Optymizm towarzyszy zawsze okresom wysokiej konjunktury — należy już do dziedziny psychiki zbiorowej, działa w sposób żywiołowy. A zresztą z tych inwestycji, z tych urządzeń, zawsze coś zostaje, choćby choćód z nich nie odpowiedział oczekiwaniom i trzeba było część kapitału zakładowego odpisać na straty. Gorzej jest, gdy zaciąga się nadmierne kredyty konsumcyjne — bez względu na to, czy robi to jednostka prywatna, instytucja społeczna czy państwo.

W każdym społeczeństwie istnieje większa lub mniejsza grupa ludzi, która gotowa jest, na swoje potrzeby, zaciągnąć kredyt, gdy ktoś inny chce tego kredytu udzielić. Ten pęd doznał szczególnego bodźca przed kilku laty w tak zw. finansowaniu konsumpcji. Już w okresie wysokiej konjunktury nadprodukcja dawała się we znaki. By podnieść zdolność nabywczą ludności, w niektórych kra-

jach rozszerzono sprzedaż towarów na kredyt do ogromnych rozmiarów. W sprzedaży na raty widziano dobrodziejstwo, które pozwoli rozszerzać produkcję, opanowywać rynki. Finansowanie konsumpcji pogłębiło przesilenie, gdyż po pewnym czasie nie można było już dawać nowych kredytów, a starzy konsumenci nie mogli płacić.

I u nas odbywało się finansowanie konsumpcji, zwłaszcza przez importerów zagranicznych. Natrafiło ono jednak na podatny grunt w niektórych warstwach ludności, które albo nie chciały obniżyć swojej skali życiowej, albo nawet ją podnosiły. Wśród ludności chłopskiej zjawily się nowe potrzeby. Wiesz stała się konsumentem prawdziwych lub udawanych wyrobów jedwabnych, lepszego obuwia, a każdy niemal ziemianin chciał mieć własny samochód. Dzisiaj chłopci chodzą bez butów, a ziemianie sprzedają konie cugowe. Nowa burżuazja po miastach budowała większe wille, nie licząc się z kosztem. Zagranicę dla celów wypoczynkowych zaczęli jeździć nietylko ludzie, którzy na to sobie zarobili, lecz i ci, którzy na te i tym podobne cele zdołali zaciągnąć długi.

Lekkomyślność nie jest specjalną cechą polskiego charakteru. Niewątpliwie jednak mamy mało pospolitych, poziomych cnót mieszczańskich, za mało liczenia się z groszem, przezorności w układaniu budżetów domowych. „Zastaw się a postaw się”, „znaj pana” — te poglądy przyjmują się u nas dość łatwo. Wielu ludzi po prostu nie zdaje sobie sprawy z niebezpieczeństw kredytu. Nie odróżnia kredytu konsumpcyjnego od produkcyjnego, nie lęka się wysokich procentów, albo bliskich terminów płatności.

Kredyt konsumpcyjny w wyjątkowych tylko wypadkach można usprawiedliwić. Jeżeli ktoś pożycza pieniądze dlatego, że spadła na niego katastrofa, np. by ratować zdrowie, trudno mu odmówić racji. Gdy się ktoś zadłuża na wykształcenie własne lub dzieci — można widzieć w tem pewnego rodzaju inwestycję, stwarzanie kapitału osobistego, który przyniesie procenty. Usprawiedliwionem jest przejściowe zadłużenie się na cele konsumpcyjne, gdy za jego pomocą wyrównywuje się wahania dochodu. Ale gdy ktoś zaciąga długi wiedząc o tem, że w przyszłości nie

będzie miał większego dochodu, daje wtedy przewagę zaspokojeniu potrzeb teraźniejszych nad zaspokojeniem potrzeb przyszłych, co jest niewątpliwie przejawem niższości ekonomicznej i kulturalnej.

Kredyt jest dzisiaj podstawą produkcji, a drożyzna kredytu, jego brak, jest główną jej zawadą. Otóż kredyt konsumpcyjny jest bardzo niebezpiecznym współzawodnikiem kredytu produkcyjnego. Przedsiębiorca, który kalkuluje, nie może ofiarować zbyt wysokiego procentu, niemiszczącego się już w ramach jego kalkulacji; temu, kto pożycza dla celów konsumpcyjnych, przyśnięty biedą lub opanowany chęcią życia nad stan, jest wszystko jedno. Niezależnie od tego, jeżeli chce się uzdrowić nasze stosunki kredytowe, obniżyć wygórowaną stopę procentową, trzeba tego dokonywać także od strony popytu, nie tylko podaży. Można skutecznie zmniejszyć poszukiwanie kredytu przez redukcję kredytów konsumpcyjnych. Ten postulat stanowi jedną z głównych podstaw naszej polityki kredytowej. Do jego urzeczywistnienia powołane jest zarówno państwo, które nie powinno samo pożyczać na cele konsumpcyjne, ani zmuszać do pożyczania na nie przez nadmierne ciężary podatkowe, jak i społeczeństwo. Tak wierzyciele, jak i dłużnicy muszą zrozumieć niebezpieczeństwo i szkodliwość kredytów konsumpcyjnych.

4. Ostatecznie ujemne strony kredytu konsumpcyjnego są rozumiane, przynajmniej w teorii. Natomiast mniej zdaje sobie sprawy społeczeństwo z faktu, że także i kredyt, zaciągany na różne inwestycje, na trwałe nakłady, może okazać się wadliwy, oddziaływać na wyższą stopę procentową i przez to podrażać koszty produkcji, rozróżać się nadmiernie kosztem innych form kredytu. Zjawił się u nas po wojnie formalny kult wszelkiego rodzaju inwestycji. Uruchomieniu kredytów np. na cele budowlane, przypisywano zbawcze skutki. Może przejawiała się w tym naturalna reakcja przeciw zniszczeniom wojennym, chęć doścignięcia innych krajów w ich urządzeniach, poprostu ambicja młodego, a raczej powstałego na nowo państwa. Inwestycje są niewątpliwie formą gromadzenia kapitału dla przyszłych pokoleń, są typowym wyrazem kapitalizacji i nikt chyba ich nie może poddawać w wątpliwość.

Ale życie gospodarcze opiera się na równowadze, na pewnej proporcji między różnymi funkcjami gospodarczego organizmu. Szkodliwy jest nadmierny rozrost serca czy mózgu, gdy mniej szlachetne części organizmu są za słabe.

Nie każda inwestycja się opłaca. Wznosiliśmy różne inwestycje reprezentacyjne, do których przez długie lata trzeba będzie dokładać z pieniędzy podatkowych. Zawodzą czasem i produkcyjne inwestycje, gdy ich jest za dużo, gdy obliczone są na zbyt wielkie potrzeby. Nie można lekceważyć pierwiastka wysokości procentu. Gdy przedsiębiorca pożycza na wysoki procent, ale na krótki termin, może za pół roku lub za rok zwolnić się z tego długu lub zamienić go na dogodniejszy. Gorzej jest z kredytem długoterminowym, przy którym dłużnik przez lat kilkanaście czy kilkadziesiąt zobowiązuje się płacić wysokie procenty. Taki dług może nieraz rozstrzygnąć ujemnie o losach przedsiębiorstwa, choćby w każdym innym kierunku oparte było na najzdrowszych podstawach.

Sedno zagadnienia tkwi w tem, że u nas rozrost inwestycji wywołał drożyznę i poprostu niedobór kapitału obrotowego, co również hamuje wytwórczość, jak i kompletny brak nowych nakładów. Inwestycje oddziaływały najpierw bezpośrednio na kapitał obrotowy. Nie zawsze ten, kto budował nową fabrykę, rozszerzał i ulepszał gospodarstwo rolne, stawiał nowy dom, otrzymywał kapitał, na te inwestycje potrzebny, w dostatecznej wysokości. Zdarzało się często, że zawodziły go nadzieje, że nawet formalne promesy banku państwowego nie były w terminie honorowane. By wykończyć rozpoczętą budowlę, by uchronić się od strat, wywołanych przerwami w budowie, trzeba było szukać pożyczek krótkoterminowych. W ten sposób pożyczki weksłowe i różne inne zastępywały niedostatek kredytu długoterminowego, odciągały kapitał obrotowy od jego właściwych przeznaczeń; wtedy płaciło się bardzo wysokie procenty, byle uniknąć strat większych.

Gdyby dopływ kapitału do różnych rodzajów kredytu rozwijał się swobodnie na wolnym rynku, wówczas automatycznie wracałaby równowaga między kredytem dłu-

goterminowym a krótkoterminowym. Np. drożyzna pożyczek krótkoterminowych odciągałaby kapitał od lokat w listach zastawnych i obligacjach względnie w zwyczajnych pożyczkach hipotecznych, i w ten sposób nadmierne tempo inwestycji byłoby zahamowane. Jednakże, jak wiadomo, w Polsce kredyt długoterminowy nie był regulowany przez popyt i podaż. Głównym jego dostawcą stało się państwo i różne publiczne instytucje, które nie kierowały się wymaganiami rynku kredytowego, nie uwzględniały równomiernie różnych form kredytu, a wpatrzone były w jaknajwiększy rozwój inwestycji. Nic dziwnego, że gospodarstwu narodowemu brakło kapitału obrotowego i że w tych warunkach nie łatwo przywrócić równowagę.

A brak kapitału obrotowego podraża ogromnie koszty produkcji. Zabija normalny rozwój handlu, który nie może doprowadzić do wyrównania cen między różnymi okolicami kraju, co szczególnie dotkliwie odbija się na interesach rolnictwa. Brak krótkoterminowych kredytów utrudnia eksport, a przez to pogarsza bilans handlowy. Rozpoczęte na wielką skalę i z wielkim wysiłkiem inwestycje czekają nieraz latami na wykończenie, a równocześnie najpoważniejsze firmy do najpewniejszych interesów nie mogą uzyskać środków obrotowych.

Nadmierny rozpęd inwestycyjny będzie zdaje się zahamowany na długie lata. Zrozumieją chyba zarówno politycy, jak i prywatni przedsiębiorcy, że nie stać nas na inwestycje, które się nie opłacają; że nie można tworzyć nowych przedsiębiorstw, gdy istniejące już nie mogą wyzyskać w pełni swojej zdolności produkcyjnej; że „planowa” gospodarka państwa w dziedzinie kredytu długoterminowego wniosła chaos i bardzo daleko sięgające zwichnięcie równowagi w cały organizm kredytowy. A wtedy, gdy ograniczy się sztuczny rozrost kredytów długoterminowych, potanieje kredyt w Polsce i pomnoży się kapitał obrotowy.

5. Szczegółnej czujności wymaga stosunek do kapitału zagranicznego w Polsce, do kredytów, otrzymanych z zewnątrz. Okoliczność, że Polsce potrzeba dopływu obcego kapitału, nie usprawiedliwia jeszcze tej bez troski, z jaką

się ten kapitał traktuje. Nie wolno zapominać o zobowiązaniach, które nakłada na nasze gospodarstwo zadłużenie u zagranicy.

Przed wojną zagadnienie to rozwiązywało się dość łatwo. Kraje nowe, o niewyzyskanych zasobach naturalnych, były terenem ekspansji obcego kapitału. Zadłużały się u zagranicy, spłacały swoje długi nadwyżką bilansu handlowego i innymi dochodami, jak np. zarobkami emigracji. Kredyt był tani, stopa procentowa pożyczek długoterminowych raczej malała. Nie robiono wielkich trudności w imporcie towarów; kraje wierzycielskie, mające zagranicą swoje kapitały, nie traktowały biernego bilansu handlowego jako zjawiska nienormalnego, które trzeba było zwalczać nawet gwałtownymi sposobami. Dziś toczy się ostra walka o rynki, a zarazem trudniej o kredyty długoterminowe. Trudniej o nie Polsce, z różnych przyczyn, także i z powodu ogólnego położenia politycznego Europy.

Kredyty zagraniczne wzmagają przedewszystkiem import do kraju. Nietylko dlatego, że ożywia się życie gospodarcze w związku z napływem nowych pieniędzy, lecz czasami nawet i transakcje, dotyczące długoterminowych emisyjnych pożyczek, połączone są z ustępstwami w układach handlowych lub z koniecznością dokonania zakupów w kraju wierzycielskim. A już kredyty krótkoterminowe bezpośrednio wzmagają import, stanowią odpowiedź silniejszych w kapitał państw na radykalną nawet ochronę celną. Pogorszenie się bilansu handlowego w czasie, gdy uzyskuje się te kredyty, nie wydaje się groźne, bo wtedy rosną zapasy walut i dewiz. Ale potem ciężar zadłużenia jest coraz większy, potrzeba uzyskiwać coraz większą nadwyżkę bilansu handlowego. Ponadto kredyty krótkoterminowe odpływają czasem w sposób gwałtowny, jak tego dowiodło doświadczenie lat ostatnich. Położenie gospodarcze państwa, stan jego waluty, zależy od zagranicy, nie może go nieraz opanować polityka gospodarcza i finansowa państwa.

Nie ulega dla nikogo wątpliwości, że zadłużenie krótkoterminowe może się okazać szkodliwe, że prawidłowym jest kredyt długoterminowy, którego amortyzacja jest

uregulowana. Ale nie wystarczy to zastrzeżenie. Trzeba zrobić ich więcej. Jedne dotyczą wogóle celów kredytu, jego uzasadnienia, a drugie specjalnie kredytów zagranicznych.

Podstawą operacji kredytowej jest jej cel gospodarczy, obrachunek, że dzięki niej dłużnik o tyle poprawi swoje gospodarstwo, iż będzie mógł płacić procenty i zamortyzować pożyczony kapitał. Czyli że pieniądze wolno pożyczać na cele, które się opłacają. Zadłużanie się na inwestycje, choćby nawet bardzo użyteczne z ogólnego stanowiska, które jednak nie okazują się bardzo rentowne, jest bardzo ryzykowne. Zależy to z jednej strony od natury wydatku, z drugiej od warunków pożyczki. Jeżeli przedsiębiorca pożycza na 12%, a musi zwalczać współzawodnictwo konkurentów, którzy korzystają z 4 lub 5 procentowego kredytu, nie poprawia się przez to jeszcze jego pozycja gospodarcza, przeciwnie, pozostanie na rynku z towarami, na które nie znajdzie zbytu. Gdy intensywne rolnictwo nie jest opłacalne z powodu zbyt niskich cen, zaciągnięte kredyty pogarszają położenie tych wszystkich gospodarstw, które z nich korzystały.

Podobnie jest i z kredytami, z których korzysta państwo na swoje cele. Czasami uzasadnia się pożyczkę zagraniczną względami budżetowymi lub walutowymi. Państwo szuka pożyczki, by pokryć deficyt, lub by pomnożyć krajowe zasoby walutowe. Osiąga na tej drodze korzyść bezpośrednią, ale potem pogarsza się jego położenie. Kredyt na potrzeby budżetu, to z reguły kredyt konsumpcyjny. Pożyczka na cele walutowe, pod tym kątem widzenia zaciągnięta, bardzo często jest zużyta na rzeczy, które w danej chwili nie mają gospodarczego uzasadnienia.

Dla przykładu przypatrzmy się pożyczce tak zw. stabilizacyjnej z r. 1927. Podobne operacje kredytowe przeprowadziły i inne państwa. Były one wynikiem planu finansów amerykańskich, które dla osłabienia konkurencji krajów o słabszej walucie, dla ożywienia rozmiarów handlu międzynarodowego i doraźnego podniesienia siły nabywczej szeregu krajów europejskich, przeprowadziły te operacje na wielką skalę. Oczywiście stabilizacja waluty

jest rzeczą bardzo cenną, ofiary na nią są zrozumiałe. Ale niejeden z tych krajów, w których przeprowadzono tę formalną stabilizację przy pomocy pożyczonego kapitału, mógł jeszcze dłużej czekać z definitywnem uregulowaniem swoich stosunków walutowych, mógł poprzestać na faktycznej stabilizacji, a przystąpić do tej reformy wtedy, gdy już nie było potrzeby pomocy z zewnątrz. W Polsce w r. 1927 żadne okoliczności nie nakazywały natychmiastowej zmiany systemu monetarnego. Te reformy walutowe, przeprowadzone w Polsce i w innych krajach, wzmożyły import kapitałów, ale równocześnie i import towarów. Sumy, uzyskiwane z lokat pożyczki stabilizacyjnej, nie procentują się tak, by wystarczały na pełne oprocentowanie pożyczki, wymaga więc ta pożyczka dopłat z budżetu. A gdy minęło sztuczne ożywienie, wywołane temi pożyczkami, niejedno państwo z tą nową, niby złotą walutą, stanęło przed groźbą jej załamania się, koniecznością zerwania z jej podstawą. Wstrząśnienia, na które złożyły się różne przyczyny, miałyby przebieg łagodniejszy, gdyby przedtem była tylko faktyczna stabilizacja; wtedy wahania się kursu waluty, wywołane przesileniem, nie miałyby tak przykrych konsekwencji.

Specjalne, bardziej stanowcze zastrzeżenia, budzą inne transakcje pożyczkowe, robione przez państwo, przedsiębiorstwa państwowe i samorządy. Połączone są one już nie tylko z wysokim oprocentowaniem, z zastawem majątku lub dochodów publicznych, lecz z koncesjami na rzecz obcego kapitalisty, w których ukrywa się dodatkowe oprocentowanie kapitału. Ceną, którą się płaci za pożyczkę, nie jest już sam procent, lecz również oddanie pewnych robót, przyjęcie pewnych dostaw w towarach i instalacjach. W ten sposób sprowadza się do kraju przedmioty, któreby mogły być u nas wytworzone, których nabycia zresztą nie uzasadnia żadna konieczność gospodarcza. Obcy przedsiębiorca za cenę pożyczki, i to zwykle niezbyt wielkiej, otrzymuje specjalne koncesje, różne monopole pod tą lub inną nazwą. Zamyka się w niektórych działach produkcji drogę współzawodnictwu między obcemi, któreby pozwoliło w przyszłość uzyskać lepsze warunki, a zarazem zwęży pole rodzimej przedsię-

biorczości. Transakcje te przypominają mocno system koncesyj sowieckich.

Nasze gospodarstwo narodowe musi z wielkim trudem, jak wiemy, walczyć o nadwyżkę bilansu handlowego. I dlatego też nie można uznać za zdrowy dopływ kapitału zagranicznego do tych działów produkcji, których rozwój na kredyt nie wzmacnia naszej zdolności konkurencyjnej z obcą wytwórczością, a bodajże nawet osłabia tę zdolność. Np. budownictwo mieszkaniowe przy pomocy kapitału zagranicznego. Dom mieszkalny nie jest narzędziem produkcji; jest trwałym dobrem konsumcyjnym. Jeżeli się te domy będzie budowało za obce pieniądze, to znaczy oprocentowaniem i amortyzacją obciążało nasz bilans płatniczy, nasuwa się pytanie: skąd się weźmie pokrycie tego pasywum bilansu płatniczego? Czy jednocześnie w innych dziedzinach tak potężnie wytwórczość, że zdobywa sobie nowe rynki? Kapitał zagraniczny, ulokowany w przedsięwzięciach, które bezpośrednio nie wzmacniają naszych sił produkcyjnych, wymaga w części uruchomienia krajowych kapitałów, przez co rośnie drożyzna kredytu. Podobne zastrzeżenia musi budzić budowa szos przez obcych przedsiębiorców - kapitalistów, różnych urządzeń komunalnych, o ile nie służą one bezpośrednio potrzebom eksportu i nie ograniczają importu.

Polska, jako kraj dłużniczy, będzie miała wyższą stopę procentową od stopy krajów wierzycielskich. Tylko ta różnica oprocentowania może przyciągnąć obcy kapitał. Jednakże gospodarstwo kraju nie zniesie zbyt wielkiej rozpiętości między ceną kapitału u nas a zagranicą, jaka jest dzisiaj. By tę rozpiętość obniżyć, trzeba ograniczyć popyt na obcy kapitał. Trzeba stworzyć warunki, w których zaciąganie pożyczek zagranicznych nie będzie koniecznością. A wtedy i wierzyciele zagraniczni będą mniejsze stawiali wymagania; wtedy Polska nie stanie się terenem koncesyjnym obcego kapitału.

6. Znane nam już są rozmiary naszego zadłużenia w stosunku do zagranicy. Ale przypatrzmy się temu, jaki jest udział obcego kapitału w naszej wytwórczości przemysłowej. Niestety, trudno zebrać o tem dokładne dane. Szczegółowe informacje podają wydawnictwa Głównego

Urzędu Statystycznego. Ale z natury rzeczy jego statystyka stoi na stanowisku czysto formalnem; „przedsiębiorstwami zagranicznymi w pojęciu Głównego Urzędu Statystycznego są jedynie przedsiębiorstwa, mające swą siedzibę centralną poza granicami Polski”¹⁾. Prace tego Urzędu starają się uwzględnić ponadto udział zagranicy w kapitałach zakładowych i rezerwowych przedsiębiorstw czynnych w Polsce, ale te dane, czerpane zapomocą ankiet, a dotyczące przedmiotu tak nieuchwytnego, jak stan posiadania kapitału, dalekie muszą być od ścisłości.

Według cytowanej pracy, udział zagranicy w kapitałach własnych spółek akcyjnych w r. 1928 i 1929 przedstawiał się w sposób następujący (w milj. zł.):

Rok	Ogółem kapitały własne: zakład. rezerw.		Udział zagranicy w kap. zakład. rezerw.		Udział zagranicy w % kap. własn.
1928	2796.7	1954.3	894.7	612.4	31.7
1929	3212.9	2278.6	1112.3	717.2	33.3

Szczegółowo udział zagranicy w kapitałach własnych wszystkich spółek czynnych w różnych gałęziach wytwórczości w r. 1929 przedstawia się w ten sposób: w górnictwie naftowem: 76.5%; w innym górnictwie — 38.8%; w przemyśle mineralnym — 20.8%; w hutnictwie — 65.4%; w przemyśle metalowym — 11.3%; w przemyśle maszynowym i elektrycznym — 24.3%; w chemicznym — 40.6%; włókienniczym — 15.9%; cukrowniczym — 7.3%; w bankach prywatnych — 28.0%; w ubezpieczeniach — 12.7% i t. d.

Cyfry te wyglądają bardzo optymistycznie. Pochodzi to stąd, że pojęcie kapitału zagranicznego jest bardzo ciasne. Przeważnie górnictwo i przemysł górnośląski figuruje w tem zestawieniu, jako krajowy. Rzecz jasna, że nie gra istotnej roli, czy jaka spółka akcyjna jest filją zakładu macierzystego, mającego swoją siedzibę

¹⁾ Mieczysław Smerek, Bilans płatniczy Polski w r. 1929, Kwartalnik Statystyczny, Tom VIII 1931, str. 253.

poza granicami Polski, czy też istnieje w Polsce, jako samodzielna osoba prawna. Ta samodzielność może być fikcyjna, podyktowana względami oportunistycznymi, co zresztą nie przeszkadza temu, że ta spółka w drodze holdingu czy w inny sposób niewątpliwie należy do obcej grupy kapitalistycznej.

A pozatem, jak dobrze wiadomo, może obcy kapitał rządzić krajową spółką, jakkolwiek formalnie nie ma w swoich rękach większości kapitału zakładowego. Wystarczy, jeżeli jest wierzycielem tej spółki, który na podstawie rozmiarów i rodzaju kredytu wywiera na jej losy wpływ rozstrzygający. Czasami tylko, jak wiemy, dochodzi do formalnego przejęcia przez wierzyciela większości akcji; często nie jest to potrzebne. Istnieją u nas instytucje bankowe, które formalnie mają przewagę kapitału krajowego, przynajmniej w kapitale zakładowym. Np. w jednej takiej wielkiej instytucji udział kapitału krajowego w większości został utrzymany w ten sposób, że zagraniczny wierzyciel udzielił krajowej grupie pożyczki na wpłatę tego kapitału. Gdy jednak bank zagraniczny ma w krajowym banku wysoki rachunek, który każdej chwili może być wycofany, to wówczas „krajowość” takiego banku jest czysto formalna.

Z tych różnych powodów powyżej przytoczone cyfry nie robią wrażenia cyfr rzeczywistych. Kto zna np. nasze górnictwo i przemysł naftowy, nie powie, że na kapitał krajowy przypada w nim aż $\frac{1}{4}$; a już by obcy kapitał był w mniejszości w pozostałym górnictwie, to trudno przypuścić. W kapitałach zakładowych i rezerwowych akcyjnych banków prywatnych ma ten obcy kapitał uczestniczyć tylko w 28%, w ubezpieczeniach w 12.7% i t. d. Dobrze wiadomo, jak silną jest przewaga banków obcych, faktycznie czy formalnie, jak mało jest naprawdę polskich towarzystw ubezpieczeń. Gdy się zna Łódź, udział Banca Commerciale i innych obcych kapitałów w przemyśle włókienniczym, nie uzna się, przynajmniej obecnie, że w tym przemyśle na obce kapitały przypada tylko 15.9%.

Te obce kapitały panują nad naszym przemysłem. Ich udział wzrósł bardzo silnie zarówno w górnictwie i przemyśle przetwórczym, jak i instytucjach kredytowych.

Obcy kapitał jest silny nawet tam, gdzie go przed kilku laty prawie nie było, np. w przemyśle drzewnym, browiarnianym, różnych działach przemysłu rolnego. Ten obcy kapitał nie przyszedł przeważnie po to, by uruchomić nowe gałęzie wytwórczości, lecz bardzo często wykupywał urządzone już warsztaty z rąk krajowych. W świetle tych faktów, o których poucza codzienna obserwacja, tem większego znaczenia nabiera sprawa rodzimej kapitalizacji, a w związku z tem takiej organizacji kredytu, by obcy wierzyciel nie był bezwzględny panem. Każą o tem pamiętać nie tylko ogólnonarodowe względy, lecz poprostu obawa o rentowność naszego gospodarstwa narodowego.

7. Wielka rola kapitałów zagranicznych w Polsce, w szczególności znaczenie wierzycieli, z którymi trzeba się liczyć, krępuje ogromnie swobodę naszych ruchów, nie pozwala na bardziej radykalne posunięcia w dziedzinie kredytowej, nawet gdyby się je uważało za pożyteczne. Bo faktem jest, że nie tylko brak jest kapitału i kredytu w Polsce, lecz również i zabagnione stosunki kredytowe spadają olbrzymim ciężarem na nasze życie gospodarcze. Ich likwidacja jest konieczna, a ta likwidacja jest bardzo trudna.

Gdybyśmy przerachowali nasze zadłużenie tak wewnętrzne, jak i zewnętrzne na głowę ludności, nie wypadłoby bardzo wiele. Niski poziom zadłużenia Polski był argumentem, który się często wysuwało nazewnątrz, by w ten sposób podnieść nasz kredyt zagraniczny. Z roku na rok jednak potrafiliśmy coś dodawać do sumy nowych długów i dzisiaj nie możemy już, jak wiadomo z poprzednich wywodów, lekceważyć sobie tego pierwiastka. A zresztą wchodzi tu w rachubę nie tylko bezwzględna suma zaciągniętych długów, wysokość ich oprocentowania, lecz także i okoliczność, na co poszły te kredyty, co się z niemi stało.

Ciężar długów jest wielki przedewszystkiem dlatego, że były one zaciągane w okresie wysokich cen, a trzeba je spłacać teraz, gdy ceny są niskie.

Wciąż się przytacza obrachunek, wykazujący, wiele metrów żyta rolnik mógł dostać za pożyczoną sumę w r.

1928, a wiele dzisiaj musi wyprodukować, by ten dług spłacić. Na tych podstawach dochodzi się do wniosku, że rolnictwo jest dzisiaj niewypłacalne. Ale na tem nie koniec. Położenie kredytowe pogorszyła, jak wiemy etatyzacja kredytu, działalność banków państwowych, które rozdzielały kredyty, nie kierując się przede wszystkim kryterjami gospodarczo - finansowymi. Wreszcie ogromne znaczenie miała lekkomyślność kredytowa, skutkiem której wielka część pożyczek, nawet pozornie przeznaczonych na inwestycje i cele produkcyjne, miała charakter konsumpcyjny.

Dzisiaj toczy się ostra walka między wierzycielami a dłużnikami. Obrońców interesów dłużnika nęci przykład Solona, który miał przeprowadzić tak zw. seisachteję, skreślenie wszystkich długów wewnętrznych, co zresztą nie jest pewne. Antagonizm interesów wierzyciela i dłużnika jest bardzo jaskrawy. Trudno pogodzić te interesy. Jeżeli dłużnik ma doznać ulgi, wierzyciel musi stracić. Innej rady niema. Ale nie zapominajmy o tem, że ogromna część długów, to długi zagraniczne, lub zagranicznego pochodzenia. Wszelka interwencja ustawodawstwa w tej dziedzinie w kierunku moratorium, obniżenia odsetek lub przymusowej konwersji długów, podrywa gruntownie kredyt zagraniczny, a także i kredyt wewnętrzny. Można radykalnemi zarządzeniami przynieść chwilową ulgę dłużnikowi, ale tylko temu, któremu już nikt nie chce pożyczyć. Natomiast gospodarstwa lepiej stojące, które mają jeszcze kredyt, ucierpią na takich zarządzeniach. Zamknie im się drogę do dalszego kredytu i w ten sposób upowszechni niewypłacalność. Nie może dzisiaj ulegać najmniejszej wątpliwości, że całe nasze ustawodawstwo z r. 1932, które miało przynieść ulgę zadłużonemu rolnictwu, niewiele mu pomogło, a bodajże w wielu wypadkach zaszkodziło, obniżając zdolność kredytową rolnictwa.

Niepodobna w tej chwili formułować jakiegoś konkretnego projektu rozstrzygnięcia tej sprawy. Położenie zmienia się wciąż — bynajmniej nie na lepsze — nie znamy zresztą ani rzeczywistego rozmiaru obciążenia długami, ani też stanu instytucyj finansowych, na których

odbije się to przesilenie, a raczej załamanie kredytowe. W każdym razie należy mieć na oku następujące względy.

Po pierwsze, gdy ofiary być muszą, do tych ofiar powołane jest przede wszystkim państwo, jako wierzyciel. Nietylko dlatego, że banki państwowe dopuszczały się wielkiej lekkomyślności kredytowej i udzielały nieraz takich pożyczek, o których z góry można było powiedzieć, iż ze zwrotem kapitału będzie trudno. Inny jeszcze wzgląd wchodzi tu w rachubę. Trzeba pomóc dłużnikowi, nie naruszając ile możliwości zaufania do mocy zaciągniętych zobowiązań. Jeżeli państwo zredukuje swoje wierzitelności, jeżeli przez ich redukcję uzyska się pewne zasoby, które przyczynią się do redukcji także i innych zobowiązań, to wówczas nie robi się niczego takiego, co by podkopywało zaufanie. Wierzycielowi wolno obniżyć swoje pretensje.

Następnie należy unikać takich rozwiązań, które tylko odraczają trudności, potęgując je na dłuższą metę, a nie przynoszą istotnej poprawy. W dziedzinie kredytowej obecnie operuje się fikcjami. Bilanse wyglądają na papierze podobnie do dawnych bilansów, ale tylko na papierze. Wprost symboliczne znaczenie ma ustawa z dnia 18 marca 1932 r. o tymczasowym stosowaniu wyjątkowych zasad bilansowania, która pozwala przyjmować do bilansu papiery wartościowe, nabyte w latach, poprzedzających rok operacyjny, po cenie przyjętej do bilansu roku poprzedniego. Ten duch fikcji bardzo się upowszechnił. Instytucja, która zapożycza się na zapłacenie kuponów od swoich obligacji czy listów zastawnych, uchodzi formalnie za instytucję wypłacalną. Do protestu nie przedstawia się niekiedy weksli dlatego, że niema nadziei, by coś się uzyskało w drodze protestu. Jeżeli widać z bilansu wyraźnie, że jakaś instytucja nie jest do uratowania, nic nie pomoże przedłużanie jej agonji, udzielanie jej dalszych kredytów w tym celu, by ukryć rzeczywisty stan rzeczy.

Z przesilenia wtedy tylko wychodzi się obronną ręką, gdy ono zostawia na placu silniejszych, a usuwa słabszych. Ten, kto przetrwa, korzysta ze wzmożonego zaufania, staje się, w nowej konjunkturze, ośrodkiem krystalizacyjnym. Natomiast gdy różne sposoby ratunku prowa-

dzą w gruncie rzeczy do niwelacji, do tego, że i silniejszym, zdrowszym szczepi się chorobę, oddala się przez to chwilę naprawy. Jeżeli muszą być ofiary, to niechaj te ofiary mają charakter partykularny, częściowy, — choćby bardzo bolesny. Dzisiaj w Polsce jest ogromna masa dłużników, których nikt i nic nie uratuje. Gospodarstwa złe i nadmiernie zadłużone, powinny się znaleźć w innych rękach; nowy właściciel będzie już miał mniejszy kapitał do oprocentowania i wtedy może zjawić się rentowność tych gospodarstw.

Wszystkie te ofiary są ciężkie, ale najgorszą byłoby rzeczą, gdyby generalne przymusowe uregulowanie sprawy długów podkopało zaufanie na długie lata, gdyby uniemożliwiło operacje kredytowe, wytrzymujące kalkulację gospodarczą. Historia gospodarcza i finansowa zna wielkie katastrofy. Wiele zależy jednak od tego, czy na ruinach dość rychło zakwita nowe życie. Ogromną doniosłość ma pytanie, czy po dzisiejszej ruinie kredytowej nie powstanie pustka, w której grasować będą drapieżcy, czy też stworzone zostaną podstawy pod nowy kredyt. Ale to już zależy od całej polityki gospodarczej i finansowej państwa, od tego, w jakim kierunku pójdzie ewolucja jego prawa i jego gospodarstwa.

8. Celem polityki kredytowej jest istotna, a nie papierowa taniość kredytu. Zależy ona od dwóch czynników: od zapotrzebowania kapitału i od jego zaofiarowania, od stopnia kapitalizacji. Gdy kapitału jest brak, trzeba się z nim obchodzić oszczędnie, jak najekonomiczniej go zużytkowywać. Do tego prowadzi ograniczenie kredytów konsumcyjnych; zahamowanie tempa inwestycji, robionych na kredyt; również państwo i związki prawnopubliczne powinny zredukować do minimum swoje zapotrzebowanie kapitału. Niewątpliwie po doświadczeniach ostatnich lat nie będzie tak wielkiego, jak był niedawno jeszcze, rozpędu do zaciągania pożyczek. Będą ostrożniejszymi wierzyciele, ale będą także ostrożniejszymi i dłużnicy.

Ale sama racjonalna gospodarka rozporządzalnym kapitałem, względnie ograniczenie popytu na niego, nie rozwiązuje jeszcze zagadnienia. Nie można przeprowadzić

jakiegoś ascetyzmu kredytowego, cofnąć się do epoki, w której kredyt miał tylko uboczne znaczenie w gospodarstwie. Równoległe z ograniczeniem popytu za kapitałem winien iść wzrost jego podaży.

Źródłem kredytu jest kapitalizacja. Część czystego dochodu społecznego, wytworzonego w danym okresie produkcji, idzie na przyszłe potrzeby, nie jest natychmiast konsumowana, i stąd zjawia się kredyt. Ale rozstrzygające znaczenie ma nie tylko sama suma dochodu społecznego. Wiele od tego zależy, jaki jest jego rozdział, w czyje ręce ten dochód i w jakim stosunku się dostaje. Zdolność kapitalizacyjna różnych warstw społecznych nie jest jednakowa. Nie każda grupa chce, nie każda grupa może oszczędzać.

Oto przykład. Ustawodawstwo, chroniące lokatorów, wywołało przesunięcie dochodu społecznego na ich rzecz, kosztem dochodu właścicieli nieruchomości. Właściciel domu przeważnie miał inne jeszcze źródła utrzymania, albo też nie potrzebował przeznaczać całego swojego dochodu z domów na bieżące potrzeby. Warstwa ta odznaczała się silną zdolnością kapitalizacyjną; budowała nowe domy, kupowała papiery procentowe i t. d. A zaś „lokator“ z reguły mniej oszczędza; gdyby nawet mógł płacić czynsz wyższy, to oszczędności na czynszu nie obracał na kapitalizację. Podobnie wzrost zarobków ludności robotniczej, której potrzeby konsumcyjne łatwo wzrastają, nie oznacza odpowiedniego wzrostu oszczędności. Wiele więc zależy od tego, w czyje ręce dostaje się dochód społeczny. Pauperyzacja społeczeństwa, choćby nielicznym grupom dobrze się działo, nie sprzyja kapitalizacji.

Ale dochód społeczny dzieli się nie tylko między potrzeby teraźniejsze i przyszłe; ktoś trzeci wchodzi tu w rachubę. Dzielimy ten dochód na trzy części. Jedna idzie na konsumcję, na zaspokojenie bezpośrednich potrzeb jednostek. Druga idzie na podatki w najogólniejszym wyrazu znaczeniu, na wszelkiego rodzaju ciężary publiczne. Trzecia na kapitalizację, na zaspokojenie przyszłych potrzeb. By zdobyć dla tej kapitalizacji jak największy udział, można najpierw zmniejszyć część przypadającą na konsum-

cję i podatki. Konsumpcji ograniczyć niełatwo, zwłaszcza gdy ludność wzrasta a potrzeby, z powodu ubóstwa, są słabo zaspakajane. Niechętnie państwo rezygnuje ze swego udziału. Dlatego też najlepszą drogą do pomnożenia kredytów jest powiększenie dochodu społecznego. Gdy więcej będzie do podziału między trzech uczestników, ten ostatni, który reprezentuje przyszłe potrzeby społeczeństwa, łatwiej zdobędzie sobie część, jemu należną. Powiększenie dochodu społecznego, to wzrost wytwórczości i lepsza jej organizacja; zależy to od całej polityki gospodarczej państwa, od jego ustroju prawno - społecznego, od sił duchowych społeczeństwa. Poprawa na rynku pieniężnym i kredytowym nie zależy wyłącznie od polityki kredytowej. Zanim jednak przejdziemy do tych bardzo rozległych zagadnień, zapytajmy się o to, jak państwowe gospodarstwo oddziałuje na kredyt i wogóle całe życie gospodarcze, jaka jest funkcja finansów publicznych.

ROZDZIAŁ VI.

CIĘŻARY PUBLICZNE.

1. Czy można przeciwstawiać tę część dochodu społecznego, którą zabiera państwo na swoje potrzeby, innej jego części, przeznaczonej na kapitalizację, jak to zrobiliśmy w zakończeniu poprzedniego rozdziału? Przecież państwo zaspakaja nie tylko bieżące potrzeby, lecz i przyszłe; państwo buduje, wprowadza trwałe urządzenia, wzmagające pośrednio rentowność prywatnych gospodarstw, względnie samo robi inwestycje, które się opłacają. Czasami znowu, na zasadzie przymusu, tworzy specjalne organizacje publiczne, których celem jest oszczędność przymusowa, różne zakłady ubezpieczeń. Niewątpliwie tak jest, i tę działalność państwa omówimy osobno. Gdy jednak przyjrzymy się wykonaniu budżetu państwa, przekonamy się łatwo, że ogromna większość tego, co państwo zabiera, idzie na bieżące wydatki, a mało na potrzeby przyszłe. A między temi inwestycjami państwowemi na pierwszy plan wybijają się takie, które nie wzmagają siły produkcyjnej kraju, nie są rentowne, do których nawet trzeba dopłacać, jak np. do utrzymania gmachów reprezentacyjnych. Budowa fortyfikacji może być bardzo potrzebna; ale jest ona ofiarą, którą ponosi życie gospodarcze na potrzeby państwa, ta fortyfikacja nie oznacza przyrostu nowego kapitału.

Dlatego też można przeciwstawić dochód, który zabiera państwo, dochodowi, przeznaczonemu przez gospodarstwo na kapitalizację. Państwo jest nawet bardzo wyraźnym

konkurentem kapitalizacji. Niektórzy autorzy twierdzili dawniej, że podatki wywierają dodatni wpływ na wytwórczość, gdyż zmuszają do obniżenia kosztów produkcji, ale nie znali oni dzisiejszych podatków. W rzeczywistości jeżeli wzrasta udział państwa w rozdziale dochodu społecznego, to znaczy jeżeli wzrastają ciężary publiczne, odbija się to ujemnie przedewszystkiem na wzroście kapitalizacji. Opodatkowany ma do wyboru, gdy musi płacić więcej na rzecz państwa i związków publicznych: albo zmniejszyć swoją konsumpcję, albo mniej oszczędzać. Potrzeby bieżące naogół są silniejsze, aniżeli potrzeby przyszłe. Nie każdy chce, nie każdy zresztą może zmniejszyć swoją stopę życiową. I wtedy mniej odkłada na przyszłość, bo więcej oddaje państwu.

Musi więc istnieć równowaga między udziałem państwa w dochodzie społecznym a udziałem kapitalizacji. Ale nie jest też obojętne, jak się układa stosunek między tą częścią dochodu społecznego, którą zużywają jednostki na pokrycie swoich bieżących potrzeb, a tem, co służy, w drodze przymusu państwowego, na pokrycie potrzeb zbiorowych. Wydawałoby się mogło, że z punktu widzenia gospodarczego jest wszystko jedno, czy np. z 10 miliardów zł., przeznaczonych na konsumpcję, państwo zabierze 2 czy też 2½ miljarda. Państwo również zaspokaja potrzeby ludności; możnaby nawet twierdzić, że te właśnie potrzeby są wyższe w hierarchji od potrzeb indywidualnych, które dowolnie zaspakaja się w gospodarstwach jednostek.

Należy jednak zdać sobie sprawę z różnych rodzajów potrzeb zbiorowych, zaspakajanych przez gospodarstwo publiczne. Odróżnić trzeba potrzeby publiczne o charakterze prewencyjnym, niejako ochronnym, od potrzeb, których silniejsze zaspokojenie przynosi pozytywny pożytek społeczeństwu. Celem gospodarowania jest jak najlepsze zaspokojenie potrzeb; nie wynika z tego, że społeczeństwo wychodzi na tem najlepiej, jeżeli niektóre potrzeby publiczne muszą być silniej, niż dotychczas, zaspakajane. Bezpieczeństwo mienia i życia jest dobrem bardzo cennym, które niejako produkuje państwo. Ale złe jest, jeżeli ta produkcja musi być bardzo wielka, jeżeli potrzeba co-

raz więcej prokuratorów, policji i więzień. Natomiast gdy staraniem państwa powstaje więcej muzeów, galerji obrazów, zakładów naukowych, przynosi to pozytywnyżytek społeczeństwu.

Ponadto utrzymanie całego aparatu państwowego odbywa się kosztem gospodarstw prywatnych; one muszą wytworzyć te dobra, które konsumują funkcjonariusze państwowi. Urzędnicy, nauczyciele i żołnierze muszą jeść, odziać się, mieszkać. Gdyby ich było za dużo, nie mieliby czem się żywić, ani w co się ubrać. Ktoś musi im dostarczyć środków utrzymania, czyli że produkcja dóbr materialnych, odbywająca się w ramach prywatnych gospodarstw, pozostaje w pewnej proporcji do produkcji dóbr duchowych, prowadzonej przez państwo. I w tem znaczeniu mają rację stare odróżnienia pracy produktywnej i nieproduktywnej, chociaż poddawano je tak ostrej krytyce. Jeżeli państwo żyje z gospodarstw prywatnych, to i te gospodarstwa prywatne żyć muszą. Niepodobna w drodze przymusu dowolnie kształtować stosunku, zachodzącego między prywatnem a publicznem gospodarstwem. Możliwość spełnienia przez państwo właściwych jego zadań w zakresie obrony kraju nazewnątrz, bezpieczeństwa wewnętrznego, rozwoju oświaty, nauki, pomocy społecznej i t. d. jest ograniczona przez rozmiary produkcji dóbr materialnych, zaspakajających najbardziej elementarne potrzeby ludzkie.

2. Ciężary publiczne zawsze jedni będą uważali za zbyt wielkie, drudzy, reprezentujący interesy fiskalne, za znośne. Trudno to pytanie wyświetlić w ogólny sposób. Zwyczajnie stosuje się metody porównawcze, ale zwłaszcza w tej dziedzinie są one zawodne. Porównania historyczne nie wiele mówią, trudno je zresztą ze względu choćby dokładnością przeprowadzić w Polsce, gdyż z czasów przedwojennych nie uda się ściśle wyodrębnić dochodów fiskalnych ziem Polski. Dość często jednak zestawia się dochody z danin publicznych w różnych krajach i porównuje je z ogólnym dochodem społecznym, by określić udział skarbu państwa w tym dochodzie. Ale obliczenia dochodu społecznego są dokonywane różnemi metodami, nie zawsze nadają się do porównań. Pozatem, choćbyśmy

wykazali, że w jednym kraju różne daniny zabierają tylko 20% dochodu społecznego a w drugim 25%, bynajmniej to nie dowodzi, że w pierwszym wypadku ciężar podatkowy jest łatwiejszy do zniesienia.

Albowiem rozstrzyga nie tylko suma dochodu społecznego, lecz również i jego struktura. Gdy społeczeństwo jest ubogie w kapitał, ma mało rentjerów, słabo rozwiniętą warstwę średnią, a natomiast olbrzymia część dochodu społecznego przypada na ludzi, którym ledwo starczy na niezbędne utrzymanie, to z tego społeczeństwa mniej można wydobyć, niż z innego, o bardziej zróżnicowanej strukturze, o silniejszym udziale warstw zamożniejszych w dochodzie społecznym. Od 10 rodzin, z których każda rozporządza dochodem w wysokości 2.000 zł. rocznie, mniej się wydostanie, niż od 2 rodzin, z których każda ma po 10.000 zł. dochodu. Większa jest zdolność podatkowa jednego gospodarstwa chłopskiego o 15 morgach, niż trzech gospodarstw o 5 morgach, nawet w zakresie pośredniego opodatkowania.

Zamiast ogólnych zestawień, zastanówmy się na konkretnych przykładach, jaka jest tendencja naszego systemu podatkowego; czy sprzyja on kapitalizacji, czy też tę kapitalizację hamuje. Najbardziej charakterystycznym jest zawsze podatek dochodowy. Otóż przypuśćmy, że ktoś ma 2.000.000 zł. dochodu. Płaci on podatku dochodowego według zasadniczej stawki 800.000 zł., czyli 40%. Jeżeli ten człowiek jest samotny, to wówczas podwyższa mu się stawkę o 20%; zapłaci podatku 960.000 zł., czyli obciążenie wynosi już 48%. Gdy mieszka na terenie b. dzielnicy pruskiej lub górnośląskiej części województwa śląskiego, wtedy pobiera się dodatek komunalny, który w interesującym nas przykładzie wynosi 5% dochodu, czyli razem zapłaci 1.060.000 zł. podatku, to znaczy 53% całego dochodu. Przypuśćmy, że ten podatnik cały swój dochód czerpie z tantiem; wtedy dolicza mu się 50% stawki, przypadającej od otrzymanego z tantiem dochodu; w naszym przykładzie 400.000 zł. Razem więc zapłaci 1.460.000 zł., czyli 73%. A jeżeli ten podatnik jest rejentem, płaci 20% dochodu, co wychodzi na to samo jak przy tantiemie. Przypuśćmy dalej, że ów podatnik do-

czeka się podatku wojskowego, z tytułu zwolnienia od służby wojskowej; wtedy płaci on dodatek do podatku dochodowego w wysokości 20% stawki (kategoria C.), czyli przy 2.000.000 dochodu dodatkowo 160.000, razem 1.620.000 zł., co stanowi 81% całego dochodu. Z pozostałych 19% część pochłona różne podatki komunalne i państwowe — nie wiele więc zostanie.

Nie przytaczamy tego przykładu, bo wywołać współczucie dla owego nieszczęśliwego płatnika, gruntownie zoperowanego przez władze fiskalne. Może ktoś odpowiedzieć, że to jest przykład czysto teoretyczny, że nie ma nikogo, kto by miał taki dochód. Jednakże jeżeli się w systemie podatkowym doprowadza do tego, że może on brać, choćby teoretycznie, więcej, niż $\frac{1}{5}$ dochodu, to sfośunek tego systemu do sprawy kapitalizacji jest zupełnie jasny.

Albo rzućmy okiem na opodatkowanie, które spada na warstwy najuboższe, na podatki spożywcze. Rozpiętość cen, nakładanych przez monopol spirytusowy na jego wyroby, a cen płaconych producentom, jest największa w Europie; nigdzie podatek nie pozostaje w takim stosunku, jak u nas, do ceny towaru. Podatek od cukru wynosi w Polsce 38.5 zł. od 100 kg.; w bardzo fiskalnych Niemczech został w r. 1927 obniżony do 10.50 m. czyli do 22.15 złotych. Według preliminarza budżetowego na r. 1932/33 Monopol Solny miał wpłacić do Skarbu 47.100.000 zł., a dochody miały wynosić 97.7 miliona; czyli w dochodach Monopolu na podatek przypada więcej, niż połowa (trudno tu, z uwagi na stan państwowych kopalni i sposób prowadzenia Monopolu, przyjmować jakąś większą sumę na zysk handlowy).

W Czechosłowacji udział podatków wszelkiego rodzaju w cenie poszczególnych artykułów przedstawia się w ten sposób: tytoniu — 58%; rumie 48.4%; cukrze 30.8%; piwie 21.4%; winie 11.9%; soli 8.6% i t. d.¹⁾ Uważa się ten stosunek za zbyt niekorzystny dla warstw robotniczych, za zbyt silnie obciążający ich budżety. U nas analogiczne obliczenie udziału skarbu w cenie to-

¹⁾ Dr. Arnim Spitaler, Zehn Jahre tschechoslovakischer Steuerpolitik 1929, str. 176:

warów opodatkowanych dałoby, naogół biorąc, wyniki bez porównania wyższe. W niektórych mniejszego znaczenia wypadkach podatek nie okazałby się zbyt wyso-ki, np. przy piwie; ale gdy się uwzględni spirytus i tytoń, napięcie ciężaru podatkowego okaże się tak wysokie, że już go nie wytrzyma konsument.

Polska niema rezerw skarbowych. Nietylko w bezpośrednim znaczeniu wyrazu, gdyż brak jest płynnych zapasów kasowych, lecz i w znaczeniu możliwości podniesienia stawek podatkowych w razie jakiejś nagłej potrzeby. Te ostatnie rezerwy zasadzają się na tem, że skarb normalnie nie doprowadza swoich stawek do najwyższej dopuszczalnej granicy, to znaczy do tego punktu, w którym dalsza podwyżka wywołuje już zmniejszenie się dochodu skarbowego przez kurczenie się produkcji, odpływ kapitału, zmniejszenie się konsumpcji opodatkowanego artykułu i t. d. Stoimy już, z mało znacznymi wyjątkami, na progu tej granicy; w niektórych wypadkach została już przekroczona i trzeba się cofać.

Nadmierny fiskalizm w pośrednim opodatkowaniu staje się szybko widoczny; gdy monopol po podwyżce ceny sprzedaje mniej swojego towaru, nie ulega wątpliwości, że podwyżka zawiodła. Ale skutków nadmiernego fiskalizmu w bezpośrednim opodatkowaniu nie chce się uznać. Ujemne jego działanie może trwać lata, zanim dla każdego staną się niewątpliwymi objawy tej choroby.

Fiskalizmowi przypisuje się czasami upadek gospodarczy państw. Niewątpliwie nadmiernie ciężary publiczne nie są jedyną przyczyną upadku. Ale zwykle wtedy ten fiskalizm daje się we znaki, gdy gospodarstwo narodowe popada w dłuższy okres trudności, gdy na stałe popsuje się konjunktura, a równocześnie państwo, w zakresie swoich działań, w swojej stopie życiowej, nie chce uznać tego faktu, nie umie, przez odpowiednie obniżenie budżetu, przystosować się do zmienionych warunków. Wtedy skarb przez jakiś czas żyje kosztem gospodarstwa. Ale niezbyt długo trzeba czekać, by i skarb podupadł; nakłada się coraz więcej podatków, podnosi ich stawki, a mimo to dochody podatkowe są coraz mniejsze.

3. By wskazać na małą zdolność płatniczą społec-

czeństwa, przytacza się często ilość obiegu pieniężnego, przypadającą w Polsce na głowę ludności. Ale sam obieg pieniężny niewiele mówi, trzeba również zwrócić uwagę na obrót bezgotówkowy, dokonywany w drodze clearingu. Otóż przyjmijmy, dla szeregu państw, wysokość danin publicznych za 100, przyczem dla Polski wzięto za podstawę rzeczywiste wyniki z danin i monopolu z roku 1930/31, bez wielu danin publicznych, ściąganych przez różne ministerstwa poza Ministerstwem Skarbu, a figurujących osobno w budżecie, albo wogóle w nim niezamieszczonych. Dla Czechosłowacji wzięto wyniki z roku 1929, bo dokładnego zestawienia dla r. 1930 nie można było uzyskać; zresztą cyfry z tych dwóch lat niewiele od siebie się różnią. W drugiej kolumnie zestawiamy obieg banknotów (bez bilonu) pod koniec 1930 r., a w trzeciej przeciętny miesięczny obrót izb kompensacyjnych z roku 1930.

Oto wyniki:

	Austrja	Belgja	Czechosl.	Polska
Daniny publiczne	100	100	100	100
Obieg banknotów	78.7	227	83	76.1
Obrót kompensac.	507	522	73	41.7

O wielkości obiegu pieniężnego rozstrzygają najrozmaitsze okoliczności, nie jest on bezpośrednim miernikiem siły gospodarczej i finansowej kraju. Podobnie jest i z obrotem kompensacyjnym; np. Czechosłowacja ma ten obrót stosunkowo słaby. Ale jeżeli Polska jest i pod jednym i pod drugim względem na szarym końcu, niewątpliwie świadczy to o szczupłych zasobach obrotowych naszego gospodarstwa narodowego w porównaniu z ciężarem danin publicznych.

A teraz, tą samą metodą i dla tych samych co poprzednio lat, porównajmy obciążenie daninami publicznymi z sumą wkładów w bankach akcyjnych (wszystkie wkłady, także i à vista) i z sumą wkładów oszczędnościowych w pocztowych kasach oszczędności, kasach komunalnych i im podobnych.

	Austria	Belgia	Czechosl.	Polska
Daniny publiczne	100	100	100	100
Wkłady w bankach akc.	232	447	293	81
Wkłady w kasach oszcz.	120	105	207	45

Ilość wkładów w bankach i kasach oszczędności ma bezpośrednie znaczenie dla zdolności płatniczej społeczeństwa. By zapłacić podatki, nieraz czerpać trzeba z rezerw, które są nagromadzone oszczędności. Gdy tych rezerwy brak, zachodzi konieczność uciekania się do kredytu, co podnosi stopę procentową, czyli podraża jeden z głównych pierwiastków kosztów produkcji. Ostatecznie jeżeli w Polsce wkłady w P. K. O. i kasach komunalnych stanowią mniej niż połowę tego, co państwo zabiera w postaci danin publicznych, i to nie wszystkich danin publicznych, nikt nie powie, że u nas łatwiej płacić podatki, niż np. w Czechosłowacji czy innych krajach.

Możemy z różnych stron patrzeć na stosunek, który zachodzi między skarbem a siłami gospodarstwa narodowego, a zawsze konkretne cyfry i fakty udowodnią, że gospodarstwo publiczne rozrosło się ponad siły całego gospodarczego organizmu. Łatwo wskazać na to, że niektórym ludziom dobrze się dzieje, że nie potrafi ich osiągnąć urzędnik podatkowy, ale takie wypadki zdarzają się wszędzie. Choćby nawet były liczne nadużycia podatkowe, pozostaje faktem, że ciężary publiczne nawet w okresie pomyślności dawały się we znak kapitalizacji. A zaś gdy przyszła długotrwała depresja, spadek cen, ruina rentowności rolnictwa, dzisiaj nie można już utrzymać dawnego systemu podatkowego, jeżeli się chce znaleźć drogi wyjścia z przesilenia. Skarb nie może pozostać, jak jakaś szczęśliwa wyspa, wśród morza ogólnego wyczerpania. By zaś zmniejszyć ciężary publiczne, trzeba zmniejszyć publiczne potrzeby. Praktycznie wyraża się to w tem, że państwo będzie mniej ludzi utrzymywało, aniżeli dzisiaj utrzymuje.

4. Ilu ludzi utrzymuje dzisiaj państwo i różne związki prawno-publiczne?

Na podstawie preliminarzy budżetowych trudno uzyskać

dokładne dane, gdyż ilość, przewidziana w budżecie, nie zawsze jest zgodna z rzeczywistością; niekiedy rozbieżności są bardzo duże. Zresztą budżet nasz z roku na rok jest coraz ciemniejszy. Ułatwi nam zadanie krytyczna praca Dr. Faustyna Rasińskiego¹⁾.

Według zestawienia tego autora, ilość pracowników państwowych (cywilnych, wojskowych i zajętych w monopolach i przedsiębiorstwach państwowych) wzrosła między r. 1921 a 1930/31 z 656.015 na 733.496. W tem cywilna administracja państwa powiększyła swój skład osobowy w ciągu tego dziesięciolecia o 36%. Ale na tem nie koniec. W r. 1923 ilość emerytów cywilnych i wojskowych wynosiła 24.811, na 1.IX. 1929 r. — 28.402, a razem z wdowami i sierotami 57.776. Ilość inwalidów wojskowych, razem z wdowami, sierotami i rodzicami, pobierającymi zasiłki, wzrosła między 1.I.1927 a 1.X.1929 z 210.557 na 260.397. Dodawszy do tego różne zaopatrzenia z tytułu darów z łaski, wypada, że razem emerytów i członków ich rodzin, pobierających zasiłki, inwalidów wojskowych i innych uprawnionych do stałych zasiłków ze skarbu państwa było na 1.I. 1927 — 266 tys., a na I.IX. 1929 — 327 tysięcy.

A teraz pracownicy samorządu terytorjalnego, gospodarczego i zawodowego; dalej pracownicy różnych instytucyj społecznych, opartych na przymusie; dalej cała masa ludzi, którzy pracują w instytucjach subwencjonowanych przez państwo i różnych związkach, które właśnie z tych subwencji czerpią swoje utrzymanie. Ilości tamtych pracowników nie znamy. Ogłasza się dużo różnych statystyk, ale nie można zebrać względnie dokładnych danych o ilości tych pracowników i różnych osób, utrzymywanych z funduszków publicznych. W każdym razie nie popełni się żadnej przesady, jeżeli się przyjmie, że z rodzinami stanowią oni sporo ponad 10% ogółu ludności. Nie zapominać też o tem, że państwo „żywi” około 38.000 więźniów.

Niewątpliwie nie wszyscy pracownicy państwowi są

¹⁾ Dr. Faustyn Rasiński, Ewolucja polskiego budżetu państwowego. Kwartalnik Statystyczny 1930, Zesz. 3.

tylko obciążeniem z punktu widzenia gospodarczego. Powyżej przytoczone obliczenie pracowników państwowych obejmuje także przedsiębiorstwa i monopole. Ale ostatecznie monopol jest w gruncie rzeczy urzędem do ściągania podatku spożywczego. Wielkiem bardzo przedsiębiorstwem jest kolej żelazna, zatrudniała niemal 200.000 ludzi, a jednak i ona jest w części urzędem publicznym, i w doborze personelu, jego oddalaniu, w oddawaniu swoich usług, rządzi się kryterjami, obcemu zwyczajnemu przedsiębiorstwu zarobkowemu, co oczywiście wpływa na rentowność przedsiębiorstwa kolejowego. A zresztą powyższa statystyka nie obejmuje personelu szeregu fabryk, kopalń, banków państwowych i t. d.

Łatwo przytoczyć cyfry, wykazujące, że u nas pracowników państwowych w stosunku do ogółu ludności nie jest więcej, aniżeli w tem lub innem państwie. Zachodzi tylko ta różnica, że siła gospodarcza ludności, która tych urzędników utrzymuje, a więc i siła podatkowa jest u nas niższa. Mamy miliony ludzi, ekonomicznie biernych, żyjących w nędzy lub półnędzy, a tych wszystkich liczy się, jako podstawę utrzymania całego aparatu państwowego. Na urzędników ma się składać i chłop na ziemiach północno-wschodnich, który żyje jeszcze w fazie gospodarki przedkapitalistycznej, którego nie opodatkuje ani państwowy monopol spirytusowy czy tytoniowy, ani też nie dobierze się do niego najsprawniejszy egzekutor. Urzędników mają utrzymywać masy ludności handlującej po miastach i miasteczkach, które niewiedomo z czego żyją. Niewielką siłę podatkową przedstawia i ogromna większość ludności chłopskiej w całym niemal państwie, jeżeli dochód nawet średnich gospodarstw chłopskich nie wynosi więcej, niż płaca najgorzej wynagradzanego pracownika państwowego. A przecież mamy ogromne bezrobocie, daleko większe niż wykazuje oficjalna statystyka; ci bezrobotni są ciężarem, a nie źródłem dochodów funduszy publicznych.

Z którejkolwiek strony spojrzymy na wysokość ciężarów publicznych, czy zwrócimy uwagę na stawki podatkowe, czy porównamy obciążenie z zasobami społeczeństwa, czy wreszcie zaznajomimy się, choćby w przybliże-

niu, z liczebnością personelu, utrzymywanego z funduszków publicznych, zawsze otrzymamy jeden wynik: ciężar ten jest za wielki. Przerasta zdolność płatniczą społeczeństwa. Gospodarstwo publiczne rozrosło się kosztem swojej podstawy — gospodarstw prywatnych.

Gdy dochody skarbu niedopisują, wówczas obniża się płace pracowników państwowych, albo też przeprowadza ich redukcje pod naciskiem konieczności, w dobie największego napięcia kryzysu. Ale obniżka płac, zbyt daleko posunięta, podkopuje stan moralny pracownika państwowego. Nikt nie powie, że ten stan dzisiaj jest świetny. Redukcja personelu nic nie da, jeżeli nie zredukuje się zadań państwa i samorządu, jeżeli nie zmniejszy się jego funkcji, a przede wszystkim jego bezpośredniej gospodarczej działalności.

Życie gospodarcze musi odżyć, by administracja publiczna z czego żyć miała. Nawrót od fiskalizmu jest koniecznością. Budżet państwa musi być funkcją sił gospodarstwa narodowego. Gdy ono się podniesie, gdy zaczęną się wydatniej gromadzić oszczędności, to wówczas nawet niższe stawki podatkowe przyniosą więcej, niż dzisiaj dają. Obecnie podatek spożywczy od cukru przynosi niewiele ponad 100 milionów. Spożycie cukru na głowę ludności wynosiło, według zestawienia Małego Rocznika Statystycznego, przeciętnie rocznie w pięcioleciu 1926—1930 (łącznie z obszarem wolnego miasta Gdańska) 11.2 kg., gdy w Austrii 32.1 kg., a w Czechosłowacji 31.0. Gdyby spożycie cukru w Polsce osiągnęło poziom tych dwóch ostatnich krajów, podatek od cukru, przy dzisiejszej stawce, dałby rocznie conajmniej o 200 milj. zł. więcej. Spożycie kawy w tem pięcioleciu wynosiło w Polsce 0.3 kg. rocznie na głowę ludności, we Francji 4 kg., w Niemczech 2.0 kg., we Włoszech 1.1 kg. Podobnie jest i z innymi artykułami, które stanowią wdzięczny przedmiot opodatkowania spożywczego. Z faktu, że w Polsce np. wielką jest konsumpcja żyta i kartofli, małą mają pociechę urzędy skarbowe. Niechaj siła konsumcyjna ludności, której to siły nie można traktować w oderwaniu od jej zdolności wytwórczej, od opłacalności warsztatów produkcyjnych, znajdzie się na wyższym pozio-

nie, wówczas — przy niepowiększaniu zadań państwa i oszczędnej gospodarce — nastąpi równowaga między skarbem a gospodarstwem.

Nie może to rychło nastąpić. Wzrost siły konsumpcyjnej musi iść w parze z postępami kapitalizacji. Nasze gospodarstwo publiczne chciało wyprzedzić rozwój gospodarstwa narodowego, rozszerzono tamte ponad miarę, biorąc za punkt wyjścia liczbę ludności i wielkość obszaru, a nie istotną siłę gospodarczą. Stąd wynikły olbrzymie trudności. A powstały nietylko z tego powodu, że państwo i samorządy chcą zbyt wiele wydobyć przez opodatkowanie, lecz również i dzięki temu, że same zbyt rozszerzyły swoją działalność, jako przedsiębiorcy.

5. Zorientujmy się, *brevi modo*, w rozmiarach gospodarki państwowej. Państwo polskie jest najpierw największym właścicielem lasów. W r. 1930 miało 3033.2 tys. ha., na ogólną liczbę 8.322 ha. w r. 1931. Gospodarka leśna państwa idzie wyraźnie w kierunku przemysłowo-handlowym; dąży się do przerobu drzewa we własnym zakresie, do zorganizowania przez urzędy państwowe eksportu zagranicę, zakłada własne fabryki, których podstawą jest surowiec drzewny, jak np. fabryki dykt. Sprawozdanie Najwyższej Izby Kontroli Państwa za r. 1931/32 stwierdza dalsze postępy etatyzacji, co nie wychodzi na dobre rentowności lasów państwowych.

Udział państwa w kopalnictwie węglowem i naftowem jest bardzo poważny. Polityka naftowa państwa kieruje się w bardzo znacznym stopniu względami na interesy państwowych przedsiębiorstw, w ich imię nakłada się specjalne ciężary na posiadaczy terenów naftowych. Fabryki państwowe dominują w produkcji nawozów sztucznych. Przemysł wojenny jest przeważnie w rękach państwa. Uzasadniają to specjalne przyczyny, ale znowu ten przemysł rozrasta się ponad swoje właściwe cele, przerzuca się na tak zw. produkcję uboczną, która niema bezpośredniego znaczenia dla obrony kraju.

Jakie są stosunki w dziedzinie kredytu, o tem już częściowo wiemy. W r. 1932, z końcem czerwca, jak wiemy, kapitały własne i rezerwy dwóch banków państwowych wynosiły 386 milj. zł., a zaś kapitał własny i rezerwy 60 czyn-

nych banków akcyjnych (poza Bankiem Polskim) wynosiły w tym samym czasie 312 milj. zł. Znaczna część tych banków akcyjnych jest w rękach obcych; niektóre z krajowych banków popadły w bezpośrednią zależność od skarbu, dostały się w orbitę państwowej bankowości. Przewaga kredytu publicznego nad kredytem prywatnym jest jednym z głównych znamion naszej polityki kredytowej i ciąży wyraźnie nad całym życiem gospodarczym kraju.

W dziedzinie fiskalnej znowu występuje odrębność naszego gospodarczego systemu, dowodząca rozrostu roli państwa jako przedsiębiorcy. W budżecie na r. 1933/4 przewiduje się, że podatki konsumcyjne, pobierane w formie tak zw. akcyzy, mają przynieść brutto (nie potrącając kosztów wymiaru i poboru) 159.9 milj., a monopol netto 661 milj. Plany finansowe monopoli państwowych przewidują dochody brutto 1.200 milj. (jeden tylko wydzierżawiony Monopol Zapalczany liczony netto), a więc sumę ogromną. Gospodarka monopoli rozrasta się. Np. Monopol Spirytusowy przynosi coraz mniej dochodu, a równocześnie coraz bardziej ruguje z dziedziny produkcji i handlu spirytusem prywatną przedsiębiorczość; chyba że chcemy uwzględnić ogromny wzrost nielegalnej produkcji spirytusu, z którą nie bardzo potrafi walczyć Monopol Spirytusowy. Różne państwa mają monopole i ten system uzyskiwania dochodów skarbowych może mieć swoje uzasadnienie; ale w żadnym państwie, które nie wyparło się jeszcze prywatno - gospodarczej podstawy swego ustroju społecznego, gospodarka fiskalna nie sięgnęła tak głęboko w życie gospodarcze.

Źródła wzrostu gospodarki państwowej są rozmaite. Częściowo odziedziczyliśmy po państwach zaborczych różne przedsiębiorstwa. Nie zaniechaliśmy jednak żadnej sposobności, by je rozszerzyć, Monopol Spirytusowy istniał pod rosyjskim panowaniem; wprowadziliśmy go w całą Polskę. Austria dała nam Monopol Solny i Tytoniowy. Za przykładem pruskim państwo polskie zajęło się kopalnictwem węglowym. Wiele przedsiębiorstw państwowych powstało dopiero w czasach polskich. Z inicjatywy tak zw. władzy nadzorczej utworzyły wiele przed-

siębiorstw samorządy, co jest dzisiaj głównem źródłem ich finansowych trudności. A zaś banki państwowe, zajmując się szeroko finansowaniem różnych prywatnych przedsiębiorstw przemysłowych, stały się ich głównymi wierzycielami, a potem częściowo ich właścicielami, czasami w sposób przez siebie nieoczekiwany. Cięży to w fatalny sposób na ich bilansach.

Zajmowano się wiele działalnością państwa, jako przedsiębiorcy. O ile ktoś nie jest bezwzględny zwolennikiem kolektywizacji, niebardzo już usiłuje bronić prowadzenia przez państwo warsztatów produkcyjnych i handlowych. Zwolennicy silnej ingerencji państwa w życie gospodarcze dzisiaj raczej przemawiają za kontrolą państwa nad produkcją, za tak zw. gospodarką planową, a nie walczą o to, by różne wielkie przedsiębiorstwa wprost stawały się własnością państwową. Dlatego też w tej chwili możemy się powstrzymać od długich rozważań na temat, czy państwo jest dobrym gospodarzem, czy produkcja państwowa przynosi zyski. Tem bardziej, że o ile chodzi o nasze stosunki, powszechnie znane fakty dają odpowiedź na to pytanie.

Dwa największe przedsiębiorstwa państwowe, to kolej żelazne i lasy. Należą one do tych działów gospodarki, których prowadzenie przez państwo natrafia na stosunkowo mało oporów; nawet starzy liberałowie są zwolennikami państwowej gospodarki leśnej, a koleje żelazne musi państwo utrzymać, gdyż nikt ich od niego nie weźmie. Wartość majątku narodowego, tkwiącego w kolejach i lasach państwowych, można, skromnie licząc, przyjąć na 10 miliardów złotych. Gdyby ten majątek przynosił choćby 5%, skarb miałby 500 milj.; dzisiaj całego „dochodu” nie dostaje 100 milj. Gdyby te dwa przedsiębiorstwa płaciły takie podatki, jak wytwórczość prywatna, wynosiłoby to znacznie więcej, niż dzisiejsza wpłata do skarbu. Przypuśćmy, że na kolejach żelaznych ciąży dług obligacyjny, w wysokości paru miliardów; gdyby nie to, że w rozrachunku powojennym dostaliśmy koleje żelazne niejako zamiast odszkodowań, dług ten ciążyłby na kolejach — czyli że trzeba by było setki milionów bezpośrednio dopłacać z budżetu państwowego.

W odpowiedzi na to pisze się, że lasy państwowe nigdzie nie dają wielkiego dochodu, że na kolej żelazną nie można patrzeć, jak na zwyczajne przedsiębiorstwo, gdyż kolej jest na usługach obrony kraju, jest narzędziem polityki gospodarczej i z tych tytułów ponosi duże ofiary. Można wskazać na to, że dzisiaj przyszły ciężkie czasy na koleje żelazne, także i prywatne. Ale w takim razie te „przedsiębiorstwa” nie mogą być traktowane tylko jako źródło dochodu, bo w ich gospodarce tkwi również pierwiastek obciążenia publicznego. Jeżeli np. kolej przyznaje ulgowe taryfy przy wywozie, wychodzi na to samo, jak gdyby państwo wypłacało premje wywozowe z sum budżetowych. A więc dzięki temu, że przedsiębiorstwa państwowe mają podwójny charakter — przedsiębiorstwa i instytucji, spełniające publiczne zadania — ciężary publiczne są większe, niż wykazują obliczenia budżetowe.

Ale istnieje wiele innych przedsiębiorstw, które nie mają tego usprawiedliwienia, które prowadzą państwo i samorządy z najrozmaitszych, czasami i z przypadkowych przyczyn. Czasami wykazują one dochód, wpłatę do skarbu. Jednakże okazuje się, że te dochody bardzo często są fikcyjne. Pochodzą stąd, że państwo pożycza im kapitały na niższy procent, niż samo płaci, jak np. pożyczki, udzielone Mościcom z funduszu pożyczki stabilizacyjnej. Albo te przedsiębiorstwa korzystają ze specjalnych przywilejów: mają zabezpieczony rynek na swoje produkty, dostarczają ich państwu, przyczem ceny nie są oparte na ścisłej kalkulacji. Niekiedy, np. jak kopalnia Brzeszcze, sprzedają swoje produkty po cenach wyższych, wewnętrznych, nie mając obowiązku eksportowania po niższych cenach. „Polmin” znowu, jak wiemy, korzysta ze specjalnego przywileju w nabywaniu ropy naftowej, który spada na właścicieli terenów naftowych. A poza tem różne przedsiębiorstwa państwowe korzystają z uwolnień podatkowych; nawet wtedy, gdy na podstawie przeprowadzonej komercjalizacji mają płacić podatki (nie wszystkie), wprowadza się dla nich, jak dla poczty i telegrafu, specjalne korzystne raty amortyzacyjne.

Wiele przedsiębiorstw państwowych doprowadza nietylko do tego, że skarb niema dochodu od włożonego w nie

kapitału, że cierpi na ubytku dochodów podatkowych. Także pośrednio osłabiają one zasoby skarbu. Czerpie on swoje wpływy z opodatkowania gospodarstw prywatnych; im ich więcej, tem większa jest podstawa opodatkowania. Równocześnie przedsiębiorczość prywatna ma mniejsze możliwości zarobkowe. Szereg dziedzin zajęło dla siebie państwo. Gdy się równocześnie uwzględni rolę obcego kapitału w naszej wytwórczości, stanie się jasne, jak bardzo zwężyły się możliwości zarobkowe rodzimej produkcji. Ponadto prywatny przemysł i handel natrafia nieraz na bezpośrednie współzawodnictwo państwowych i samorządowych przedsiębiorstw. Gdyby to współzawodnictwo odbywało się na równych warunkach, możnaby w produkcji, prowadzonej przez państwo i związki publiczne, widzieć czynnik, regulujący ceny. Gdy jednak konkurują z prywatną wytwórczością przedsiębiorstwa, które nie płacą podatków, gdy przyjmują zamówienia drukarnie, w których pracują rekruci, albo rzuca się na rynek produkty pracy więziennej — wówczas położenie się zmienia, trudno już mówić o lojalnej konkurencji.

Nasuwa się konieczność zwężenia działalności państwa i związków prawnopublicznych, jako przedsiębiorcy. Zadanie to nie jest łatwe, zwłaszcza w wypadkach, gdy państwo stało się właścicielem prywatnego przedsiębiorstwa niejako przypadkiem, na drodze udzielania mu kredytów, np. przez Bank Gospodarstwa Krajowego. Niejedna z tych spółek akcyjnych, finansowanych przez ten Bank, powinna ogłosić niewypłacalność. Pomoc kredytowa państwa niewiele pomogła, ale nadszarpnęła jego finansami. Proces likwidacji działalności państwa w tej dziedzinie będzie bardzo ciężki.

Nie wystarczy jednak zwęzić zakres działalności gospodarczej państwa, którą zresztą w pewnej części likwiduje samo życie. Sporo przedsiębiorstw będzie musiało zatrzymać państwo w swych rękach. Będzie wydawało setki milionów rocznie na cele gospodarcze. Jest koniecznem, by wydawano je inaczej, niż się to dotychczas robi. Naprawy musi doznać ta działalność gospodarcza pań-

stwa, której potrzeby zasadniczo nikt nie poddaje w wątpliwość.

Jeżeli np. państwo ma koleje żelazne, powinno w nich robić inwestycje. Wedle cytowanego obliczenia P. B. Cywińskiego, w ciągu lat 1924—30 koleje państwowe wydały na inwestycje 858 milj. złotych. Suma ogromna, choć niedostateczna w porównaniu z potrzebami kolejnictwa. Czy ją zużyto w sposób najbardziej celowy, najbardziej oszczędny? Cytowany autor podkreśla brak planu w tych inwestycjach, brak porządku; jednej budowli się nie skończy, przerywa się ją z braku funduszy, a już przystępuje do nowej. P. B. Cywiński przytacza, że np. linię Nasielsk — Sierpc (88 km.) budowano przez 6 lat; linię Zgierz — Kutno (57 km.) przez 8 lat; linię Polana — Wiśła, długości zaledwie 2½ km., budowano przez 4 lata. Niewątpliwie takie budownictwo nie jest oszczędne. Trzeba uwzględnić wysoką stopę procentową od kapitału, który się nie rentuje z powodu przewlekłego prowadzenia robót; dalej ratę amortyzacyjną prowadzonych robót, koszty nadzoru i konserwacji. P. B. Cywiński liczy na to skromnie 13%. Koszt budowy rośnie automatycznie w zależności od czasu jej wykonywania. Jeżeli np. budowa będzie trwać przez 6 lat, to faktyczny koszt wyniesie 167.95 w stosunku do stu.

Dzieje się tak nietylko w budownictwie kolejowym. „Ruiny budowlane” stały się już przysłowiem. We wszystkich stronach kraju można natrafić na budowle zaczęte, których, z braku kredytów, przez całe lata się nie kończy. Czasem zdarzają się i gorsze rzeczy: porzuca się wogóle zaczęta inwestycję, bo okazała się wadliwie pojęta. Sprawozdania Najwyższej Izby Kontroli przytaczają przykłady budowli Monopolu Spirytusowego, rozpoczynanych z zamiłowaniem tam, gdzie niema wody, potrzebnej w wielkiej ilości do fabrykacji. Zarzut braku planów powtarza się w nich co roku. A ile wzniesiono budowli reprezentacyjnych, z których niema żadnego pożytku? Czasami buduje się na wyrost, a potem jest kłopot z budynkami. Niektóre prace budowlane ujawniają jaskrawy brak nadzoru i fachowości; wystarczy wspomnieć o sławnym budownictwie pocztowym.

Modne są dzisiaj w niektórych sferach dążenia do stworzenia tak zw. gospodarstwa planowego. To znaczy w praktyce, że kierownictwo całem życiem gospodarzem, cała kontrola nad wytwórczością i wymianą, kierunki produkcji i rozdział dochodu społecznego, ma być dokonywany w drodze przymusu państwowego, który zastąpi wolną grę sił ekonomicznych. A tymczasem widać, że dzisiaj, gdy państwo mimo wszystko ma jeszcze skąpy zakres działania, w porównaniu z tym, który chce się na nie włożyć, jak najmniej w tej gospodarce objawia planowości. Ile tam rzeczy nieprzemysłanych do końca, opartych na fantastycznych czasem założeniach, jak mocno nad gospodarką państwową króluje przypadek! Marnuje się, krótko mówiąc, wiele kapitału.

Dlaczego tak jest, dlaczego w gospodarce państwowej zdarzają się rzeczy, wprost nieprawdopodobne w pomysle i wykonaniu? Nie dzieje się to dlatego, byśmy organicznie byli niezdolni do lepszej gospodarki, lub by każda działalność gospodarza państwa miała być nic nie warta. Istnieją dziedziny, w których państwo może dobrze gospodarzyć, w których zresztą z tych lub innych przyczyn gospodarzyć musi. Ale pod warunkiem: 1) prowadzenia gospodarki fachowej, wolnej od improwizacji i popisów cudownych dzieci; 2) ścisłej odpowiedzialności pracowników państwowych za to, co robią; 3) jawnej kontroli nad całą gospodarką publiczną. Gdy niema fachowości, odpowiedzialności i kontroli, mogą się dziać rzeczy, które wywołują tylko przygnębienie.

Jesteśmy młodem państwem (oczywiście jako państwo nowoczesne, z jego dzisiejszemi zadaniami), i wolno nam popełniać błędy. Państwa, które cieszą się od wieków swoim nieprzerwanym bytem, mają już długie doświadczenia, zgromadzone w swoim aparacie administracyjnym i gospodarczym. Wielu rzeczy musimy się dopiero uczyć, a niejedną cenną naukę zdobywa się dopiero przez błędy i zawody całych pokoleń. Dlaczegoż więc wzięliśmy na barki państwa tak rozległe zadania, przed jakimi cofają się w innych krajach stare administracje państwowe? By popełniać mniej błędów, trzeba mniej robić. Dopiero wówczas, gdy zwęzi się zakres gospodarczej działalności

państwa, skromniejsze zadania będą mogły być lepiej wykonane. A wtedy odetchnie życie gospodarcze, bo zmniejszą się ciężary bezpośrednie i pośrednie, które na nie spadają. Nie będzie ono mogło liczyć na „pomoc państwa”, na różne subwencje, na kredyty z banków państwowych; ale od tej „pomocy” przewróci się niejedno gospodarstwo.

ROZDZIAŁ VII.

RÓWNOWAGA GOSPODARCZA; KARTELE I WOLNA WYTWÓRCZOŚĆ.

1. Doszliśmy dotychczas w naszych rozważaniach do wyników, które można streścić w ten sposób. Ubóstwo Polski w kapitał i znaczny przyrost ludności uzasadniają potrzebę intensywnej kapitalizacji. Utrudnia ją zależność od obcego kapitału, stąd wynika konieczność doprowadzenia do znacznej aktywności naszego bilansu handlowego. Walną przeszkodą jest niezdrowy stan kredytowej organizacji i lekkomyślność kredytowa, którą ujawnia nasze życie gospodarcze. Przeszkodą kapitalizacji są nadmierne ciężary publiczne i społeczne, jak również przerost funkcji państwa i związków publicznych, jako przedsiębiorców. Nie wystarczy jednak usunięcie tych przeszkód, by od razu odżyło życie gospodarcze. Wadliwe są także i wewnętrzne stosunki gospodarcze, brak jest wewnętrznej równowagi cen towarów i płac, czyli, ogólnie biorąc, brak jest najkorzystniejszego możliwie dla całego gospodarstwa rozdziału dochodu społecznego.

Dopóki panowała wysoka konjunktura, wiele wadliwości, wiele niedomagań naszego gospodarczego organizmu pozostawało w ukryciu. Pozory pomysłowości brano za trwałe jej podstawy; posunięcia polityczno - ekonomiczne, które miały w przyszłości zaciążyć ujemnie na gospodarstwie, uchodziły za coś pożytecznego, np. zaciągnięcie pożyczki było uważane przez niektórych, samo przez się, za zdobycz ekonomiczną. Gdy jednak nastąpiła wielka

depresja, wówczas zaczęto rewidować dawne pojęcia. Zaczęto szukać gwałtownie źródeł „kryzysu”. Ale i w tych rozważaniach, już naogół bardziej pesymistycznych, popada się w jednostronność. Utarte formuły naukowe, wyjaśniające klasyczny przebieg wahań konjunktury, nie zdadzą się na wiele, jeżeli chcemy sięgnąć w dalszą przyszłość.

Najczęściej, jako źródło, czy też główny przejaw kryzysu, uważa się nadprodukcję. Świat za dużo wytworzył, rozwinął zbyt swoją zdolność produkcyjną, ponad potrzeby, stąd nastąpiło załamanie się cen i różne mniej lub więcej katastrofalne objawy przesilenia. Z tego wniosek: położenie się poprawi, gdy z rynku zostanie usunięta „nadwyżka”; wtedy ceny wrócą do „normy”. Gdy zostaną zjedzone nagromadzone zapasy, wówczas zjawi się popyt za nowymi towarami, nastąpi ożywienie w przemyśle i handlu, które wyrazi się w zwyżce cen.

Formuła ta jest zanadto prosta. Bo najpierw bardzo ważny dział wytwórczości, zwłaszcza u nas, a jest nim rolnictwo, nie objawia nigdy, także i dzisiaj, podaży, któraby z dużą elastycznością dostosowywała się do zmian ceny.

A następnie czy naprawdę zmniejszenie się zapasów towarów przemysłowych, nagromadzonych w dobie wysokiej konjunktury, oznacza istotne ożywienie, ostateczny zwrot ku poprawie? Jeżeli siła nabywcza zmalała, to sam jeszcze brak towarów nie przyniesie wielkiego ożywienia. Przez to, że zje się zapasy, zubożały konsument nie stanie się bogatszym. Jeżeli organizm kredytowy jest zrujnowany, jeżeli szereg największych przedsiębiorstw jest niewypłacalnych, jeżeli bardzo wiele gospodarstw rolnych jest tak zadłużonych, że nawet silny wzrost cen nie doprowadzi ich do równowagi, to trudno oczekiwać, że poprawa nastąpi automatycznie, jako nagroda za trwałość w jej oczekiwaniu.

Pomińmy te teoretyczne rozważania na temat, kiedy kryzys może się skończyć. Spójrzmy na naszą rzeczywistość. Lekarstwem ma być ograniczenie wytwórczości; mniej wytwarzać, a wtedy wróci lepsza konjunktura. Lekarstwo to może być dobre, z pewnemi zastrzeżeniami,

dla organizmu, który zanadto porósł w sadło, któremu zagraża apopleksja z powodu przekrwienia. Ale przecież polski organizm gospodarczy na to nie cierpi. Jemu zagraża raczej anemja, która zdaje się w niektórych dziedzinach przybierać postać anemji złośliwej. Gdzie w Polsce są te olbrzymie magazyny, które pęcznieją od nagromadzonych towarów? Gdzie są te kapitały, które z powodu złej konjunktury nie mogą znaleźć sobie produktywnego zatrudnienia i dlatego dostaje się za nie 1½% rocznie? Zmniejszyć produkcję! Przecież to brzmi tragicznie, gdy się pamięta o poziomie potrzeb niejednego mieszkańca Polski, który niedojada, niema gdzie mieszkać, który cofa się, czasami nawet gwałtownie, w swojej stopie życiowej. Celem polityki gospodarczej nie może być petryfikacja dzisiejszej biedy. I dlatego, w rozważaniu naszego gospodarczego położenia, nie może nas zadowolić sama formuła nadprodukcji. Niewątpliwie nastąpiło wstrząśnięcie równowagi gospodarczej, ale trzeba je ująć w sposób bardziej konkretny, dostosowany do naszych warunków, jeżeli się chce znaleźć jakąś drogę wyjścia.

2. Wyobraźmy sobie na chwilę, że nasze gospodarstwo narodowe stanowi zamkniętą całość ekonomiczną, niezależną od stosunków handlowych i pieniężnych z zagranicą. Przypuszczenie to jest fikcyjne, potrzebne nam jest jednak do zrozumienia wewnętrznej równowagi gospodarczej, wzajemnej zależności różnych grup produkcyjnych, różnych uczestników rozdziału dochodu społecznego. A zresztą ta fikcja ma praktyczne znaczenie o tyle, że conajmniej 85% jeżeli nie 90% całej wytwórczości w Polsce idzie na potrzeby rynku wewnętrznego; że wywóz towarów zagranicę odbywa się w znacznym stopniu kosztem tego rynku i że rozszerzenie się jego pojemności może dopiero stać się podstawą szerszego udziału Polski w gospodarstwie światowym.

A więc producent polski, tak przemysłowy jak i rolny, musi przedewszystkiem wewnątrz kraju znaleźć nabywcę. Cała roczna produkcja idzie na ten rynek, dochodzi do wymiany towarów, do równowagi wymiennej na podstawie ich cen. Każdy towar (w szerokim tego wyrazu znaczeniu, bo i praca ludzka jest w tym wypadku „towarem”),

jest wymieniany na inny towar. Ilość jednego towaru, nazwijmy ją A, pomnożona przez jego cenę (P_1) równa się ilości jakiegoś innego towaru, nazwijmy go B, który dochodzi do wymiany z tamtym, pomnożonej przez jego cenę P_2 , czyli $A \times P_1 = B \times P_2$. Wyobraźmy sobie, że gdzieś na pustkowiu mieszka dwóch osadników, z których każdy przeważną część swoich potrzeb zaspokaja we własnym gospodarstwie, a tylko jeden artykuł nabywa od drugiego; np. jeden z nich robi buty, a drugi ubranie. Otóż gdy dochodzi między nimi do wymiany, to wartość butów, oddanych przez jednego osadnika, będzie równa wartości odzieży, którą oddaje drugi. Albo też wyobraźmy sobie, że istnieją tylko dwie warstwy ludności, między którymi odbywa się wymiana w gospodarstwie narodowym. Jeżeli jedna warstwa produkuje na zbyt 1.000.000 sztuk swojego towaru, a druga 100.000 sztuk, to cena tych towarów musi pozostawać w stosunku jak 1 : 10, gdyż w wymianie oddaje się równe wartości. Jeżeli np. jedna grupa zmniejszy swoją wytwórczość do 500.000 sztuk, a druga będzie jak dawniej, oddawała 100.000 sztuk, to wówczas zmieni się odpowiednio cena, dojdzie do równowagi na zasadzie $500.000 \times 2 \text{ zł.} = 100.000 \times 10 \text{ zł.}$ Nie jest jednak możliwe, by jedna grupa zwiększyła swoją produkcję, powiedzmy o 50%, druga swojej produkcji nie zwiększyła w tej samej proporcji, a mimo to doszło do równowagi na podstawie dawnego stosunku cen. Jeżeli w jednej grupie ceny z tych lub innych, choćby zewnętrznych przyczyn, spadną, produkcja zostanie ta sama, a natomiast druga grupa przy tej samej produkcji będzie usiłowała utrzymać swoje ceny na dawnym poziomie, to wówczas nastąpi zwichnięcie równowagi w organizmie gospodarczym, wybuchnie „przesilenie“.

Spróbujmy zilustrować to rozumowanie na przykładzie bardziej konkretnym. Najlepiej byłoby wziąć za podstawę wartość głównych działów produkcji, rolnictwa i przemysłu, uwzględniając ich rozmiary i śledzić, jakie zaburzenia w ich równowadze wywołują zmiany cen. Niestety, nie mamy zupełnie dokładnych obliczeń wartości produkcji, z uwagi na trudności statystyki rolniczej, jak i częściowo przemysłowej (wartość produkcji rzemiosła). Wyobraźmy

sobie, exempli gratia, że produkcja rolna przedstawia wartość 10 miliardów zł., że tyleż jest warta produkcja przemysłowa łącznie z wartością usług, oddawanych przez handel. Np. w r. 1923, przy obliczaniu kontyngentu podatku majątkowego, przyjęto, że z 1 miljarda złotych franków połowa przypada na rolnictwo. Pomińmy, dla uproszczenia, handel zagraniczny i przypuśćmy, że rolnictwo krajowe wymienia całą swoją produkcję na produkty przemysłu.

Otóż jeżeli zachodzą zmiany w poziomie cen, to wtedy tylko uniknie się większych wstrząśnięć równowagi, jeżeli ceny, przy tych samych co przedtem rozmiarach produkcji, równomiernie spadają lub wzrastają; np. ceny płodów rolnych spadły o 10%, podobnie obniżyły się ceny towarów przemysłowych; wówczas wzrasta siła nabywczą pieniądza, suma wartości uzyskanej w wymianie będzie niższa, ale realny dochód uczestników wymiany na rynku krajowym będzie niezmieniony. Drugi wypadek, kiedy równowaga nie ulegnie większym wstrząśnieniom, zajdzie wtedy, gdy ceny płodów rolnych pójdą w innym kierunku, aniżeli ceny towarów przemysłowych, jednakże odpowiednio do spadku względnie wzrostu tych cen wzrosną albo zmniejszą się rozmiary produkcji. Np. ceny rolne spadły o 20%, odpowiednio do tego powiększy się o 20% produkcja rolna; wówczas wzrośnie realny dobrobyt sfer przemysłowych, rolnictwo na tem nie ucierpi, o ile ten wzrost został dokonany dzięki większemu urodzajowi lub obniżeniu kosztów produkcji. Równowaga wewnętrzna będzie utrzymana.

W praktyce jednak te procesy nie odbywają się całkiem gładko. Ogólna niżka lub wyżka cen wychodzi zwykle od strony pieniądza; rozmaicie oddziałują na różne działy produkcji, w każdym razie bezpośrednio nie wywołuje zaburzeń równowagi w wymianie tych różnych działów. Od strony towarów zmiany cen zjawiają się w poszczególnych jej działach. Wyżka cen uzasadnia tendencję do zwiększenia produkcji i przez to do zniwelowania tej wyżki, niżka ogranicza produkcję i przez to podnosi cenę. Ale w szczególności produkcja rolna nie umie czy nie może dostosować się dość szybko do zmiany w rów-

nowadze cen i ona cierpi najwięcej na tem, gdy ta równowaga podlega większym wstrząśnieniom.

Albowiem rozmiary produkcji rolnej zależą od urodzaju, a więc od czynnika, którego nie można ani przewidywać, ani uregulować. Następnie rolnictwo wytwarza swoje płody na całej uprawnej przestrzeni, nie określając swojej podaży zależnie od konjunktury. Rolnicy nie potrafią się porozumieć, by swoją podaż zmniejszyć, co z łatwością robi przemysł. Nie zawsze rolnik może czekać na lepsze ceny. Jest rolników zbyt wielu, by ogólne rozmiary produkcji rolnej mogły być opanowane przez świadomą kalkulację. A wreszcie, co jest może najdotkliwsze dla rolnictwa, popyt za płodami rolnymi jest mało elastyczny. Już od wieków wiadomo, że zwiększenie podaży płodów rolnych o nieznaczny procent, wywołuje bez porównania większy spadek cen, gdyż konsumpcja zboża podlega stosunkowo niewielkim wahaniom, zniżka ceny chleba nie zachęca np. do intensywniejszej jego konsumpcji. Te wszystkie czynniki z wielką siłą wystąpiły w związku z obecnym przesileniem.

3. Przypatrzmy się naszym cenom. Wskaźnik cen hurtowych w Polsce przedstawia się w ten sposób:

Rok	Ogólny	Art. rolne	Art. przemysł.
1927	100	100	100
1928	101	97	104
1929	96	86	103
1930	82	69	94
1931	71	60	79
1932 IX.	60	48.6	69.7

Widać z tego, że spadek cen nie idzie równomiernie w przemyśle i rolnictwie, że zwłaszcza w ostatnich czasach rozpiętość między cenami przemysłowymi i rolnymi znowu się zwiększyła.

Na ogólny wskaźnik składają się najrozmaitsze pierwiastki. W większym stopniu zniżka cen wywołana jest ogólnym załamaniem się cen w świecie, która oczywiście

przez import surowców i półfabrykatów daje się odczuć i u nas. Ale przypatrzmy się produktom górnictwa i przemysłu, wydobywanym i wyrabianym w kraju. Przyjmijmy cenę hurtową szeregu artykułu za 100 dla r. 1927; w drugiej kolumnie cyfra wskaźnikowa odzwierciedli poziom tych cen w sierpniu 1932 r.

		Węgiel górn. śl. gruby	Surówka odl. Nr. 1.	Nafta rafin.	Cement	Cukier kryszt.
Rok	1927	100	100	100	100	100
Sierpień	1932 r.	113	87	159	113	114

Wszędzie wzrost, w niejednym wypadku ogromny, a pewną zniżkę wykazuje surówka odlewnicza, gdzie w skład kosztu wchodzi w poważniejszym stopniu cena rudy zagranicznej.

A teraz przypatrzmy się cenom kilku płodów gospodarstwa rolnego. Ceny z roku gospodarczego 1927/8 przyjęte są za 100, a zaś w drugiej kolumnie cyfra wskaźnikowa określa poziom tych cen w sierpniu 1932 r.:

		Żyto	Pszenica	Ziemn. fabr.	Koń.	Krowa dojna	Wieprz
Rok	1927	100	100	100	100	100	100
Sierpień	1932	37	43	47	37	27	44

To już nie zwyczajne odchylenie się cen, wywołane przypadkowymi okolicznościami, to przepaść między rozwojem cen w grupie przemysłowej i w grupie rolnej. Oczywiście trzeba uwzględnić, że w r. 1927/8 poziom cen płodów rolnych był bardzo wysoki. Ale to nie wyjaśni nam w przeważnej części tej różnicy, ani nie złagodzi jej nieznaczne obniżki cen przemysłowych.

Każdy dzisiaj wie, że wysokie ceny produktów przemysłowych utrzymują się w tych działach produkcji, gdzie istnieje kartele. Gdzie karteli niema, tam spadły wydatniej ceny także i przemysłowe. Cena szkła spadła z 5.10 zł. za 1 m³ w r. 1927 na 2.85 w sierpniu 1932; desek sosnowych ciesielskich ze 100.50 za 1 m³ na 38.50; cegły za 1000

sztuk (loco budowa Warszawa) z 90 zł. na 70 zł. i t. d. Niektóre kartele też obniżyły ceny, zrobił to np. papier, ale tu zaznaczył się znowu ogromny spadek ceny surowca (papierówki).

Jeżeli więc chce się oświecić zagadnienie cen w Polsce, wogóle zagadnienie wewnętrznej równowagi gospodarczej, niepodobna pominąć sprawy karteli przemysłowych. Przed bardzo niedawnym czasem mało kto o nich słyszał; dzisiaj, może nawet zbyt jednostronnie, skupia się powszechna uwaga na tem zagadnieniu.

Nie można pojmować zagadnienia wysokich cen przemysłu skartelizowanego wyłącznie z punktu widzenia rolnictwa. Łatwo jest wtedy wykazać, że w wydatkach gospodarstw rolnych artykuły skartelizowane nie zajmują zbyt silnego miejsca, że więc obniżka ich cen nie przyniesie wielkiej ulgi rolnictwu. Ale wysokie ceny, nakładane przez kartele, dają się odczuć także i nieskartelizowanym przemysłom, które muszą sprzedawać po cenach konkurencyjnych, a kupują surowce i półfabrykaty po cenach monopolistycznych. Odczuwa je rzemieślnik, odczuwa je kupiec, którego kartel od siebie uzależnia. Podnosi się ogólny poziom cen, a więc i koszt usług, publicznych i prywatnych, oddawanych przez urzędy i zawody wolne wszystkim warstwom ludności, a więc także i rolnictwu. Rolnik płaci wysoką cenę węgla nie tylko kupując węgiel, lecz i inne towary i usługi.

4. Zagadnienie karteli w Polsce dość trudno wyświecić. Mamy wiele karteli, niektóre z nich z dalekimi uprawnieniami na podstawie ustaw i dekrétów, wprowadzających przymus kartelowy, a niema ogólnej ustawy kartelowej, ustalającej elementarne pojęcia prawne, będącej wyrazem jakiejś określonej polityki państwa w stosunku do tych organizacji gospodarczych. Nie wiemy, wiele jest tych karteli, są bowiem także i kartele tajne. Kartele działające jawnie nie ogłaszają sprawozdań ze swojej działalności, niewiadomo, ile one kosztują, o ile interwencja kartelu oddziaływa na koszty produkcji. Brak jest dokładnych badań statystycznych, obrazujących zbyt produktów przemysłów skartelizowanych, w szczególności koszty dopłat do zagranicznego wywozu.

Jednemu faktowi nikt nie przeczy: przemysły skartelizowane są w pomyślniejszym położeniu, aniżeli reszta przemysłu, a w szczególności rolnictwo. Obrońcy dzisiejszej polityki kartelowej posługują się argumentem, że nie należy niszczyć, ani choćby podrywać bytu przedsiębiorstw, które stoją lepiej od innych, bo innym się nie pomoże, a tym przedsiębiorstwom zaszkodzi. Ale taki punkt wyjścia nie prowadzi do wyjaśnienia sprawy. Bo w czym tkwi źródło tej względnej pomyślności przemysłów skartelizowanych? Poprostu w tem, że kartele, dzięki organizacji, uzależnieniu od siebie pośrednika z jednej strony, a z drugiej dzięki temu, że sprzedają albo podstawowe surowce albo artykuły pierwszej potrzeby, mogą utrzymać wysokie ceny swoich produktów. Źródłem tych wysokich cen jest monopol. Zysk monopolisty płynie z tego, że ceny monopolistyczne nie są oznaczone przez zwyczajny koszt robocizny i zwyczajne oprocentowanie kapitału, co dochodzi do znaczenia w współzawodnictwie, a natomiast monopolista, wyzyskując silniejsze zapotrzebowanie niektórych grup odbiorców, reguluje cenę i rozmiary produkcji w ten sposób, by osiągnąć jak największe zyski. Może łatwo zarobić najwięcej wtedy, gdy produkcja się zmniejszy, bo wówczas w jeszcze wyższym stopniu podniesie cenę.

Otóż tego rodzaju kształtowanie się ceny monopolistycznej polega na tem, że monopolista przerzuca swoje koszty i uzyskuje swoje zarobki od reszty gospodarstwa narodowego. Cena monopolistyczna, która nie liczy się ze współzawodnictwem, zawiera w sobie pierwiastek podatku, nakładanego na całą wytwórczość. Podatek ten można ściągać skutecznie wtedy, gdy jest mało tego rodzaju podatków. Im monopoli jest więcej, tem trudniej będzie osiągnąć te zyski. Narazie monopole mogą wyzyskiwać wielką rozpiętość cen artykułów skartelizowanych i innych artykułów, kształtujących się pod działaniem wolnej konkurencji. Ale niema gwarancji, że to potrwa długo. Nie utrzymają się wyspy pomyślności na morzu ogólnej biedy. Gdyby kartele rozwijały korzystny eksport, gdyby te dobre ceny uzyskiwały zagranicą, nie byłoby tych trudności. Skoro jednak zubożała ludność, która swoje plody rolne

sprzedaje za bezcen, musi ponosić ofiary na wywóz, a rynek wewnętrzny jest podstawą pomyślności karteli, to wówczas rozstrzygające znaczenie, na dłuższą metę, ma stan tego rynku, opłacalność wszelkiego rodzaju innych gospodarstw, a więc i ceny, którą one uzyskują. Fortece wysokich cen trudno jest zdobyć atakiem frontowym; mogą jednak być wzięte głodem.

Trzeba więc odrzucić tego rodzaju argumenty, a przejść na grunt bardziej konkretny. Ceny produktów kartelowych nie są rezultatem wolnej gry sił ekonomicznych, nie powstały w sposób spontaniczny, lecz są wynikiem świadomej polityki cen, jednolitego kierownictwa. I dlatego trzeba się zapytać: dlaczego ceny są tak wysokie, dlaczego nie można ich obniżyć?

Pierwszy poważny argument jest dobrze znany. Usprawiedliwia się wysoki poziom cen w niektórych działach produkcji koniecznością uprawiania „dumpingu”. Niektóre kartele oświadczają gotowość obniżenia ceny, o ile nie będzie się wywierało na nie nacisku, by nie kurczyły nieopłacającego się wywozu. Tem zagadnieniem zajmowaliśmy się już poprzednio, wskazaliśmy na potrzebę takiego przeobrażenia wywozu, by na pierwszy plan wysunęły się produkty, wymagające stosunkowo najmniejszych dopłat. Sprawa to trudna, nie da się przeprowadzić z dnia na dzień, ale trzeba sobie przedewszystkiem uświadomić, czy się do tego dąży, czy w naszej polityce eksportowej jest jakiś system. Oczywiście, że poprawę przynieść może powiększenie się rynku wewnętrznego. Wzrost konsumpcji węgla, cukru i t. d. automatycznie prowadzi do obniżki ceny tych artykułów. Nietylko dlatego, że wtedy, przy większej produkcji, koszty maleją, gdyż koszty stałe rozkładają się na większą ilość towarów, lecz również i z tego powodu, że dopłata do wywozu zmniejsza się stosunkowo przy zwiększeniu wewnętrznego zbytu.

Jednakże nie wszystkie kartele mają poważniejszy eksport zagraniczny, a mimo to stosują wysokie, sztywne ceny. Jaką ekonomiczną rację może mieć utrzymywanie w sztuczny sposób, przez państwo, kartelu drożdżowniczego? Ministerstwo Skarbu, wbrew orzeczeniom Trybunału Administracyjnego, odmawia udzielania koncesyj

na nowe drożdżownie; ten kartel w r. 1931 wywoził drożdży za 3.000 zł., a wartość przywozu drożdży do kraju wyniosła 275.000 zł. W tym wypadku kartel, utrzymując wysoką cenę wewnętrzną, sprzyja wzrostowi importu do Polski; a podobnych wypadków znalazłoby się więcej. Wywóz niektórych artykułów, przy których „dumping” przybiera największe rozmiary, zmniejszył się w r. 1931 w porównaniu z r. 1930 i nadal się zmniejsza. Jeżeli więc ten wywóz przynosi tak ogromne straty przemysłowi, które go uprawia, redukcja wywozu powinna te straty zmniejszyć i doprowadzić do obniżki ceny wewnętrznej.

5. W odpowiedzi na to usłyszysz się: nie można cen obniżyć, gdyż ceny dzisiejsze ledwo pokrywają koszty, nie zawsze zostaje nawet coś na amortyzację kapitału. „Pomyślność” przemysłów skartelizowanych jest bardzo względna, wyglądają one dobrze w porównaniu np. z rolnictwem, ale to niewielka pociecha. I w tem właśnie tkwi sedno całego zagadnienia. Niewątpliwie w poszczególnych kartelach za dużo idzie na różne zbędne wynagrodzenia, na nadmierny personel kierowniczy; niektóre kartele niepotrzebnie budowały kosztowne gmachy reprezentacyjne. Niejedno da się obniżyć, ale nie dojdzie się na tej drodze do istotnego efektu. Natomiast można wykazać na podstawie dokładnych obliczeń, że przemysły skartelizowane są bardzo obciążone długami, że dużo kapitału pochłonęło podniesienie ich zdolności produkcyjnej, ich racjonalizacja. Procenty od wypożyczonego kapitału są nieraz wysokie i uciążliwe.

Zgadzamy się najzupełniej z twierdzeniem, że zniżka ceny produktów kartelowych nie pokryje kosztów własnych całego szeregu przedsiębiorstw. Jednakże nie można przyjmować za aksjomat, że cena musi pokryć koszty produkcji każdego przedsiębiorstwa, że cena tak powinna być obliczona, by nawet przedsiębiorstwo, które ma najwyższe koszty, które pracuje w najgorszych warunkach, mogło pracować bez straty, mogło się utrzymać. Takie stanowisko jest sprzeczne z podstawami systemu gospodarczego, zwanego popularnie ustrojem kapitalistycznym.

W tym wypadku rozumiemy przez „kapitalizm” ustrój gospodarczy, w którym cena kształtuje się w sposób automatyczny, przez współzawodnictwo, w którym utrzymują się na rynku przedsiębiorstwa, produkujące najtaniej. Niekoniecznie musi być niczem nieograniczona konkurencja. Mogą istnieć organizacje producentów, które panują nad rynkiem, które tę konkurencję ograniczają. Z tym ustrojem da się pogodzić istnienie karteli i podobnych organizacji, byle one nie miały charakteru monopolistycznego w tem znaczeniu, że nie potrzebują już liczyć się z możliwem współzawodnictwem, z powstaniem nowych przedsiębiorstw, które taniej od nich będą produkowały. Podstawą „kapitalizmu” jest fakt, że w tym ustroju odbywa się nieustannie proces eliminacyjny, usuwający przedsiębiorstwa słabsze, produkujące drożej. Wolna działalność gospodarcza przynosi nie tylko zyski, lecz również niektórym musi przynosić straty. Istotą jej jest ryzyko, połączone z produkcją. Gdy natomiast chce się to ryzyko usunąć, gdy stwarza się organizację, która wszystkim kapitałom, zaangażowanym w produkcji, ma zabezpieczyć stałą rentę, wówczas znika cała wartość tego ustroju.

Ten proces eliminacyjny z konieczności przybrać musi większe rozmiary, musi być bardziej gruntowny w dobie obecnego przesilenia, aniżeli byłby w innych, spokojnych czasach. W okresie wysokiej konjunktury szereg przedsiębiorstw rozrósł się ponad miarę. Wiele gałęzi produkcji ma tak wielką zdolność produkcyjną, że niema nadziei, by wogóle kiedykolwiek mogły ją wyżyłkować w całej pełni. Zaciągano długi na wysokie procenty; ciężar tych długów spotęgował się z powodu wzrostu siły nabywczej pieniądza. Jeżeli np. zrobiono jakąś inwestycję, która kosztowała 10.000.000 zł., a dzisiaj przeprowadzenie jej mogłoby kosztować 6 lub 7 milionów, to trudno oczekiwać, że uda się oprocentować całe 10.000.000 milj. złotych. Organizacja, która nie bierze pod uwagę różnicy kosztów produkcji między poszczególnymi przedsiębiorstwami, nie pozwala wytwarzać więcej przedsiębiorstwom, które mają niższe koszty, a przyznaje kontyngenty przedsiębiorstwom nierentownym, względnie płaci im stałą rentę, postępuje w sposób niegospodarczy. Wtedy

wysoka cena towaru kryje w sobie podatek na przedsiębiorstwa, które powinny upaść, bo przynoszą straty.

Według zestawień Komisji Ankietowej w 10 zbadanych kopalniach węgla na Górnym Śląsku wydatki na 1 tonnę wydobycia węgla pod ziemią i na powierzchni wahały się w r. 1926 od 6.57 zł. do 11.85 zł.¹⁾ Koszty administracji w 6 zbadanych kopalniach Zagłębia Dąbr. i Krak. wynosiły od 5.9% do 16.7% kosztów własnych. A zwiększone zadłużenie poszczególnych kopalni, które nastąpiło po r. 1926, jeszcze bardziej zaostriżyło różnice kosztów produkcji¹⁾. W 12 zbadanych rafinerjach w r. 1926 koszty przeróbki ropy, razem z kosztami handlowymi, wynosiły od 23.74 do 34 zł. na 100 kg. przerobionej ropy²⁾. W zbadanych przez Komisję Ankietową cementowniach, podzielonych na trzy grupy, koszty fabrykacji (bez kosztów administracyjno-handlowych i kapitału pożyczonego) wahały się w r. 1926 między 23.29 zł., a 38.10 zł. na jedną tonnę cementu. W przedsiębiorstwach przemysłu superfosfatowego koszt produkcji jednego cetnara metrycznego superfosfatu wahał się między 9.76 zł. a 16.25 zł. W cukrowniach, zbadanych przez tę Komisję, wynosiły w r. 1925/6 koszty stałe (zarząd, urzędnicy, biura, konserwacja budynków i maszyn, bez odsetek od kapitałów inwestycyjnych od 1,669,1 groszy do 575,5 groszy na 1 q. cukru białego³⁾).

Uzdrowienie produkcji jest możliwe tylko wtedy, gdy przedsiębiorstwa, które mają niższe koszty produkcji, będą pracowały pełną parą, a upadną inne przedsiębiorstwa. Jeżeli kartel powstrzymuje ten naturalny proces, nie prowadzi do poprawy, lecz tylko przedłuża kryzys. Kartel, któryby stał się towarzystwem asekuracyjnym, zabezpieczającym od strat chore organizmy gospodarcze, doprowadziłby do skostnienia życia gospodarczego. Zanikłby czynnik wysiłku, szerszej inicjatywy, walki gospodarczej, a więc i postępu. Polityka gospodarcza państwa nie może ułatwiać takiej ewolucji.

¹⁾ Sprawozdanie Komisji Ankietowej T. V. Węgiel 1928 s. 175.

²⁾ Spr. Kom. Ank. T. XII. Nafta 1928 s. 158 i n.

³⁾ Spr. Kom. Ank. T. III Cement 1928 s. 54; T. X. Nawozy sztuczne s. 71; T. IX. Przemysł cukrowniczy s. 84.

Jeżeli kartele przeobrażą się w wygodne monopole, dzisiejszy ustrój gospodarczy będzie zmierzał szybkim krokiem ku tak zw. planowej gospodarce. Dyktatura wielkich koncernów i karteli wywoła reakcję władzy państwowej. Nadmierna potęga jakiegoś czynnika prywatno-gospodarczego wywiera głęboki wpływ na życie publiczne państwa. Z wielką siłą wystąpi postulat, by państwo rozciągnęło „kontrolę” nad temi formacjami przemysłowemi; jednakże właśnie pojęcie kontroli jest bardzo rozciągnięte. Gdy władza administracyjna będzie wpływała bezpośrednio na ceny produktu, na stan zatrudnienia, na wysokość dochodu przedsiębiorcy, zaniknie jego odpowiedzialność, przedsiębiorstwo straci swój dawny charakter, stanie się państwowem czy społecznem przedsiębiorstwem. Zaniknie w niem przedsiębiorca; stanie się płatnym dyrektorem, a akcjonariusze przeobrażą się na rentjerów-emerytów, którym państwo-nadzorca, czy komisarz, będzie wypłacał przez siebie oznaczoną rentę, czy też „dary z łańki”. Ale i na to wiele nie mogą liczyć. Gdy przedsiębiorca przestanie nim być w dawnym znaczeniu tego wyrazu, gdy przestanie być siłą aktywną, nikt się o niego nie upomni.

Doraźne korzyści są czasem niebezpieczne. Organizacja przemysłowa nie może wyzyskiwać swego monopolistycznego stanowiska, bo z czasem sama stanie się przedmiotem wyzysku. A kartele robią to nieraz, nietylko kosztem konsumenta, lecz również i kosztem handlowego pośrednictwa. Zasadniczo możnaby uważać za rzecz zdrową, jeżeli kartel eliminuje zbędne ogniwa pośredniczące, dociera do odbiorcy krótszą drogą. Ale czasami kartele, znowu nadużywając swojego monopolistycznego stanowiska, przyznają pośrednikom tak niskie rabaty, że ci sprzedają raczej ze stratą. Postępuje w ten sposób np. kartel drożdżowniczy, który korzysta z tego, że kupiec detalista musi mieć na składzie drożdże i przyznaje mu, przy sprzedaży tego łatwo psującego się artykułu, wprost minimalne procenty. Kupiec usiłuje odbić się na czem innem; dolicza wtedy, ile możliwości z nawiązką, więcej do innych towarów. I na tej drodze dochodzi znowu do nieuzasadnionej gospodarczo zwyżki cen i kosztów utrzymania

nia. W ten sposób, via pośrednictwo handlowe, nakłada się znowu podatek na utrzymanie karteli.

6. Karteli i podobnych związków nie można ani upaństwowić, ani ich zakazać. Ich powstawanie nie jest przypadkowe, odpowiada pewnym powszechnym tendencjom nowoczesnego rozwoju gospodarczego, chociaż te tendencje nie we wszystkich krajach występują w jednakowych postaciach i z równą siłą. Państwo nie może odnosić się biernie do tego zjawiska, ale jego ingerencja musi mieć określone podstawy i granice prawne. Nie będzie najpierw zamachem na własność i inicjatywę prywatną, jeżeli się do gospodarki wielkich tworów przemysłowych i różnych związków przedsiębiorstw, przejawiających tendencje monopolistyczne, wpuści więcej światła. Obowiązek ogłaszania sprawozdań, rachunków strat i zysków i t. d., kosztów tych organizacji, powinien być wprowadzony. Za dużo w ostatnich latach działo się w świecie złych rzeczy pod osłoną tajemnicy bilansowej, skutkiem braku kontroli. Państwo i opinia publiczna ma prawo wiedzieć, jakie kapitały kontrolują główne dziedziny produkcji i wymiany; jakiego one są pochodzenia, czym służą interesom.

Najmniej zdrową formą kartelizacji jest kartel przymusowy, wprowadzony pod opieką ustawodawstwa i władzy administracyjnej. Chyba że się w tym przymusie widzi formę przejściową do planowego gospodarstwa, do likwidacji własności prywatnej. Tylko ci, którzy ten pogląd wyznają, są konsekwentni, domagając się przymusu. Jeżeli zaś ktoś twierdzi, że niema innej rady, by powstrzymać szkodliwe rozpędy monopolistyczne karteli, niechaj wpierw stwierdzi, czy administracja gospodarcza państwa wyczerpała już wszelkie inne sposoby oddziaływania na ich politykę; czy państwo nie może zastosować w pewnych wypadkach tak ważnego narzędzia, jakim jest polityka celna, taryfowa i t. d.

A tymczasem u nas kartele, i to najważniejsze, w bardzo wielkim stopniu zawdzięczają swoje powstanie i istnienie przymusowi państwowemu. Nie zawsze ten przymus jest stosowany bezpośrednio; czasami wystarczy groźba przymusu, albo udzielenie pośrednich przywilejów grupie kartelowej, od której wyklucza się outsiderów. Licz-

nych przykładów stosowania przymusu dostarcza świeżo wydana praca p. H. Tennenbauma o „Strukturze gospodarstwa polskiego”, T. I.

W szczególności: „Rząd polski popiera istnienie konwencji węglowej; gdy przy jej zawieraniu w r. 1928 niektóre przedsiębiorstwa nie chciały przystąpić do konwencji i stawiały warunki nie do przyjęcia dla innych przedsiębiorstw, rząd użył przymusu i bezprawnie odmówił jednemu przedsiębiorstwu podstawienia wagonów na węgiel. W dniu 3 grudnia 1930 r. wyszło Rozporządzenie Prezydenta Rzeczypospolitej, upoważniające rząd do wprowadzenia konwencji przymusowej. Pertraktacje o odnowienie konwencji odbywały się w atmosferze przymusowej i wiadomem było, że w razie niezawarcia dobrowolnej konwencji, rząd wprowadzi ją w trybie przymusu”. Albo syndykat hut żelaznych: „Dnia 1 kwietnia 1932 oświadczył dyrektor Departamentu Górniczego, że rząd zastosuje wszelkie środki wobec hut, odmawiających zgody na prolongatę syndykatu na okres co najmniej 3 lat, i że gdyby środki te nie pomogły, wówczas należałoby oczekiwać wydania dekretu, prolongującego syndykat w drodze przymusowej”⁴⁾.

Rola rządu w organizacji przemysłu naftowego jest powszechnie znana. Rząd uzyskał w drodze ustawy bardzo rozległe pełnomocnictwa, pozwalające mu na „regulowanie” tego przemysłu, pełnomocnictwa tak rozległe, że podcinają własność prywatną u samej jej podstawy. Ustawa o obrocie cukrem przez regulowanie ceny cukru i normowanie kontyngentów, wprowadziła również w praktyce kartel przymusowy. Rząd w stosunku do kartelu drożdżowniczego przed paru laty wydał zobowiązanie, oparte na bliżej nieznanym podstawach prawnych, w którym przyrzekł nie wydawać nowych koncesyj na drożdżownie. Kartel przędzy bawełnianej powstał pod naciskiem rządu. Bronią, którą tu się posługiowano, jest różnicowanie stawek celnych na bawełnę; gdy ktoś do kartelu nie należy, zastosuje się do niego wyższe stawki.

⁴⁾ Henryk Tennenbaum, Struktura gospodarstwa polskiego T. I. 1932 s. 220 i n., s. 329.

W konsekwencji upowszechnia się duch organizacji przymusowej. „Przedsiębiorstwa, — pisze p. H. Tennenbaum — będące przeciwnikami karteli przymusowych, zmuszone są do liczenia się z tem, że rząd może zastosować do nich przymus organizacyjny. Często groźba zastosowania przymusu wystarcza do zawiązania kartelu „dobrowolnego“, któryby nie powstał w innych warunkach; często wystarcza tylko groźba męza zaufania rządu. Wytwarza się atmosfera koncesyjna, w której zajęcie opornego stanowiska w sprawie zawiązania kartelu naraża na przykrości ze strony władz. Przedsiębiorca, chcący założyć nowe przedsiębiorstwo w Polsce, w nadziei, że jego nowopowstałe przedsiębiorstwo odbierze znaczną część rynku dotychczasowym producentom, musi się liczyć z tem, że jego wytwórczość będzie włoczona w ramy określonego kontyngentu zbytu, krępującego jego ekspansję, a mającego na celu utrzymanie przy życiu dotychczasowych producentów. Takie nastawienie polityki państwowej przeszkadza powstawaniu nowych, sprawnych przedsiębiorstw” (l. c. s. 391).

Argument, że tworzenia karteli przymusowych wymaga organizacja eksportu, nie jest przekonujący, gdyż, jak dobrze wiadomo, można ten sam cel osiągnąć przez premje wywozowe. Premje mają tę zaletę, że nie wykluczają współzawodnictwa, że przedsiębiorstwa, produkujące przy niższych kosztach, więcej z nich wydobędą korzyści. a nie prowadzi to do martwoży przez to, że przedsiębiorca ogranicza się tylko do eksploataowania swojego kontyngentu. Zresztą, jak wiemy, nie wszystkie kartele o charakterze przymusowym zajmują się naprawdę eksportem; obok przytoczonego już przykładu kartelu drożdżowniczego, można wspomnieć i o tem, że nie pod kątem widzenia organizacji eksportu powstał kartel przędzy bawełnianej. A czy zanik inicjatywy, przeobrażenie ruchliwych przedsiębiorstw na *sui generis* urzędy rozdzielcze, które parcelują między siebie rynek i wygodnie go eksploatują, przyczyni się istotnie do podniesienia naszej zdolności konkurencyjnej na rynkach światowych?

Primum non nocere. Jeżeli się wzywa państwo do tego, by przeszkodziło sztucznemu podtrzy-

mywaniu cen przez kartele, do daleko idącej kontroli nad nimi, to przede wszystkim trzeba przeszkodzić tworzeniu karteli przez państwo. Gdyby nie miały tej „pomocy”, ruch kartelowy przybrałby o wiele słabsze rozmiary, a w każdym razie nie objawiałby wielu jaskrawości, które często wyrastają w cieniu protekcji rządowej. Państwo ma różne sposoby oddziaływania na kartele, nie naruszając zupełnie odpowiedzialności przedsiębiorców za ich interesy, ani nie wprowadzając w te organizacje przemysłu swojej własnej odpowiedzialności. Oto np. bardzo wiele karteli powstaje pod skrzydłami ochrony celnej. Niektórzy pisarze dopatrują się w ochronie celnej głównego ich źródła. Celem zarządzeń państwowych powinno być doprowadzenie do tego, by istniejący kartel nie wykluczał praktycznie współzawodnictwa, to znaczy, by nie miał tak mocnej pozycji, że dzięki niej nikomu nie opłaca się podejmowanie z nim walki konkurencyjnej. Współzawodnictwo może być w danej chwili ograniczone; ale to ograniczenie nie może prowadzić do monopolu, potencjalnie powinno oddziaływać na wysokość cen.

Szereg krajów pragnął ująć ruch kartelowy w pewne granice przy pomocy tak zw. ustawy kartelowej. Na jej podstawie także i ingerencja państwa ujęta jest w pewne karby, głównie przez utworzenie tak zw. sądu kartelowego, instytucji, niezależnionej bezpośrednio od zwyczajnego aparatu administracyjnego. Sądy kartelowe orzekają, czy kartel nie ogranicza zbytnio współzawodnictwa, czy, regulując ceny, nie narusza interesu publicznego. Wydawanie takich rozstrzygnięć jest rzeczą trudną, nie można ich porównywać z orzecznictwem na podstawie istniejących ustaw karnych czy cywilnych, gdyż chodzi tu właściwie o decyzje z zakresu polityki ekonomicznej. Jeżeli jednak z tych lub innych przyczyn państwo ma ingerować w tej dziedzinie, lepiej jest, by była czynną w tym zakresie specjalna instytucja, uwzględniająca stanowisko różnych stron zainteresowanych. zamiast by decyzje, niesłuchanie ważne, zależały od zupełnie swobodnego uznania zwyczajnych organów administracyjnych.

Ustawodawstwo powinno określić choćby w najogólniejszych granicach, jak daleko może sięgać swobodna dzia-

łałości karteli. Kartel jest organizacją, która niezupełnie mieści się w dawniej ustalonych pojęciach prawno-gospodarczych. Ustawodawstwo stoi na gruncie własności prywatnej. Ale za ograniczenie tej własności uważa się monopol. Dlatego cały szereg konstytucyj wymaga do utworzenia prawnego monopolu formy ustawy, mając na myśli tylko monopole fiskalne i inne, tworzone dla celów publicznych. Co jednak zrobić, gdy powstanie monopol faktyczny, dla celów prywatno-gospodarczych, który w swoim działaniu nie będzie się różnił od monopolu prawnego, i będzie obciążał społeczeństwo w imię swoich celów zarobkowych? Nie zawsze wolna konkurencja może okazać się skuteczna. Z drugiej strony jednak ogólne zakazy, czasem proponowane, nie zdadzą się na wiele. Należałoby raczej uznać za niedopuszczalne pewne postacie działania monopolu, które są już zbyt jaskrawym wyzyskiwaniem jednostronnej przewagi gospodarczej.

Oto przykład konkretny. Kartele czasami posługują się bezwzględnie bronią bojkotu. Starają się uzależnić od siebie pośredników, zmuszając ich do tego, by ci pośredniczyli tylko w sprzedaży artykułu kartelowego, na warunkach, przez kartel oznaczonych. Kto się z pod tego wyłamuje, temu odmawia się dostawy towaru i wywiera nacisk na innych, by z nim nie utrzymywali stosunków handlowych. Otóż kartel może się porozumieć co do ceny, po której będzie sprzedawał swoje towary, może tę cenę oznaczyć. Ale nie powinien mieć prawa odmawiania sprzedaży swojego towaru na ogólnych warunkach, przez siebie oznaczonych, dlatego, że kupiec nie chce spełnić jakichś dodatkowych warunków kartelu, wykluczających współzawodnictwo. W takich wypadkach należałoby oddać decyzję specjalnemu sądownictwu kartelowemu.

Interes publiczny może nieraz wymagać, by rozluźnić zbyt sztywne związki przemysłowo - handlowe, by złagodzić ich jednostronną przewagę gospodarczą. Ale zależy to nie tylko od polityki państwowej, bezpośrednio do tego celu skierowanej. Warunkiem istnienia współzawodnictwa jest stały dopływ kapitału do wytwórczości, istnienie niejako rezerwy nowych kapitałów, gotowych wyzyskać fakt, że istniejące kartele utrzymują ceny na zbyt wyso-

kim poziomie. Jeżeli nie ma możliwości zakładania nowych przedsiębiorstw, stosujących zdobycze techniczne, pracujących już przy niższych kosztach produkcji, to wtedy siłą rzeczy istniejące dawniej przedsiębiorstwa mają przewagę na rynku, której dadzą wyraz na tej lub innej drodze. W pewnych warunkach, gdy kapitał jest bardzo drogi, trudny do zdobycia, nabiera sam przez się charakteru monopolistycznego. I wtedy najskuteczniejszym sposobem walki z przerostem karteli jest wzrost kapitalizacji. Do stwierdzenia jej potrzeby dochodzimy wciąż, rozważając jakiekolwiek zagadnienie gospodarcze. Bo ostatecznie ona jest uniwersalnem lekarstwem na niedomagania gospodarcze.

ROZDZIAŁ VIII.

KAPITAŁ A „PRACA”; ZAGADNIENIA ROBOTNICZE.

1. Zagadnienie pracy najemnej w Polsce w ostatnich paru latach zmieniło swoją postać. Jeszcze niedawno temu na pierwszy plan wysuwała się walka o płacę, o jej wysokość; prowadziły ją wytrwale organizacje robotnicze. Obecnie nawet niska płaca nie jest uważana za nieszczęście; większem nieszczęściem jest brak pracy, niemożność jej uzyskania. Robotnik woli pracować za niższem wynagrodzeniem przez pięć lub sześć dni w tygodniu, niż otrzymywać wyższą płacę przez dwa dni na tydzień. Godzi się dzisiaj nawet na obniżkę płacy, byle nie zostać bezrobotnym. Przesilenie zmniejszyło napięcie walki o wysokość płac, przynajmniej mniej jest zapału do strajków; te, które wybuchają, mają przeważnie charakter obronny. Ale zagadnienie udziału robotników w rozdziale dochodu społecznego nie straciło swojej aktualności. Nie można patrzeć na nie wyłącznie pod tym kątem widzenia, czy jest spokój w fabrykach i na kopalniach. Warstwa robotnicza jest jednym z uczestników procesu produkcyjnego i warto się zastanowić, jaki jest i jaki może być jej udział w rozwoju gospodarstwa narodowego.

Niewątpliwie zależy na tem, by ten udział był dostatecznie wysoki. Ale można go rozmaicie pojmować. Nie rozstrzyga, zwłaszcza w dzisiejszych warunkach, sama skala płac. Gdyby popyt na siły robocze przewyższał ich podaż, gdyby wszyscy robotnicy byli zatrudnieni, wówczas przez każdą zwykłą płacę wzrastałaby suma zarobków, wypłaconych robotnikom. Gdy jednak stan za-

trudnienia w przemyśle fabrycznym i górnictwie wykazuje wyraźną tendencję zniżkową, to może się zdarzyć, że wysokie płace będą działały w kierunku zmniejszenia ogólnej sumy zarobków robotniczych. Wtedy pozostanie mniejszość w warsztatach uprzywilejowanych; będzie miała pracę i stosunkowo wysoką płacę i to w przemyśle, których nie podcina konkurencja zagraniczna, które ze względu na rodzaj potrzeb, przez siebie zaspokajanych, mają charakter monopolistyczny. A równocześnie olbrzymia masa będzie pracowała parę dni w tygodniu, albo wogóle pracy nie znajdzie.

Gdy się bada położenie warstwy robotniczej, trzeba wziąć pod uwagę zarówno tych, którzy mają pracę, jak i tych, którzy tej pracy nie znajdują. Nietylko robotnik fabryczny ma być przedmiotem naszego zainteresowania, także i chałupnik, także i wyrobnik wiejski. Kryzys gospodarczy nie uderza równomiernie we wszystkich. Gdy robotnik w zakładach użyteczności publicznej, pobierający wysoką płacę, uposażony w emeryturę, w dzisiejszych czasach żyje względnie dobrze, los poszukującego pracy przez całe lata lub wyrobnika na wsi, pracującego za 1 zł. dziennie, gdy ta praca się trafi, jest całkowicie inny. Sprawiedliwość społeczna wymaga, by nie było zbyt wielkich przepaści między różnymi warstwami, a także i w łonie tej samej warstwy społecznej. Trzeba, by jak najwięcej ludzi znalazło pracę, by pracowało bez przerw w stanie zatrudnienia; a wtedy udział warstwy robotniczej w rozdziale dochodu społecznego będzie stosunkowo największy.

Na czoło zagadnień przyszłości gospodarczej Polski wysunęliśmy sprawę kapitalizacji. Mogłby ktoś mniemać na tej podstawie, że uznajemy prymat „kapitału” nad pracą. Jak już zaznaczyliśmy w Rozdz. II., „kapitalizacja” nie oznacza bezwzględnej przewagi warstw, reprezentujących kapitał. Przeciwnie, „praca” ma większą siłę, gdy podaż kapitału jest większa, gdy poszukuje się rąk robotniczych; a zaś gdy kapitał jest mały, zniszczony przez przewroty wojenne i społeczne, słabnie stanowisko warstwy robotniczej w rozdziale dochodu społecznego. Kiedy w XV w. tak zw. Czarna Śmierć wytrzebiła znaczną część lud-

ności Europy, brakło rąk do pracy, i wtedy w niektórych krajach, jak np. w Anglii, poprawił się byt robotników, wogóle ludzi „pracy”. Zniszczenia, które przyniosła wojna i przesilenie w stanie kapitału, objawiły w niektórych przynajmniej krajach, po przejściowym ożywieniu, ogromny naamiar rąk roboczych, temsamem osłabiły pozycję tego uczestnika rozdziału dochodu społecznego.

Z drugiej strony i „kapitał” jest, w pewnym znaczeniu, zainteresowany we wzroście sumy płac robotniczych. Robotnicy, otrzymujący płacę, są konsumentami. Warstwa kapitalistów mogłaby wtedy powiększać nieproporcjonalnie swój udział w dochodzie społecznym, gdyby albo przeważnie wywoziła swoje produkty zagranicę i z obcych rynków zbytu czerpała swoje zyski, albo też przy pomocy kapitału były wytwarzane przedmioty, służące przedewszystkiem konsumpcji kapitalistycznej, to zn. przedmioty zbytku. A tymczasem wywóz zagraniczny, jak wiemy, przynosi raczej straty, a nasz przemysł produkuje głównie przedmioty konsumpcji masowej. Tylko w miarę, jak ta konsumpcja się rozszerza, kapitał może powiększać swoje zyski. A konsumpcja może się rozszerzać w bardzo wielu dziedzinach tylko zależnie od wzrostu dochodu najszerszych warstw ludności, a więc także i ludności, żyjącej z pracy najemnej.

Piszący te słowa starał się zilustrować tę wzajemną zależność różnych czynników produkcji na przykładach cyfrowych w „Teorii gospodarstwa społecznego”. Wskazywał na to, że „nie możemy sobie wyobrazić nowoczesnego kapitalisty, jako podobnego do jakiegoś despoty, który obdziera swoich poddanych ze skarbów i gromadzi je w swoim pałacu. Nowoczesny kapitał to nie złoto i brylanty, które chowa się w skrzyniach, to nie są setki niewolnic, które zamyka się w haremach. Kapitał jest zatrudniony w produkcji. Wytwarza całą masę dóbr, które muszą znaleźć zbyt na rynku. Im bardziej się ten kapitał powiększa, tem więcej jest tych dóbr, tem większą, w ostatecznym wyniku, musi być konsumpcja”. I dalej: „Zawsze więc wcześniej czy później dochodzimy do tego wyniku: istnieje proporcjonalność między wzrostem kapitału a wzrostem konsumpcji. Jeżeli korzystać ze wzrostu

kapitału mają odnieść wyłącznie tylko kapitaliści, to muszą wzmoc równolegle swoją konsumpcję, nowy kapitał musi dla nich produkować nowe dobra konsumpcyjne. Muszą więc stanowić warstwę dostatecznie liczną, o wzrastającym zapotrzebowaniu na dobra konsumpcyjne. Nie jest możliwym taki wypadek, że kapitał koncentruje się coraz bardziej w rękach tych, którzy są tak nieliczni, że ich konsumpcja nie gra poważniejszej roli na rynku artykułów konsumpcyjnych, a równocześnie ten kapitał przynosi coraz poważniejsze dochody. O ile zaś nowy kapitał wytwarza dobra przeznaczone do konsumpcji niekapitalistycznej, to równolegle ze wzrostem kapitału idzie wzrost konsumpcji warstw, zatrudnionych przez kapitał, czyli wzrost siły nabywczej, a więc podniesienie się poziomu płac¹⁾.

Te teoretyczne wywody znajdują potwierdzenie na każdym kroku, uwypukla je przebieg obecnej depresji gospodarczej. Niewątpliwie przedsiębiorca jest bezpośrednio zainteresowany w tem, by mieć jak najmniejsze koszty produkcji, między innemi w tem, by przy stosunkowo najniższej płacy osiągać jak największy wynik. Ale robotnik nie jest podobny do maszyny, która, im mniej zjada węgla, tem jest lepsza. Robotnik za swoją płacę nabywa produkty przedsiębiorcy. Temsamem więc większość kapitalistów jest zainteresowana w tem, by robotnicy mieli za co nabywać ich towary. Gdyby jakimś cudem udało się zastąpić robotników w całości przez maszyny, wówczas trzeba by zmniejszyć ogromnie produkcję, gdyż znikłyby setki tysięcy, a w niektórych krajach miliony nabywców na produkty, wytwarzane przy pomocy maszyn.

Na tych podstawach nie można wypowiadać wniosków na rzecz zwiększenia siły nabywczej robotników przez czysto mechaniczne zwiększenie płac, bez względu na to, czy zwiększa się równocześnie produkcję i zbył. Rozumuje się czasem w ten sposób: robotnik za mało kupuje, bo ma za niską płacę; gdy się tę płacę podniesie, wówczas ożywi się odrazu rynek, towary znajdą zbył, minie

¹⁾ System ekonomji politycznej, T. II., Teorja gospodarstwa społecznego 1930, str. 167 in.

zastój. Przypuśćmy, że robotnicy przemysłowi otrzymują rocznie w postaci płac 1 miliard złotych. Podnosi się im płace o $\frac{1}{2}$ miljarda. Skąd je wziąć? Możliwe są dwie ewentualności. Albo udział robotnika wzrośnie kosztem zysku przedsiębiorcy, względnie kapitalisty (w ściślejszym wyrazu znaczeniu), który swój kapitał wypożyczył przedsiębiorcy na procent. Otóż trzeba wykazać, iż jest z czego brać. Obniżka procentu od wypożyczonego kapitału, jednostronnie przeprowadzona, nie wzmoże środków obrotowych przemysłu, ani nie wniesie ożywienia. A zysk przedsiębiorcy nie zawsze da się zmniejszyć. Nawet w lepszych czasach wiele przedsiębiorstw nie płaciło dywidendy. A zaś na kosztach kierownictwa, kosztach handlowych i t. d. z reguły niewiele da się oszczędzić.

Inną, bardziej prawdopodobną konsekwencją zwyżki płac, będzie wzrost cen produkowanych towarów. Ceny ich wzrosną co najmniej o tyle, o ile wzrosła cena robocizny (czasami, przy takich okazjach, jeszcze coś się dodaje do ceny). A więc spadną realne płace robocze, generalna zwyżka cen okaże się w znacznym stopniu iluzoryczna. Na tem nie koniec. Wzrost cen towarów utrudni eksport, a wzmoże import, a więc powiększy bezrobocie. Ceny towarów przemysłowych jeszcze bardziej odbiegną od poziomu innych cen, zwłaszcza płodów rolnych i wystąpi mocniej brak wewnętrznej równowagi.

2. Przypatrzmy się, jak w świetle cyfr wyglądają płace robotnicze. Realna wysokość płac wzrosła w porównaniu z r. 1927. Jeżeli się płace robotnicze przyjmie w tym roku za 100, otrzymamy dla maja 1932 wskaźnik 123.8. Spadek cen wyszedł na dobre robotnikom, nie zdołały tego spadku zrównoważyć obniżki płac robotniczych, dokonane w ostatnich latach w niektórych działach przemysłu. Jednakże w rzeczywistości jest inaczej wszędzie tam, gdzie robotnik nie pracuje pełnej ilości dni w tygodniu. Z powodu redukcji czasu pracy rzeczywiste płace są dość niskie. W lutym 1932 przeciętny miesięczny zarobek robotnika w hutach żelaza wynosił 125.21 zł. (przy dziennej płacy 9.28 zł.), w marcu więcej, z powodu większej ilości dni roboczych, bo 154.22 zł. Robotnik węglowy zarabiał w lutym 142.95 zł. miesięcznie, w marcu 157.19 zł.

W lutym 1932 r. zarabiałoby niżej 40 zł. tygodniowo w przemyśle skórzanym 66.8% ogółu robotników; w garbarniach 64.7% ogółu; w przemyśle papierniczym 73.7%. W przemyśle drzewnym niżej 30 zł. tygodniowo zarabiałoby 84.1% robotników, w przemyśle włókienniczym niżej 20 zł. tygodniowo 30.6%, a razem niżej 40 zł. — 93.4% ogółu. Wyjaśnia się to nie redukcją zarobku dziennego, lecz redukcją zatrudnienia. Jeżeli ilość robotniko-godzin dla r. 1927 przyjmie się za równą 100, dla pierwszego kwartału 1932 otrzymamy cyfrę wskaźnikową równą 54. Prawda, że *caeteris paribus* stan zatrudnienia w miesiącach zimowych jest zwykle niższy od przeciętnej rocznej, ale w każdym razie zmniejszenie stanu zatrudnienia jest ogromne, co w części wyjaśnia się bezwzględny ubytkiem ilości robotników, zatrudnionych w przemyśle, a w części względny wzrostem ilości robotników, częściowo zatrudnionych.

Poprawa przyjsć może tylko przez zwiększenie produkcji, w warunkach, w których więcej dochodu społecznego będzie do rozdziału. Skuteczność walki związków zawodowych o lepszy udział robotników w rozdziale tego dochodu jest mocno ograniczona. Ta walka może przynieść korzyści niektórym grupom robotniczym, w niektórych zawodach, niezbyt licznych, ale nie poprawi bytu całości warstwy robotniczej, gdy ogólne warunki ekonomiczne temu nie sprzyjają. Analiza wysokości płac robotniczych w różnych gałęziach wytwórczości doprowadza do bardzo ciekawego spostrzeżenia. Oto powiększa się rozpiętość płac między działami produkcji, w których strajki i inne sposoby walki o wyższe płace są skuteczne, a działami, w których te metody zawodzą. Wysokie płace mają robotnicy w wielu zakładach użyteczności publicznej; np. w Warszawie na czele drabiny płac stoją wciąż robotnicy gazowni. Wysokie płace są w piekarstwie: piekarz zarabia trzy razy tyle, ile kwalifikowany robotnik w przemyśle metalowym. Zarabiają dużo niektóre grupy robotników transportowych. Przez pewien czas płace drukarzy, czynnych w wydawnictwach dzienników, trzymały się na bardzo wysokim poziomie. Ale ci uprzywilejowani robotnicy liczą się na tysiące. A tymczasem setki

tysięcy robotników w górnictwie, hutnictwie, w przemyśle włókienniczym, drzewnym i t. d. mają płace niskie.

Zjawisko to z dużą siłą wystąpiło w wielu krajach po wojnie. Anglicy odróżniają tak zw. *protected* i *unprotected industries*; w tych ostatnich w kierunku obniżającym poziom płac działa współzawodnictwo, zwłaszcza zagraniczne; co do pierwszych ograniczają współzawodnictwo warunki lokalne, a rodzaj i siła potrzeb, zaspokajanych przez przemysł pierwszej grupy, sprzyja wywalczeniu przez robotników wysokich płac. Gdy zastrajkują tkacze lub górnicy i dzięki strajkowi podniosą się płace, a przez to i ceny towarów, wówczas zbyt towarów się zmniejszy, wzrośnie bezrobocie w tych przemysłach, co tamuje dalsze tendencje zwykłe i wywiera nacisk na obniżenie płacy. W razie strajku w gazowni lub piekarniach nie obawiają się strajkujący robotnicy, że przywiezie się gaz lub pieczywo z zagranicy. Zaburzenia w funkcjonowaniu przedsiębiorstw użyteczności publicznej nie mogą trwać długo, władze państwowe prą do rychłej likwidacji strajku, choćby przez ustępstwa na rzecz robotników.

W ten sposób dochodzi do powstawania pewnych uprzywilejowanych grup robotniczych. Powstaje arystokracja robotnicza, nie tyle oparta na jakości wykonywanej pracy, na wyższej jej kwalifikacji, ile na „gwałtowności” potrzeb, zaspokajanych przez uprzywilejowane przemysły, względnie na lokalnych warunkach, sprzyjających powstaniu tych *sui generis* monopolów pracy.

Wytwarza się pewne podobieństwo w rozpiętości tych płac z kształtowaniem się cen „związanych”, oznaczanych przez kartele, i cen wolnych. Robotnicy w przemysłach, w których ograniczone jest współzawodnictwo, w przemysłach, w których związki zawodowe panują nad rynkiem pracy, nie dopuszczają ile możliwości do obniżki płac, chociaż inne płace i ceny towarów spadają; podobnie kartele nie dopuszczają do obniżki cen. Cierpi na tem ogół robotników, podobnie jak wysoki poziom cen towarów skartelizowanych odczuwa ogół nabywców towarów. A właśnie te przemysły o uprzywilejowanych płacach mają wysokie znaczenie dla kosztów utrzymania.

Wchodzi tu w rachubę cena gazu, elektryczności, pieczywa, gazet, mięsa (praca przy jego transporcie i uboju). Tak jak kartele hamują spadek cen towarów, tak owe monopole pracy przeszkadzają obniżeniu się kosztów utrzymania stosownie do spadku cen artykułów żywności w handlu hurtowym. A tego objawu niepodobna uznać za korzystny dla całości warstwy robotniczej.

3. Walkę o płacę prowadzą związki zawodowe. Doszły do wielkiego znaczenia także i w tych krajach, gdzie w stosunki robotnicze ingeruje silnie państwo. Nikt dzisiaj nie odmawia robotnikom prawa koalicji, wobec tego, że i przedsiębiorcy umieją się zrzeszać w obronie swoich interesów. Co więcej, rozpowszechniają się w niektórych krajach poglądy, że związki zawodowe powinny stać się podstawą całego ustroju społecznego a nawet i politycznego. Syndykalizm, w różnych postaciach, nabrał wielkiego znaczenia, ma swoją teorię w krajach zachodnich, której echa dochodzą także i do Polski.

Pomijam syndykalizm w postaci rewolucyjnej, z jego *action directe* i t. d. Jednakże niektórzy pisarze widzą w syndykalizmie narzędzie ewolucyjnej przebudowy ustroju społecznego. Znany francuski socjolog, E. Duerckheim, widział w związku zawodowym czynnik organizacji społecznej, skupiający rozproszone jednostki, przeciwdziałający rozluźnieniom więzi społecznej. Związek zawodowy miałby się stać środowiskiem, w którym wykształca się dyscyplina społeczna, dzięki któremu rozwija się solidaryzm. Związek związków zawodowych, zdaniem syndykalistów, ma stać się podstawą organizacji władzy w państwie.

Gdy jednak bierzemy za punkt wyjścia związki robotnicze, stajemy wybitnie na stanowisku klasowym. Rządy związków zawodowych, to rządy dyktatury klasowej. W gruncie rzeczy nawet i w Rosji sowieckiej nie ma takich rządów, gdyż władza jest w rękach partii bolszewickiej, która posługuje się organizacją zawodową, jako biernym narzędziem. U nas ze względu na to, że warstwa robotnicza nie ma liczebnej przewagi, że rolnictwa nie można zorganizować tak, jak się organizuje przemysł, czysty syndykalizm nie jest aktualny. A zresztą

co zrobić z innemi uczestnikami produkcji, z ogromną masą drobnych i średnich gospodarstw chłopskich, z rzemiosłem, handlem i wreszcie z udziałem wielkiego kapitału prywatnego w produkcji?

Skrajnemu robotniczemu syndykalizmowi przeciwstawia się korporacjonizm. Ten kierunek za punkt wyjścia bierze nie zawód, nie przynależność klasową, lecz określoną gałąź produkcji. Wierzy w istnienie solidarności między wszystkimi uczestnikami produkcji jakiegoś towaru, bez względu na to, czy reprezentują pracę umysłową czy fizyczną, czy też kapitał. Gospodarstwo narodowe nie jest związkiem zawodów czy klas, lecz związkiem korporacji, reprezentujących poszczególne działy produkcji. Korporacjonizm oznacza pewnego rodzaju powrót do średniowiecznych „*métiers*”, do cechów, które były związkami majstrów i czeladników.

I nie tylko przez te nieco romantyczne pierwiastki, lecz przede wszystkim przez dążenie do wyeliminowania walki klasowej, korporacjonizm przedstawia pewien urok dla tych wszystkich, którzy nie chcą w społeczeństwie widzieć przede wszystkim walki kapitału z pracą. Zachodzi jednak obawa, że idea korporacjonizmu w dzisiejszych warunkach ma w sobie coś sztucznego, że nie godzi się z dzisiejszym ustrojem, a nie ma w sobie dość siły, by ten ustrój przeobrazić. Coprawda powstaje czasami specjalna solidarność między przedsiębiorcami a robotnikami w niektórych gałęziach wytwórczości, które mają uprzywilejowane, monopolistyczne stanowisko; robotnicy otrzymują wysokie płace, przedsiębiorcy wysokie ceny za swój towar. Ale te monopole nie mogą służyć za wzór do naśladowania, uchodzić za pożądany związek nowego ustroju ekonomicznego. Naogół jednak bezpośrednia solidarność, która łączy przedsiębiorcę z robotnikami, którzy u niego pracują, jest dość słaba. Robotnik przenosi się z łatwością z jednej gałęzi produkcji do drugiej, kapitał również wykazuje tę ruchliwość. Wytworzeniu się solidarności korporacyjnej nie sprzyja z jednej strony koncentracja pionowa, obejmująca różne rodzaje wytwórczości, z drugiej solidarność klasowa robotników, a także istnienie jednego rynku na pracę. Duch korporacjonizmu

może się umocnić w niektórych tylko przypadkach, np. pośród zawodów wolnych, gdzie niema wyraźnego antagonizmu między kapitałem a pracą. Trudno przypuścić, by ten duch zdołał się szerzej upowszechnić.

Więcej żywotności objawia syndykalizm. Nie jest już teorią, lecz rzeczywistością. Nie rozpoczął się rozwijać dopiero w latach ostatnich, chociaż szczególnie rozszerzył się po wojnie. Świadectwem tego jest rozwój ruchu zawodowego wśród pracowników umysłowych, także i wśród urzędników państwowych. Zawodowe związki robotnicze nieraz przeciwstawiają swoją wolę rządowi. Przyczyniły się one wydatnie do podkopania powagi rządów, opartych na demokracji parlamentarnej przez to, że czasami narzucały swoją wolę rządowi parlamentarnej większości. Potęgą związków zawodowych w Anglii nie dopuściła do obniżenia nominalnych płac robotniczych, jakkolwiek te płace realnie wzrosły w dobie kryzysu; był to jeden z czynników, które wywołały załamanie się funta.

Ruch zawodowy jest jednak faktem, z którym trzeba się liczyć. Nie uda się go przekreślić jakimś aktem ustawodawczym, zwalczyć czysto policyjnemi sposobami. Niektórzy pisarze, licząc się z tem, że związki zawodowe wywierają potężny wpływ na życie publiczne, chcą nadać im publiczne prawa, a przez to i określone obowiązki, łącznie z materialną ich odpowiedzialnością.

Można nie lekceważyć znaczenia ruchu zawodowego, ale niema powodu, by widzieć w nim źródło odrodzenia świata. Niewiędomo, czy dobrze wyszłyby na tem narody, gdyby na czoło społecznej organizacji wysunęła się solidarność zawodowa, gdyby społeczeństwo stało się niejako federacją, związkiem związków zawodowych. Bądź co bądź solidarność zawodowa jest przede wszystkim materialną solidarnością. Horyzont jej jest dość ciasny. Powstaje niebezpieczeństwo, że będzie się poświęcało wyższe wartości: religijne, moralne, narodowe, czysto doraźnej solidarności ekonomicznej. Rozwój związków zawodowych nadaje cokolwiek określone formy walce o byt, ale zasadniczo nie łagodzi walki klasowej. Ustroje społeczne zawdzięczają trwałość nie rozwojowi solidarności zawo-

dowej, lecz bardziej ogólnym i trwałym ideom, które stwarzają i podtrzymują narodowe solidarność.

Trudno od syndykalizmu oczekiwać zbawienia. Nie wiadomo, gdzie się zatrzyma ruch syndykalistyczny. Przecież tkwi on także i u podstaw bolszewizmu. We Włoszech, które wahają się między korporacjonizmem a syndykalizmem, czynnikiem istotnie rządzącym jest organizacja polityczna — partja faszystowska. Rządzone przez nią państwo jest rozjemcą w stosunkach społecznych, a te nowe formy organizacji społecznej są dopiero częściowo próbami, a częściowo są poprostu — dekoracją.

Historja ruchu robotniczego w różnych krajach uwydatnia, że mimo zewnętrznych podobieństw, każdy kraj ma swoje wielkie odrębności, zależne od warunków ekonomicznych, a nawet i od charakteru narodu. Nie uda się wytworzyć jakiegoś ruchu na obraz i podobieństwo obce. Moda przechodzi szybko, a tylko w tem, co tkwi głęboko w pierwiastkach rodzimych, można szukać zbawienia.

A równocześnie jest faktem, że ruch zawodowy tylko wtedy jest naprawdę potężny, gdy życie gospodarcze się rozwija, gdy walka o poprawę bytu robotniczego daje widok wygrania. Warunkiem jego powodzenia jest brak bezrobocia, względnie możliwość utrzymania pomocy dla bezrobotnych w dostatecznie silnych rozmiarach, jak jest np. w Anglii. Gdy bezrobocie staje się chroniczne, a państwo nie może dostarczyć skutecznej pomocy bezrobotnym, wówczas pracujący robotnik myśli przede wszystkim o tem, by nie stracić pracy; zajmuje pozycję raczej obronna, nie interesuje się losem całej warstwy robotniczej. Składki na związek zawodowy maleją, związki te dbają przede wszystkim o swój majątek, a przez zdobyte przywileje uzależniają się od administracji państwowej. Do współzawodnictwa z prądami politycznymi, opartymi o robotnika, skupionego w związkach zawodowych, występują nowe prądy, przyrzekające bezrobotnym zdobycie pracy. Solidarność proletariatu staje się coraz bardziej fikcyjną. Na tem tle np. w Niemczech występuje słabnięcie socjalnej demokracji z jej potężnym ruchem zawodowym, a wysunięcie się hitleryzmu i komunizmu.

A dzisiaj mało już aktualną jest możliwość powstania

jednolitego ruchu syndykalistycznego, któryby ogarnął całą warstwę robotniczą i stał się bezpośrednim narzędziem przeobrażenia społecznego ustroju.

4. Bardzo wiele usiłowała zrobić dla robotnika polityka socjalna państwa. Zwłaszcza po wojnie upowszechnił się i rozgałęził system ubezpieczeń społecznych. Propaganda jego odbywała się na drodze międzynarodowej. Niektóre państwa, jak np. Francja, zachowały się względem niej dość odpornie, natomiast w innych, jak np. w Polsce, ubezpieczenia społeczne przybrały zakres, nieznanym przed wojną. Dochody instytucji ubezpieczeń społecznych, łącznie z wydatkami państwa na doraźną pomoc dla bezrobotnych wynosiły w r. 1929 — 658 milj. zł., w tem składki — 579 milj. zł. Czyli że składki wynosiły więcej tysięcy, niż jest obecnie zatrudnionych robotników w górnictwie, hutnictwie, przemyśle przetwórczym i na robotach publicznych w warsztatach, zatrudniających ponad 20 robotników. Ponieważ głównie robotnicy zatrudnieni w tych warsztatach są podstawą działalności tych instytucji, łatwo sobie uprzytomnić trudności, gdy się zważy, że na jednego pracującego robotnika przypadałoby dzisiaj nie wiele mniej, niż 1000 zł. wydatku, gdyby dochody zakładów ubezpieczeń miały być utrzymywane na dawnym poziomie.

Toczą się spory o to, czy system ubezpieczeń społecznych w Polsce jest bardziej czy mniej rozległy, aniżeli w innych krajach zachodnio - europejskich. Zwolennicy bardzo wszechstronnych ubezpieczeń dawniej, gdy wydawało się, że one są w rozkwicie i że życie gospodarcze nie odczuwa ich ciężaru, utrzymywali, że Polska przewyższyła inne państwa, że te już muszą nas naśladować. Obecnie udowadnia się, że w niektórych krajach niektóre ubezpieczenia są jeszcze cięższe, jak np. w Niemczech. Zapomina się o tem, jak wielkie redukcje tego systemu przeprowadziły Niemcy w ostatnich czasach, by ulżyć gospodarstwu i finansom.

Te porównania nie mają przekonującej wartości. Robi się je bardzo często, przyjmując za punkt wyjścia, że Polska musi mieć to wszystko, co mają inne kraje, że musi je doścignąć. Zapomina się o ogromnej różnicy zamoż-

ności, organizacji gospodarczej, struktury ludności, zachodzącej między Polską a krajami zachodnimi. Zresztą nie wszystko, co się działo w innych krajach po wojnie, jest godnem naśladownictwa. Spójrzmy na to zagadnienie z naszego stanowiska: jakie owoce przyniósł dotychczasowy system ubezpieczeń społecznych?

To, co dostaje pracownik, nie jest w proporcji do ofiar, nakładanych przez organizację ubezpieczeń społecznych. Stworzyły one olbrzymi aparat, z wielką biurokracją, który, jak każda biurokracja, wiele kosztuje. Koszt ubezpieczeń pokrywa także i to w przeważnej części pracodawca. Nie ma on skłonności do tego, by ten koszt ponieść z własnych dochodów i przerzucić go na konsumenta. Towary drożeją i w ten sposób zmniejsza się wysokość realnych płac robotniczych. Zresztą bardzo często system ubezpieczeń zmusza do płacenia składek także i tych pracowników, którzy z nich nie korzystają, co praktykuje się w organizacji Kas Chorych. Lepiej sytuowany pracownik korzysta z prywatnej opieki lekarskiej, ale musi płacić na Kasę; poprostu stanowi to specjalny podatek, nakładany na pewną grupę uposażeń.

Nie można zresztą porównywać procentowego stosunku, przypadającego z płacy robotniczej na ubezpieczenia społeczne, bez względu na wysokość płac. Jeżeli robotnik zarabia 100 zł. miesięcznie, 10% od tej sumy jest dla niego większym ciężarem, niż 10% dla robotnika w innym kraju, zarabiającego 1000 zł. miesięcznie. Im niższa płaca, tem więcej pochłaniania niezbędne, codzienne utrzymanie, tem trudniej odłożyć coś na przyszłość nawet w tym celu, by bronić się przed takimi nieszczęściami, jak choroba lub niezdolność do pracy. Gdy robotnik jest głodny, gdy niema czem odziać dzieci, gdy mieszka w warunkach, w których grozi mu gruźlica, małą dla niego jest pociechą, że gdy ta gruźlica zniszczy jego organizm, znajdzie się w wspaniałem sanatorjum Kasy Chorych, gdzie będzie miał radio i kwiaty przy łóżku. A czy niema związku między nadmiernie niskim nieraz poziomem płac, a wysokością danin, które spadają na przemysł na rzecz ubezpieczeń społecznych? Ostatecznie nawet i dzisiaj działa współzawodnictwo krajów, które mają tańszy ka-

pitał, wytwórczość już zorganizowaną, które mogą nie dopuścić na swój rynek polskiego towaru.

Pomijamy tu już różne absurdy, do których dochodzi się w praktyce, np. przez obliczanie składek ubezpieczeniowych od pełnych dni roboczych, gdy robotnik pracuje tylko dwa lub półtora dnia w tygodniu. Na Górnym Śląsku dochodzi do tego, że koszt wszelkich ubezpieczeń wynosi w niektórych wypadkach 40% rzeczywiście osiągniętej płacy roboczej. Nie pomoże to wiele na deficyty zakładów ubezpieczeniowych, gdyż zasadniczy błąd tkwi w samej podstawie.

Błędem tym jest oparcie systemu opieki społecznej, zmierzającego do tego, by dać pomoc robotnikowi na wypadek choroby, bezrobocia, inwalidztwa, na idei ubezpieczenia, na pseudo - rachunku ubezpieczeniowym. Można statystycznie przewidzieć, wiele będzie wypadków choroby między robotnikami, wiele będzie nieszczęśliwych wypadków przy pracy. Ale nikt na podstawie żadnej statystyki nie potrafi określić, wielu robotników będzie miało pracę, jak wysoka będzie ich płaca, według czego pobiera się składki na ubezpieczenia. System ubezpieczeń na wypadek bezrobocia funkcjonuje bardzo sprawnie wtedy, gdy jest małe bezrobocie; gdy ono się zwiększy, gdy przybierze charakter chroniczny, to wówczas niema z czego płacić zasiłków, bo omal że więcej jest tych, którzy po zasiłki wyciągają ręce, niż tych, którzy pracują cały tydzień i mogą płacić na dotkniętych bezrobociem pełne składki. Ubezpieczenia te nie są oparte na ścisłej kalkulacji, na ekwiwalencie zapłaconych przez ubezpieczonego składek i świadczeń, które on otrzymuje od zakładu, lecz na idei równości społecznej, w myśl której lepiej sytuowany ma płacić na tego, kto mniej zarabia. Ale z ubezpieczeń może korzystać tylko ten, kto już przez pewien czas pracował. Natomiast ci wszyscy, którzy doszedłszy do wieku zarobkowego, pracy nie uzyskali, zdani są na zwyczajną filantropję. I tu znowu powstaje bardzo wielka nierówność.

Najważniejszą jednak konsekwencją tego wadliwego systemu jest okoliczność, że w dobie długotrwałego przesilenia spada swym ciężarem na budżet państwa. Wte-

dy, gdy dochody skarbu maleją, gdy wysychają źródła podatkowe, państwo musi dopłacać do ubezpieczeń, czego nie przewidywał, przynajmniej w tak znacznym stopniu, budżet państwa w czasach normalnych. Zakłady i instytucje ubezpieczeń mogą przez jakiś czas zjadać swoje rezerwy, potem zadłużać się, aż wreszcie trzeba się uciec do pomocy budżetu państwa. I wtedy oszczędność, którą nawet uda się przeprowadzić we właściwej administracji, nie daje wyniku; trzeba redukować świadczenia socjalne, co oczywiście pogłębia ferment społeczny; albo trzeba na te cele nakładać nowe podatki, którychby się chciało uniknąć.

5. A teraz przypatrzmy się bliżej idei przymusowej oszczędności. W odpowiedzi na zarzut, że ubezpieczenia społeczne powiększają ciężary publiczne, słyszy się, że to nie żaden ciężar, a tylko oszczędność przymusowa, przeprowadzona w interesie tych, na których się nakłada opłaty na rzecz ubezpieczeń.

Państwo występuje w roli dysponenta dochodu społecznego. Zamiast by ubezpieczeni mieli konsumować cały swój dochód, albo go tezauryzować, albo też, w najlepszym razie, odkładać sami swoje oszczędności na czarną godzinę, na wypadek choroby, nieszczęśliwego wypadku, bezrobocia i t. d., państwo ich wyręcza i każe im oszczędzać w określony sposób. Wtedy oszczędność, zdaniem zwolenników tego systemu, staje się planową, zorganizowaną, staje się udziałem także i tych, którym obca jest troska o przyszłość, którzy żyją z dnia na dzień.

Przypuśćmy, że system ubezpieczeń społecznych naprawdę realizuje ideę społecznej oszczędności, choćby w drodze przymusu. W każdym razie ta przymusowa oszczędność jest konkurentem dobrowolnej oszczędności. Ludzie, których ustawa zabezpiecza od nieszczęśliwych wypadków, choroby, starości czy bezrobocia, którzy płacą składki na te cele, mają przez to samo niższą płacę i mniej mogą odkładać. Jeżeli np. obecnie stwierdzamy słabszy przyrost oszczędności, niż przed wojną, to nie można tracić z oczu tej „przymusowej oszczędności”, tych setek milionów, które wchłaniają publiczne instytucje ubezpieczeń.

Jednakże czy człowiek, którego ustawa zmusza do płacenia składek na różne ubezpieczenia, naprawdę oszczędza? Czy ta przymusowa oszczędność ma naprawdę taką wyższość nad oszczędnością dobrowolną, o jakiej piszą zwolennicy przymusu? Wartość kultury człowieka mierzy się do pewnych granic jego zdolnością przewidywania przyszłości i umiejętnością jej zabezpieczenia. Jeden z podróżników opowiada o plemieniu murzyńskim z Antyli, które spędza noce w hamakach; murzyn z tego plemienia gotów jest rano sprzedać swój hamak za bezcen, ale wieczorem, gdy już odczuwa potrzebę snu, nie rozstanie się z hamakiem za żadną cenę. Człowiek naprawdę cywilizowany odczuwa mocno przyszłość, nawet daleką, troszczy się o los przyszłych pokoleń. Im więcej społeczeństwo gromadzi zasobów na przyszłość, tem silniej się rozwija.

Możnaby udowodniać — co prawda z trudem — że przymusowe ubezpieczenia gromadzą więcej zasobów na przyszłość, aniżeli wolne oszczędności. Ale każdą instytucję społeczną trzeba oceniać przede wszystkim według jej wpływu wychowawczego. Otóż przymusowa oszczędność nie uczy oszczędzania, a bodajże od niej oducza. Człowiek, który w drodze przymusu jest zabezpieczony od różnych wydarzeń losowych, który ma prawo korzystania z różnych rent, ten człowiek nie potrzebuje myśleć o przyszłości swojej i rodziny, bo myśli za niego państwo. Może w wyższym stopniu cały swój dochód obracać na bieżące potrzeby, na natychmiastową konsumpcję, gdyż nie odczuwa silnie niepewnej przyszłości. Kto inny o niego się troszczy.

Nie jest to rozumowanie czysto teoretyczne. Już przed wojną niektórzy pisarze, jak np. w Niemczech L. Bernhard, zwracali uwagę na szkodliwe skutki upowszechnienia się „ducha renty”, który wywołuje zanik przedsiębiorczości, osłabia indywidualne wysiłki i oswaja ogół z przekonaniem, że państwo lub gmina ma dać zasiłek i pomoc w każdym wypadku. Uspokojenie to spotęgowało się w niektórych krajach po wojnie. Różne niebezpieczeństwa życiowe stanowią bodziec energiczniejszych wysiłków gospodarczych, uczą człowieka odkładać na czarną go-

dzinę, uczą go myśleć więcej o przyszłości. Wszechstronna opieka społeczna ułatwia życie masom, ale uczy je równocześnie żyć tylko chwilą bieżącą. Gdyby człowiek był pewny, że bez względu na to, co się stanie, los jego dzieci będzie zabezpieczony, mniej dbałby o dzieci; gdyby państwo lub gmina udostępniło każdemu odpowiednie mieszkanie, wielu ludzi nie dokonywałoby ogromnych wysiłków, by mieć własny dach nad głową. Na takim tle może powstać nastrój, że wszystkiego można się domagać od państwa, że ono powinno być wszechopiekunem; nastrój bardzo niebezpieczny, gdyż nigdy państwo tych nadziei nie spełni.

Rozumowanie to nie prowadzi bynajmniej do zupełnej negacji systemu przymusowych ubezpieczeń. Ale wskazuje na potrzebę sprowadzenia go do właściwej miary. Przymus ma rację tam, gdzie zapobiegliwość jednostek zupełnie zawodzi, gdzie państwo musi wystąpić w roli opiekuńczej. Równocześnie należałoby rozważyć, czy nie uda się połączyć przymusu ubezpieczeniowego z osobistem zainteresowaniem ubezpieczonych, czy w pewnych granicach nie uda się wprowadzić kapitalizacji składek na własny rachunek ubezpieczonego. A w każdym razie nie można przymusowej oszczędności traktować jako systemu, który może skutecznie usunąć oszczędność na własny rachunek, trzeba się liczyć z pośrednimi skutkami przymusu, który nie wywiera najlepszych skutków wychowawczych.

Reformę systemu ubezpieczeń społecznych narzucają z żelazną siłą względy finansowe. Zbyt silnie zaczynają te ubezpieczenia ciążyć na budżetach publicznych. I dlatego też warto ten system poddać gruntownej rewizji, nie pomijając jego głębszych, choć pośrednich skutków.

6. Zadajmy sobie następujące pytanie: czy cała działalność związków zawodowych robotniczych ich nieskrepowany niczem rozwój, a z drugiej wszechstronne i sięgające głęboko ustawodawstwo socjalne przyniosło istotną poprawę bytu ludności robotniczej?

Uczucie melancholji musi ogarnąć, gdy się śledzi uboczne, zwykle nieprzewidziane skutki różnych ustaw, różnych reform, które mimo wielkiego kosztu, często zawo-

dzą. Można ubezpieczyć robotnika od wszelkich możliwych przypadków; można ustawą oznaczyć minimum płacy, kazać pobudować żłobki dla niemowląt, łącznie, mieszkania robotnicze i t. d. Ale żadna ustawa nie zmusi przedsiębiorców, by pracowali wówczas, gdy produkcja się nie opłaca; żadna ustawa nie zapobiegnie bezrobociu, gdy nie usunie się ekonomicznych jego przyczyn. Ustawa może wielu rzeczy zakazać, czasami z wątpliwym zresztą skutkiem; ale bardzo niewiele, w zakresie gospodarczym, może nakazać.

Statystyka stanu zatrudnienia w przemyśle, zatrudniającym ponad 20 robotników, daje wyniki następujące: (górnictwo, hutnictwo, przemysł przetwórczy, warsztaty kolej., zakłady elektryczne i roboty publiczne).

Koniec sierpnia	Ilość zatrud. (razem z częśc. zatrudn.) w tysiącach
1925	666
1926	673
1927	828
1928	915
1929	896
1930	793
1931	671
1932	573

Rocznie przybywa w Polsce nowych kilkadziesiąt tysięcy rąk roboczych, poszukujących pracy w przemyśle. Emigracja nie usunęła nadmiaru tych rąk, zwłaszcza w ostatnich latach, gdy wzrasta emigracja powrotna. Bezrobocie w Polsce może wzrastać, choćby nie zmniejszał się stan zatrudnienia w przemyśle. Czy jednak naprawdę ci wszyscy, którzy stracili pracę w przemyśle, albo jej nie mogli znaleźć, są bezrobotnymi, czy oni nie mają żadnego zajęcia, żadnego zarobku?

Tak źle nie jest. Wielu bezrobotnych zajmuje się handlem ulicznym czy domokrażnym. A zaś wielkie masy ludzi pracują w chałupnictwie, które wzrasta. Niema statystyki, któraby podawała jego rozmiary. Wiemy, że na

rynku zjawia się coraz więcej produktów pracy chałupniczej. Krawiectwo, szewstwo chałupnicze, w niektórych okolicach kraju rozrasta się, mimo kryzysu. Szereg średnich warsztatów rzemieślniczych przeszedł na chałupnictwo, ilość pracowników spadła w nich z paru dziesiątków na parę osób, a główną robotę wydaje się „na miasto”.

Kierownik warsztatu, zapytany, dlaczego się tak dzieje — odpowiada: nie mogłem wytrzymać ciężaru opłat na Kasę Chorych, na zakład ubezpieczeń od wypadków, różne podatki wymierzano mi dowolnie od ilości pracowników, wobec tego wolałem zredukować warsztat. Wielki przemysł w Łodzi skarży się na to, że robią mu konkurencję pokątni fabrykanci, którzy ani nie płacą składek na Kasę Chorych, ani nie dają urlopów swoim pracownikom, ani też podatek w nich nie trafia. Kupcy narzekają na handel pokątny. Słowem, powstaje podziemny niejako przemysł i handel, podobnie jak powstał podziemny kredyt.

Co się dzieje w chałupnictwie, o tem nie wie inspektor pracy, bo nie potrafi tam dotrzeć. Od czasu do czasu jakaś wystawa chałupnictwa poinformuje, że chałupnicy pracują po 16 godzin na dobę; że na godzinę zarabiają drobne grosze; że są oni przedmiotem strasznego wyzysku ze strony przedsiębiorców, z reguły żydów. Niema tam ubezpieczeń, kas chorych, urlopów, zasiłków na wypadek bezrobocia. I jeżeli system opieki społecznej sprzyja rozwojowi tych niewątpliwie niższych form produkcji, to osiąga skutki wręcz przeciwne od zamierzonych. Kurczy się przemysł fabryczny, który można poddać jakiemuś nadzorowi, którego robotników można było otoczyć jakąś opieką; kurczy się między innymi dlatego, że tej opieki było za dużo, że cały ten system wprowadzono gorączkowo, z pośpiechem stosowano wszystkie najnowsze pomysły i urządzenia. System ubezpieczeń społecznych miał usunąć niepewność z życia robotnika; nie zdołał zabezpieczyć go od największej klęski, braku pracy, a wychował i upowszechnił niższe formy życia gospodarczego.

7. System ubezpieczeń społecznych powstał w XIX

w. w epoce wielkiej pomyślności, ogromnych postępów kapitalizmu. Było rzeczą słuszną, że państwo ograniczyło ten kapitalizm, że zabrało część jego zysków, nakładając pewne ciężary na produkcję, by poprawić rozdział bogactwa. Niewątpliwie swojej polityce socjalnej zawdzięczają Niemcy fakt, że robotnik niemiecki został związany ściśle z losami narodu i państwa niemieckiego, że ruch robotniczy niemiecki w czasie wielkiej wojny nie okazał się ruchem międzynarodowym, obojętnym na losy narodu. Ale po wojnie, gdy minęła dawna pomyślność, gdy przez lat kilka istniały tylko jej pozory, cały ten system nabrał ogromnego rozpędu. Zwłaszcza w krajach, w których na pierwszy plan powinno się było wysunąć zagadnienie przyrostu kapitału, urządzenia całego gospodarstwa narodowego, czyli w krajach ubogich w kapitał, gdzie wszelkie próby szybkiego przeprowadzenia przemian w rozdziale dochodu społecznego obracają się w próżni, gdyż niema czego dzielić.

Jeżeli się nie neguje potrzeby przymusu ubezpieczeniowego, nie można odrzucać a limine dawniejszych jeszcze pierwiastków ustawodawstwa społecznego, jak nadzoru nad pracą po fabrykach, ograniczeń pracy kobiet i dzieci, kontroli hygienicznych warunków, w których odbywa się praca i t. d. Jednakże te wszystkie środki natury represyjnej niewiele pomagają; w każdym razie nie usuwają bezrobocia. Granice ustawodawstwa socjalnego, jego mocy, określone są przez warunki ekonomiczne.

Nie można jednak patrzeć na robotnika, na jego pracę, jako na towar, który trzeba produkować po najniższej cenie, i która to cena oznaczona jest przez prawa ekonomiczne, nie dające się naruszyć. Warstwa robotnicza jest równouprawniona z innymi uczestnikami gospodarstwa narodowego. Jej losy nie są obojętne dla losów narodu. Choćby z tego punktu widzenia, że robotnik jest także żołnierzem, jego wytrzymałość fizyczna i stan moralny może mieć duży wpływ na losy wojny. Niezależnie od tego musi zależeć państwu na utrzymaniu pokoju społecznego; na tem, by nie zaostrzały się antagonizmy społeczne.

Wszystko to, co przyczynia się do złagodzenia ostrych przejść między różnymi warstwami społecznymi, co wno-

si pierwiastek równowagi w ich spóżyście, wychodzi na korzyść gospodarstwu narodowemu. O ile więc uda się przeprowadzić system wynagrodzenia robotników, który wiąże ich ściślej z przedsiębiorstwem, będzie to zjawiskiem pożądanem. Stowarzyszenia wytwórcze mają dość ograniczony zakres, ale są dziedziny, w których i one mogą się udać. Czynny udział robotników w ruchu spółdzielczym podnosi ich ekonomicznie i kulturalnie. Można tak przeobrazić system ubezpieczeń społecznych, by wprowadzić do nich pierwiastek indywidualnej oszczędności. A bodaj że w naszych warunkach najważniejszą, a zarazem najbardziej aktualną jest demokrytyzacja własności wśród ludności robotniczej.

Robotnik nasz jest z pochodzenia chłopem. Robotnikiem fabrycznym jest przeważnie w pierwszym lub drugim pokoleniu. Nie stracił jeszcze związku ze wsią — to znaczy z ziemią, własnym domem, ogrodem. Wielu robotników fabrycznych równocześnie pracuje po fabrykach i uprawia własny kawałek ziemi. Ta strona życia naszej ludności robotniczej ma bardzo duże, dodatnie znaczenie. Pozwala łatwiej przetrwać ciężkie czasy. Okazało się w czasie wojny, że gdy zamaryły fabryki w olbrzymim łódzkim środowisku, było to klęską, ale nie wywołało katastrofy społecznej. Bardzo wielu robotników odpłynęło z powrotem na wieś; wrócili wtedy, gdy znów zadymiły kominy fabryczne. I dzisiaj brak pracy łatwiej znosi ten, kto ma własny dach nad głową. Choć cierpi nędzę na paru morgach gruntu, bezrobocie nie wywołuje u niego takiej demoralizacji, jak u bezrobotnego w krajach zachodnich, który mieszka w czynszowym domu, który niema nic na własność, choćby dostawał od państwa lub gminy nawet względnie wysokie zasiłki.

Niektórzy pisarze amerykańscy, jak cytowany już w poprzedniej pracy autora Th. N. Carver, mniemali, że zagadnienie społeczne jest rozwiązane przez to, iż robotnicy stali się właścicielami wielu akcji i udziałów w przedsiębiorstwach. Istotnie robotnik w Stanach Zjednoczonych brał udział w spekulacjach giełdowych i na nich stracił. Ale pominąwszy te straty, inne znaczenie ma fakt, że robotnik ma pakiet akcji Bethlehem Steel Compa-

ny lub innego olbrzymiego przedsiębiorstwa, na którego losy nie wywiera wpływu, niż gdy jest właścicielem w bardziej konkretnej postaci, gdy ma domek własny i kawałek ogrodu. Przywiązanie do tej formy własności jest u nas ogromne. Na tej drodze może się rozwinąć najlepiej zmysł oszczędnościowy, wydobyć można z człowieka ogromne wysiłki. Przecież nawet dzisiaj, gdy jest powszechny zastój, nie daje się tak mocno odczuć w tej dziedzinie; mali ludzie budują małe domy. Jest zadaniem polityki państwowej ten pęd rozwinąć, poprzeć go przez odpowiednie ustawodawstwo. Także i na przedsiębiorcach ciąży w tej dziedzinie pewne obowiązki.

Antagonizm między wielkim przedsiębiorcą a robotnikiem może być złagodzony różnymi sposobami. Jednakże sam fakt rozdziału kapitału i pracy między odrębne warstwy społeczne jest ciągle źródłem niezadowoleń i wrzenia. Gdyby doszło do tego, że z jednej strony będzie nieliczna grupa przedsiębiorców - kapitalistów, a z drugiej miliony robotników, żyjących tylko z pracy najemnej, konflikt byłby nieunikniony. I dlatego nie mamy powodu narzekać na to, że u nas nie jest najliczniejszą warstwą proletariatu fabryczny; ani że nadmierna koncentracja produkcji i własności została zatamowana. Z punktu widzenia równowagi społecznej najcenniejszymi są warstwy średnie, łączące w sobie kapitał i pracę. Zwłaszcza w Polsce doniosłym jest rozwój tych warstw, nie tylko z powodów społecznych, lecz i narodowych.

ROZDZIAŁ IX.

STRUKTURA SPOŁECZNA POLSKI; WARSTWA ŚREDNIA.

1. Przyjrzyjmy się strukturze społecznej Polski. Spis ludności z r. 1921 nie daje wiadomości, dostatecznie pewnych, gdyż przy spisie traktowano dość dowolnie zajęcia główne i poboczne, były zresztą wielkie braki w samej technice spisowej. Uzupełniają te dane inne obliczenia, jak np. wyniki wymiaru i poboru podatków. Oto najważniejsze cyfry.

W r. 1928 było opodatkowanych podatkiem grunтовым 4.804.725 gospodarstw, z czego 3.369.236 mających niżej 5 ha. Cyfra ta jest za wysoka, o ile chodzi o rzeczywistą ilość gospodarstw rolnych. Gdybyśmy przyjęli 6 osób na jedno gospodarstwo, co w stosunkach wiejskich nie jest przesadne, wypadłoby, że z rolnictwa żyje... prawie 29 milj. ludności, co oczywiście nie jest zgodne z rzeczywistością. Statystyka skarbową między „gospodarstwa” liczy także i parcele pod miejskimi budowlami, ogrody, place budowlane; a i na wsi podstawą tej statystyki w niektórych dzielnicach Polski jest parcela, których kilka może się czasem składać na jedno gospodarstwo. Według spisu ludności z r. 1921 zawodowo czynni w rolnictwie stanowią 72.3%, i ta cyfra mniej więcej odpowiada rzeczywistości. Spis ten podawał cyfrę gospodarstw rolnych na 3.262 tys. (nie objął jednak Górnego Śląska i Wileńszczyzny). Z tego 1.109 tys. gospodarstw miało do 2 ha., a 1.002.000 od 2—5 ha. A więc olbrzymia większość go-

spodarstw rolnych ma mniej, niż starczy w normalnych warunkach na samodzielne utrzymanie rodziny. Sporo drobnych gospodarzy musi dorabiać w inny sposób na swoje życie.

W latach 1919 — 1931 utworzono, przez parcelację, 519.900 kolonij, rozdysponowano na cele parcelacyjne 2027.6 tys. ha. Samodzielnych kolonij utworzono 113.4 tys., na co poszło 1071.7 tys. ha. Proces ten przybrał bardzo wielkie rozmiary. W ostatnim czasie jednak osłabł, w związku z przesileniem gospodarczem. Np. w r. 1930 utworzono nowych kolonij 49.5 tys., obszar rozdysponowanej ziemi wynosi 131.6 tys. ha; a zaś w r. 1931 powstało 36.5 tys. kolonij z obszarem 105.2 tys. ha.

Jednakże ten proces parcelacji większych majątków będzie trwał nadal, mimo przeszkód. Z jednej strony rośnie na wsi ludność rolnicza, głodu ziemi u chłopów nie osłabiła rentowność rolnictwa, bo ten głód ma podłoże psychiczne, nie jest wywołany gospodarczą kalkulacją. Z drugiej strony wiele folwarków nie będzie mogło pozostać w rękach dotychczasowych właścicieli; gospodarstwa folwarczne, nawet znajdujące się w lepszych warunkach, będą się musiały ratować przez parcelację części swego obszaru. W tej chwili podaż ziemi jest bardzo duża, brak jednak na nią nabywców.

Podobnie, jak wiele innych zagadnień, także i zagadnienie reformy rolnej zmieniło swoją postać. Przez szereg lat ciążyło nad naszym życiem wewnętrznym, przybrało postać ostrej walki społecznej. Łudzono się, że wiele uda się zrobić przez ustawodawstwo, przez pomoc państwową. Nadzieje te zawiodły. Parcelacja szła na przód niezależnie od ustawodawstwa rolnego. Ale tworzenie nowych samodzielnych gospodarstw, osadzanie służby folwarcznej na rozparcelowanych folwarkach, natrafiło na przeszkodę w postaci braku kapitału. Ustawodawstwo rolne utrudniało raczej parcelację sąsiedzką. Dzisiaj położenie finansowe większej własności rolnej skłaniać musi do rozluźnienia tych utrudnień. Jeżeli jednak chce się zapobiec tak zw. dzikiej parcelacji, nie można tworzyć gospodarstw, pozbawionych finansowej podstawy. Nie wszystko da się zrobić na kredyt ze źródeł

publicznych, zwłaszcza że ten kredyt musi być drogi. Najważniejszym motorem ruchu parcelacyjnego stać się może wzrost kapitalizacji. Chłop jest najlepszym dłużnikiem, najbardziej wypłacalnym w normalnych warunkach. Gdy jednak zasila się go sztucznym kredytem, to jak wiemy, znika i jego wypłacalność. Ruch parcelacyjny wtedy przybierze większe rozmiary, gdy obniży się stopa procentowa i zjawi się naprawdę kredyt długoterminowy.

Ale ta ziemia folwarczna, która zresztą nie może przejść w całości w ręce drobnych i średnich gospodarstw, nie wystarczy na potrzeby ludności wiejskiej, nie rozwiąże problemu nadmiaru rąk roboczych. Zbyt znaczny jest przyrost naturalny ludności, by to zagadnienie mogło być rozwiązane wyłącznie przez podział ziemi. Przeciwnie, jeżeli się chce stworzyć zdrowe gospodarstwa chłopskie, należałoby raczej przeciwdziałać nadmiernemu ich podziałowi, przechodzeniu średnich gospodarstw chłopskich do kategorii karłowatych. W niektórych okolicach kraju bardziej racjonalnem jest uzupełnianie drobnych gospodarstw ziemią, aniżeli tworzenie nowych, samodzielnych gospodarstw; a to ostatnie zresztą łączy się z bezporównania większymi kosztami.

Ziemi w Polsce jest mało. Można jej obszar powiększyć przez wielkie roboty meljoracyjne, przez zamianę nieużytków na grunta uprawne i t. d. Ale ta akcja znowu zależy od tempa przrostu kapitału w Polsce, gdyż wymaga wielkich nakładów. Z budżetu państwowego uzyska się niewiele. Dzisiejsza stopa procentowa nie pozwala na to, by gospodarstwa, powstałe na tej drodze, przez wielkie prace meljoracyjne, mogły się opłacać. W związku z tem niepodobna oczekiwać w najbliższych latach znacznego „przyrostu ziemi”, nadającej się pod uprawę.

Akcja osadnicza będzie się przeważnie rozwijała na gruntach, już pod uprawę zajętych, to zn. na gruntach, które dzisiaj należą do wielkiej własności. Wskazywaliśmy na to, że Polska ma stosunkowo gęstą ludność rolniczą. Ale różnice między poszczególnymi dzielnicami Polski są bardzo znaczne i naturalny proces kolonizacyjny musi doprowadzić do wyrównania tych różnic.

Według spisu ludności z 9.XII. 1931 r. mieszka na wsi

23.255.179 osób. Otóż porównajmy ludność wiejską w poszczególnych województwach z ilością użytków rolnych, przyczem bierzemy pod uwagę tylko grunta orne, łąki, pastwiska, ogrody i sady, a pomijamy lasy i inne grunta. Podstawą są cyfry z r. 1931, przyczem podajemy tylko wynik końcowy: ile ha ziemi, wyżej wymienionej, przypada na 1 głowę ludności wiejskiej. Pomijamy w poniższym zestawieniu województwo śląskie, gdzie wiele gmin wiejskich ma ludność przeważnie robotniczą.

Województwa	Na 1 głowę ludności wiejsk. ha.	Województwa	Na 1 głowę ludności wiejsk. ha.
Poleskie	1.93	Lubelskie	1.08
Wileńskie	1.73	Tarnopolskie	0.94
Białostockie	1.60	Łódzkie	0.91
Poznańskie	1.54	Stanisławowskie	0.85
Nowogrodzkie	1.46	Lwowskie	0.83
Pomorskie	1.42	Kieleckie	0.79
Wołyńskie	1.20	Krakowskie	0.70
Warszawskie	1.15		

Cała Polska (ze Śląskiem) 1.09 ha.

Różnice między poszczególnymi województwami są bardzo wielkie, wynoszą więcej, niż 100%. Rzecz jasna, że np. w województwie kieleckim sporo ludności wiejskiej pracuje po fabrykach, podobnie jest częściowo i w łódzkim. Ale takie województwo krakowskie ma, z wyjątkiem parę powiatów zachodnio - północnych, charakter rolniczy. Ludność dusi się po wsiach. Nic nie może jej powstrzymać od tego, by nie poszła na wschód, gdzie ziemi jest więcej. Oczywiście, że nie dojdzie do zupełnego wyrównania. Struktura gospodarstw rolnych w Poznańskim, na Pomorzu, na Kujawach, gdzie jest sporo średnich gospodarstw, które wykazują żywotność, nie sprzyja zbyt silnemu dopływowi z innych dzielnic. Kolonizacja Wileńszczyzny jest utrudniona z powodu warunków klimatycznych i trudności zbytu, podobnie jest

zresztą i na Pomorzu. Niemniej jednak wewnętrzna kolonizacja ma swoje naturalne uzasadnienie w stanie zaludnienia różnych dzielnic Polski, nie może wyrażać się tylko w parcelacji sąsiedzkiej i osadzaniu służby na folwarkach, na których ona pracowała.

Niewątpliwie wzrost intensywności kultury rolnej może z punktu widzenia ekonomicznego powiększyć wydajność gospodarstw rolnych. Ale wzrost produkcji niekoniecznie oznacza wzrost ilości zatrudnionych osób. Często kosztem zatrudnienia można uzyskać ten wzrost produkcji. A zresztą światowa konjunktura rolnictwa, a u nas brak kapitałów, nie pozwala w tej dziedzinie patrzeć różowo w przyszłość.

2. Bez względu na to, jak się zmieni struktura rolnictwa i jego technika, pozostaje faktem, że rolnictwo nie może zatrudnić całej ludności wiejskiej. Jej nadmiar znajdował, w niektórych dzielnicach, ujście w emigracji, sezonowej i osadniczej. Dzisiaj nie daje to ulgi. W r. 1928 wychodźstwo z Polski, po potrąceniu powrotu wychodźców, wynosiło 67.5 tysiąca; w r. 1929 — 138.9 tys.; — w r. 1930 — 117.3 tys. Ale w r. 1931 powrót wychodźców stanowił o 11.6 tysiąca więcej od wychodźstwa, a zaś w pierwszych 8 miesiącach 1932 r. powróciło o 13.7 tysiąca więcej, niż wyemigrowało z Polski. Zresztą znaczny procent emigrantów z Polski stanowią robotnicy fabryczni (emigracja ze Śląska do Francji), a także i żydzi, przeważnie zamieszkali po miastach.

Niektórzy pisarze przewidują, że poczynszy od r. 1935 do 1940 r. będzie w zachodnich krajach europejskich duże zapotrzebowanie rąk roboczych. Albowiem wtedy dojdą do wieku zarobkowego roczniki, urodzone w czasie wielkiej wojny, w niektórych krajach jak w Niemczech, daleko mniej liczne od normalnych. Być może, że wtedy rozluźnią się ograniczenia immigracyjne. Ale nie dotyczy to Stanów Zjednoczonych Am. Półn., terenu, najdogodniejszego dla naszej emigracji. Nie otworzą swoich granic naszemu wychodźstwu Niemcy i Anglia, które mają ogromne bezrobocie. Pozostawałaby tylko Francja, gdzie zapotrzebowanie w rolnictwie jest mocno ograniczone ze względu na strukturę rolną tego kraju. A zresztą racjo-

nalizacja, przeprowadzona w przemyśle wielu krajów zachodnich, ogranicza popyt za siłą roboczą, niepodobna więc wiele liczyć na tę przejściową konjunkturę.

Państwo polskie powinno prowadzić politykę emigracyjną, a nie robić kompromitujących eksperymentów w rodzaju osadnictwa w Peru. Nie zapominajmy jednak o tem, że dzisiaj zamorska emigracja, zwłaszcza osadnicza, wymaga znacznego odpływu kapitału i pogarsza bilans płatniczy. I ten czynnik będzie hamował rozrost emigracji.

Gdzież więc znajdzie zajęcie zbywająca ludność wiejska? W Królestwie Kongresowem, częściowo w innych dzielnicach Polski, przed wojną szła do fabryk. Tymczasem w najbliższych latach nie wchłonie zdaje się wiele przemysł fabryczny. Widzieliśmy, że zatrudnienie w przemyśle fabrycznym wykazuje raczej tendencję zniżkową. Niewątpliwie, jeżeli warunki się poprawią, będą powstawały nowe zakłady fabryczne, może nie tyle w dzisiejszych, przeludnionych centrach górniczo-przemysłowych, ile w okolicach, gdzie robotnik jest wyjątkowo tani. Ale znowu brak kapitału nie pozwoli na szybki rozwój tych inwestycji.

3. Pewną ulgę rolnictwu może przynieść rozwój przemysłu domowego na wsi. Bezrobocie na wsi jest dzisiaj tak wielkie, że trudno sobie wyobrazić, by nie było podniętą do powstawania tego przemysłu, jako ubocznego zajęcia ludności wiejskiej. tem bardziej, że ten przemysł nie wymaga wielkich kapitałów. Przemysł domowy był rozwinięty sto lat temu w różnych stronach Polski, przed epoką kolei żelaznych. Wielkie połączenie były odcięte od świata i na miejscu zaspakajały swoje własne potrzeby. Potem przyszła fabryka i stopniowo likwidowała ten przemysł. Dzisiaj są znaki wskazujące, że się odradza, że nabiera nowego znaczenia. Poprostu bieda na wsi powołuje go do życia. Pozostaje to w związku z powrotem do gospodarstwa naturalnego, z małą siłą nabywczą ludności wiejskiej. Może to jest ruch wsteczny, cofanie się w przeszłość. Ale z tym objawem trzeba się liczyć. A nawet trzeba świadomie popierać rozwój przemysłu ludowego.

Z funduszy publicznych znajdują się dziesiątki miljo-

nów na podtrzymanie wielkich zakładów fabrycznych, a potem Bank Gosp. Krajowego nie może ujrzeć z powrotem pożyczonych pieniędzy. A pomoc, udzielona przemysłowi ludowemu, bodaj czy nawet idzie w setki tysięcy. Nie chodzi tu o sztuczną pomoc kredytową, o tworzenie za pieniądze publiczne różnych spółdzielni, które mając ten grzech pierworodny (kredytu państwowego), nie żyją długo. Ale zadaniem państwa i samorządu, względnie organizacji społecznych, jest rozwinąć w tej dziedzinie działalność wychowawczą i instrukcyjną. Obiektywne warunki powstawania ognisk przemysłu ludowego niewątpliwie istnieją. Co stoi na przeszkodzie?

Nie mamy dokładnych badań nad stanem przemysłu ludowego i jego możliwościami. Ale niewątpliwie można odnieść i do innych części kraju to, co pisze o przemysle ludowym w powiecie ostrołęckim znawca tego przedmiotu, p. J. Garczarczyk: „Zainteresowanie się ludności wiejskiej sprawą przemysłu ludowego jest duże, natomiast brak jest dla tej sprawy należytego zrozumienia. Odczuwać się daje brak organizacji wśród wytwórców przemysłu ludowego we wszystkich dziedzinach tego przemysłu. Każdy wytwórca przemysłu ludowego wykonuje pracę na własny rachunek, sam zdobywa surowiec i sam sprzedaje, po zaspokojeniu własnych potrzeb, nadwyżkę wyprodukowanego przez siebie towaru przeważnie żydom — kupcom miejscowym. Ciemnota, nieufność wzajemna, brak organizacji, i co podkreślić trzeba, bieda, a stąd brak niezbędnych funduszy na prowadzenie zbiorowej wytwórczości, przyczynia się do tego, że wytwórcy przemysłu ludowego pomimo ich przedsiębiorczości i nieczem niezmordowanej pracy otrzymują małe zarobki”¹⁾.

W związku z upadkiem siły nabywczej ludności wiejskiej, jej przeludnieniem, można zaobserwować w różnych okolicach kraju, że wieś się w pewnym znaczeniu uprzemysławia. Powstaje na niej coraz więcej chłopów-rzemieślników, na których patrzy z niechęcią, jako na fuszserów, zwyczajny rzemieślnik z miasteczka. Także chło-

¹⁾ Przemysł ludowy, jego stan i potrzeby w powiecie ostrołęckim. Warszawa — 1928 r., str. 39.

pi coraz więcej uczą się wykonywania różnych robót rzemieślniczych na własne potrzeby. Można w tem widzieć objaw pewnej samopomocy, ale z drugiej strony pogarsza to położenie właściwego rzemiosła.

Bieda na wsi uczy obywateli się bez usług małomiasteczkowego rzemieślnika, a zarazem pogarsza położenie gospodarzy miasteczka, które ma za wsią mniej żywe stosunki wymienne. Na tem tle też powstaje po wsiach coraz więcej sklepów.

4. Stosunkowo mało zajmowano się u nas rzemiosłem, jego położeniem, zadaniami państwa w tej dziedzinie. Nie był to temat modny. Ustawodawstwo społeczne usiłowało przenieść swoje zasadnicze pojęcia, wykształcone na tle rozwoju przemysłu fabrycznego, w dziedzinę stosunków rzemieślniczych, nie uwzględniając dostatecznie ich odrębności. Szkolnictwo zawodowe nie zrobiło jeszcze wiele dla podniesienia poziomu rzemiosła. Działalność rządu austriackiego przed wojną, zresztą dość skromna, w zakresie organizacji rzemiosła, wydawała większe owoce, niż dzisiejsza opieka państwa, które tej opieki zresztą nie odmawia nikomu.

Nie wiemy nawet dokładnie, wielu jest rzemieślników. W związku z utworzeniem Izby Rzemieślniczych przeprowadzono ich rejestrację. W r. 1930 wydano kart rzemieślniczych 239.725, a w r. 1931 — 279.875. Nie wynika z tego, że faktyczna ilość samodzielnych rzemieślników wzrosła w tym stosunku. Statystyka z r. 1931 jest kompletniejsza, ale i ona wykazuje pewne luki. Biorąc za podstawę r. 1931, mamy następujący rozkład tej ilości na poszczególne grupy województw:

	Woj. centr.	Woj. wsch.	Woj. zach.	Woj. połudn.
Ilość kart rzemieślniczych	143.702	40.012	52.941	43.230
W stosunku do ogółu ludności	1.07%	0.72%	1.17%	0.50%

Podejrzana wydaje się cyfra kart rzemieślniczych, wydanych w województwach południowych. Trudno przypuścić, by w dawnej Galicji było mniej rzemieślników w sto-

sunku do ogółu ludności, aniżeli na ziemiach wschodnich. W każdym razie możemy stwierdzić bardzo ciekawy ob-
jaw: rzemieślników jest stosunkowo więcej na tych zie-
miach, na których najbardziej rozwiniętym jest wielki
przemysł: województwach zachodnich (Śląsk) i wojewódz-
twach centralnych. By sprawdzić to przypuszczenie, weź-
my pod uwagę ilość wykupionych świadectw przemysło-
wych VIII kategorii. W tym wypadku uwzględnimy już
podział na okręgi według Izb skarbowych, przyczem
Lwów obejmuje 3 województwa: (lwowskie, stanisławow-
skie i tarnopolskie). Razem w tem zestawieniu zliczone
są świadectwa roczne i półroczne.

Otrzymujemy wyniki następujące za r. 1930:

Izba Skarbowa	Ilość świadectw przem. VIII kat.	Na tysiąc mieszk. bez wojska
Warszawa Grodzka	11.209	9.5
Warszawa Okręg.	8.473	3.3
Łódzka	13.113	4.9
Kielecka	9.619	3.2
Lubelska	8.194	3.3
Białostocka	6.782	4.1
Wileńska	3.825	3.0
Nowogrodzka	3.377	3.2
Poleska	3.479	3.0
Wołyńska	6.287	3.0
Poznańska	14.457	6.8
Pomorska	6.244	5.7
Śląski Urz. Woj.	7.617	5.9
Krakowska	10.246	4.4
Lwowska I i II	20.688	3.3
Ogółem	133.610	4.16

Na pierwszym miejscu jest oczywiście Warszawa,
jako czysto miejski okręg skarbowy. Wyżej przeciętnej
dla całej Polski wykupiono świadectw przemysłowych
w trzech województwach zachodnich, w których warszta-
tów rzemieślniczych jest prawie dwa razy tyle, w stosun-
ku do ogółu ludności, niż na ziemiach wschodnich, połu-
dniowo - wschodnich i większości województw central-

nych o charakterze rolniczym. Stosunkowo dużo tych warsztatów jest w wysoce uprzemysłowionem województwie łódzkim, sporo jest także i w białostockim, gdzie nie bez znaczenia jest okręg przemysłowy białostocki. Najmniejsze nasycenie rzemiosłem wykazują ziemie wschodnie.

Z tego wniosek, że rzemiosło nie gnieździ się przeważnie daleko od centrów przemysłowych, względnie w dzielnicach o najniższej kulturze gospodarczej, lecz przeciwnie tam, gdzie jest najwięcej wielkiego przemysłu, lub gdzie skala życia ludności jest najwyższa, tam jest najwięcej rzemiosła. A więc w miarę postępów kultury przemysłowej i kultury ogólnej ludności rzemiosło nie będzie zanikało, a przeciwnie, rozszerzy swój zakres. Więcej ma do roboty rzemieślnik w sąsiedztwie kominów fabrycznych Śląska czy Łodzi, niż tam, gdzie chłop chodzi w łapciach i odziewa się samodziałem.

Rzemiosło jest produktem rozwoju życia miejskiego. Ziemie zachodnie, gdzie jest dużo miast i miasteczek, mają najwięcej rzemiosła. Dzisiaj mają go za dużo, ze względu na depresję gospodarczą. I będzie rzeczą zupełnie naturalną, jeżeli rzemieślnik poznański i pomorski pójdzie na wschód, jeżeli będzie się osiedlał po miasteczkach, położonych na wschód od Wisły, gdzie brak jest polskiego, kwalifikowanego rzemieślnika. Nietylko wewnętrzna kolonizacja rolna ma swoje uzasadnienie; równie doniosłą jest i kolonizacja miejska. Wymaga ona planowej akcji, wymaga poparcia społeczeństwa. Ma jednak istotne warunki rozwoju.

Przypatrmy się teraz, z jakich grup zawodowych składa się nasze rzemiosło, biorąc za podstawę statystykę wydanych kart rzemieślniczych. Otóż w r. 1931 na 279.875 kart rzemieślniczych przypada najwięcej na szewstwo, bo 58.400; drugie miejsce zajmuje krawiectwo (43.488); trzecie stolarstwo (31.158); czwarte kowalstwo (24.149). Na przemysł spożywczy przypada 46.915 kart, z tego rzeźnictwo 22.357, a piekarstwo 15.825. Słabo przedstawia się w tej statystyce grupa budowlana z 20.772 kartami, z czego większość 11.167 przypada na mularstwo. W miarę rozwoju kultury będzie wzrastała

grupa usług osobistych, jak fotografia, fryzjerstwo i golarstwo, w której to grupie wydano wszystkiego 11.089 kart. Zwraca uwagę, że niektóre przemysły są bardzo słabo obsadzone; np. w koszykarstwie wydano tylko 621 kart, w cukiernictwie 2.288, w rękawicznictwie 215, w rzeźbiarstwie 464.

Spróbujmy te dane uzupełnić przez dokładniejszą analizę innych cyfr. Nie rozporządzamy tak dokładną statystyką, jak statystyka stanu zatrudnienia w przemyśle fabrycznym, zatrudniającym wyżej 20 robotników. Musimy posługiwać się obliczeniami ilości świadectw przemysłowych w poszczególnych latach. Na tej podstawie wiemy, wiele jest przedsiębiorstw przemysłowych, ale nie wiemy, wielu one zatrudniają pracowników.

Do kategorii VIII świadectw przemysłowych, która odpowiada w przybliżeniu rzemiosłu, należą różne małe przedsiębiorstwa, zatrudniające ponad 1 do 4 robotników, licząc w tem właściciela i członków jego rodziny, zatrudnionych w przedsiębiorstwie. Według orzeczenia Sądu Najwyższego z r. 1928, pracownia rzemieślnicza, prowadzona przez właściciela przy udziale jednej najemnej siły pomocniczej lub jednego członka rodziny, nie ma obowiązku opłacania podatku przemysłowego. Ale to orzeczenie stało się bardziej aktualne w praktyce dopiero przy wykupnie świadectw przemysłowych w r. 1931. Statystyka świadectw po r. 1930 dotyczy prawie wszystkich rzemieślników. Możemy przypuścić, z braku dokładniejszych danych, że na 1 świadectwo przemysłowe w tej kategorii przypada, ostrożnie licząc, 2,5 pracowników, łącznie z właścicielem. Otrzymujemy więc wyniki następujące (świadectwa roczne i półroczne razem):

Rok	Ilość świadectw VIII kat.	Przypuszczalna ilość pracowników
1926	180.659	451.647
1927	171.188	427.970
1928	160.221	400.552
1929	148.269	370.672
1930	133.610	334.025
1931	99.640	249.100

Widzimy więc spadek ilości wykupionych świadectw przemysłowych. Częściowo i w latach poprzednich, przed r. 1931, niżkę można wytłumaczyć tem, że ulgi, przyznane poprzednio, zwalniające od wykupna świadectwa przemysłowego tych rzemieślników, którzy poza sobą nikogo nie zatrudniają, dopiero stopniowo w praktyce były wprowadzane. Wszelako nie ulega najmniejszej wątpliwości, że wysoka konjunktura r. 1928 i 1929, która przyniosła znaczny wzrost stanu zatrudnienia w przemyśle fabrycznym, nie znalazła odpowiedniego echa w rzemiośle. Z drugiej strony kryzys nie odbija się tak silnie na ilości wykupywanych świadectw przemysłowych, jak w stanie zatrudnienia wielkiego przemysłu. Jednakże tak jest na pozór, liczne przykłady dowodzą, że bezrobocie i tu daje się we znaki. Różne zakłady rzemieślnicze prowadzą pracę z daleko mniejszą ilością pracowników w r. 1931 i 1932, aniżeli prowadziły ją w latach poprzednich.

Brak jest również dokładnych danych o tem, jakie jest zatrudnienie w średnim przemyśle, zatrudniającym od 5 do 20 robotników. Można przyjąć z grubsza, że te zakłady wykupują VI i VII kategorię świadectw przemysłowych. Otóż takich świadectw, łącznie z półrocznymi, wykupiono w r. 1929 — 25.485, w r. 1930 — 25.028, a w roku 1931 — 22.970. Licząc po 8 pracowników, łącznie z właścicielem, na taki zakład, otrzymamy dla r. 1931 cyfrę 183.760 pracowników.

Obliczyliśmy ilość pracowników, zatrudnionych w przedsiębiorstwach VIII kategorii w r. 1931 na 249.080. Rzemieślników, niewykupujących świadectw przemysłowych, gdyż zatrudniają nie więcej, nie jednego pracownika, łącznie z właścicielem, będzie co najmniej 30.000, gdyż w r. 1931, gdy weszła w pełni w życie ulga z tego tytułu, ubyłoby okragło 33.000 świadectw przemysłowych tej kategorii. Łącznie z pracownikami można przyjąć stan zatrudnienia w tej grupie na 60.000. Prócz tego jest jeszcze parę dziesiątków tysięcy rzemieślników, którzy pracują sami, nie zatrudniając nikogo; przyjmijmy ich ilość na 30.000. Dodawszy do tego przypuszczalną ilość zatrudnionych w średnim przemyśle, otrzymamy dla r. 1931 cyfrę

522.000, jako przypuszczalny stan zatrudnienia w średnim przemyśle i rzemiośle.

Otóż te pół miliona pracowników wytrzymuje porównanie z 671 tys. z sierpnia r. 1931, a 573 tys. z sierpnia r. 1932, rzeczywiście zatrudnionych w górnictwie, przemyśle, warsztatach kolejowych i na robotach publicznych, w zakładach zatrudniających ponad 20 robotników. To przeciwstawienie jest niezmiernie charakterystyczne dla naszej struktury przemysłowej. Polska ma wielki przemysł ale on nie ma bezwzględnej przewagi nad innymi rodzajami wytwórczości. Średnia i drobna produkcja ma stosunkowo duże znaczenie, nie z uwagi na swoją wartość, w porównaniu z wartością produkcji fabrycznej, lecz ze względu na ilość osób, którą zatrudnia i którą jeszcze może zatrudnić. Należy się z tem liczyć, że brak kapitału w Polsce, nadmiar ludności, która nie może pomieścić się na roli, jak i po urzędach, będzie parł, mimo trudnej sytuacji ekonomicznej rzemiosła, mimo małej jego rentowności, w kierunku powstawania nowych warsztatów rzemieślniczych.

Czynnikiem, który może nadać większą żywotność rzemiosłu jest elektryfikacja kraju. Zastosowanie silników elektrycznych podnosi zdolność konkurencyjną średniego przemysłu i rzemiosła. Bardzo wiele zależy od ceny prądu, od jej różnicowania na korzyść zastosowania energii elektrycznej do celów przemysłowych. Przed wojną już w niektórych dzielnicach Polski, jak w b. dzielnicy pruskiej i austriackiej, rzemiosło zaczęło posługiwać się tą energią; brak jest danych o tem, czy w tym kierunku poczyniono dalsze postępy. W najlepszym razie nie są bardzo widoczne.

Uderzeniami kryzysu najsilniej zostały dotknięte wielkie formacje przemysłowe. Stwierdzono np. w Niemczech, że średnia wytwórczość łatwiej znosi kryzys. W każdym razie np. rzemiosło również cierpi na brak zbytu, ale mniej jest dotknięte kryzysem kredytowym; nie ciąży na niem jakies olbrzymie długi, z pod których trudno byłoby się podźwignąć. Rzemiosło w niektórych swoich działach okazało dużą zdolność przystosowywania się do zmiennej siły nabywczej ludności. Nie posługuje się robotni-

kiem, który nie pozwala na obniżkę płacy a temsamem i kosztów produkcji. A pewien nawrót do bardziej prymitywnych form produkcji i obrotu, który można zaobserwować także i w Polsce, sprzyja niewątpliwie rozpowszechnieniu się produkcji rzemieślniczej. Zresztą w tym kierunku prowadzą także i niektóre przeobrażenia techniczne. Np. gdy komunikacje odbywają się przede wszystkim na kolejach żelaznych, wówczas dominuje całkowicie ogromne przedsiębiorstwo kolejowe. Samochody oczywiście wyrabiać może tylko wielkie przedsiębiorstwo. Jednakże rozwój ruchu samochodowego wywołał nawet w Stanach Zjednoczonych powstanie wielu warsztatów reperacyjnych, angażujących stosunkowo drobne kapitały. A w Polsce ruch autobusowy objawił swoją żywotność w postaci masy drobnych przedsiębiorstw autobusowych, dał zajęcie wielu ludziom, którzy w swoich rękach jednoczą drobny kapitał i własną pracę. A także na tle kryzysu okazuje się wyraźniej, że koncentracja produkcji ma swoje granice.

Granice rzemiosła nie są jednak ściśle określone. Niejednokrotnie bowiem zacierą się różnica między samodzielnym rzemieślnikiem, a chałupnikiem, pracującym na rachunek nakładcy. Wspomnieliśmy już poprzednio o tem, jakie okoliczności sprzyjają sztucznie rozwojowi chałupnictwa; szczególnie dają się one we znaki rzemiosłu. Z osobistej obserwacji piszący te słowa może stwierdzić, że warsztaty rzemieślnicze, które istniały od szeregu pokoleń, których wyroby, np. w zakresie stolarstwa artystycznego miały wyrobioną markę, musiały się kurczyć i posługiwać coraz więcej pracą chałupniczą ze względu na ciężar podatków, opłat na Kasę Chorych i t. d., wymierzanych według ilości pracowników, zatrudnionych w warsztacie. Jedną z pierwszorzędných stolarskich firm warszawskich zesła w ciągu kilku lat z około 30 do 3 pracowników, stale zajętych.

Czasami jednak pewne pośrednie formy między rzemiosłem i chałupnictwem mają naturalną żywotność. Np. szewctwu daje się we znaki konkurencja „Baty“. Mimo to na jarmarkach sprzedaje się dzisiaj obuwie, wyrabiane ręcznie, po cenach nie wyższych od sprzedawanych przez

wspomnianą firmę. To współzawodnictwo wymaga oczywiście organizacji handlowej. Zachodzi obawa, że szewc, który dostarcza butów pośrednikowi, jest przedmiotem wyzysku. Ale i w tej dziedzinie możliwe są pewne postępy, lepsza organizacja szewców może ich uwolnić od nadmiernych kosztów pośrednictwa, powiększyć ich zyski. Przyczyną niedomagań w tej dziedzinie, jak i w wielu innych, jest brak kapitału, brak taniego kredytu dla rzemiosła. Problem ten kredytu nie jest dotychczas rozwiązany.

Jeżeli stwierdzamy, że polityka społeczno - ekonomiczna państwa mało się zajmowała rzemiosłem, to nie mamy na myśli angażowania bezpośrednio lub pośrednio finansów państwowych w tej akcji. Na to nas nie stać w większych rozmiarach. Rzemiosło zyskałoby wiele na tem, gdyby państwo zwięziło swoją własną gospodarkę, gdyby np. przez produkty pracy więziennej, nie występowało w roli niezupełnie lojalnego konkurenta rzemiosła. A np. uwzględnianie rzemiosła i średniego przemysłu przy dostawach dla wojska i władz państwowych nie nakłada na te władze jakichś specjalnych ofiar. Można dość dużo zrobić stosunkowo małemi środkami. Przecież np. wciąż jeszcze, mimo istnienia Izby Rzemieślniczych, mimo całej opieki, rzemieślnik nie znajdzie w języku polskim potrzebnych mu wydawnictw pomocniczych, zawierających modele i wzory; stolarze w niektórych dzielnicach Polski wciąż się muszą posługiwać starymi książkami wiedeńskimi i berlińskimi. Takich przykładów możnaby jeszcze więcej przytoczyć.

Gdybyż to były tylko zaniedbania, tylko niedocenywanie średniego przemysłu i rzemiosła! W rzeczywistości jest coś gorszego: zarówno niektóre gałęzie wielkiego przemysłu, jak i biurokracja, bezpośrednio z powodów fiskalnych, występuje niekiedy wprost wrogo przeciw omawianej formie wytwórczości przemysłowej.

Niezmiennie charakterystyczne są motywy przedłożenia rządowego w sprawie opodatkowania wina i miodu syconego z dnia 24 września 1931 r. (Druk sejmowy Nr. 251). Czytamy w nich dosłownie: „W ostatnich czasach obserwuje się duży wzrost wytwórni, drogą powsta-

nia drobnych warsztatów... Drobne wytwórnie, niemające podstaw do swej żywotności, a oparte niejednokrotnie na różnego rodzaju nadużyciach i przejściowej koniunkturze, stwarzają dużą konkurencję warsztatom większym, prowadzonym przez fachowców, dążących do wytwarzania produktów o pierwszorzędnej jakości. W tym stanie rzeczy w interesie zarówno przemysłu, jak Skarbu Państwa, wskazanem jest wprowadzenie przepisu, zezwalającego na ewentualne zamykanie warsztatów, któreby nie zasługiwały na zaufanie".

A więc według zdania Ministerstwa Skarbu, drobne wytwórnie nie mają „podstaw do swej żywotności” (sic); oparte są „niejednokrotnie” na „różnego rodzaju nadużyciach”, jakgdyby nadużyć nie było w wielkich wytwórniach. Zdaniem naszej biurokracji, średnia i drobna wytwórczość nie może wytwarzać produktów pierwszorzędnej jakości. Wobec tego trzeba zamykać te warsztaty, które nie zasługują na zaufanie, (niewiadomo, czy wielkiego przemysłu, czy Skarbu, czy obydwu tych czynników).

Przeciw średniej produkcji występują oczywiście wielcy przemysłowcy; propagowane przez nich formy organizacyjne zmierzają nieraz do likwidacji mniejszych fabryk i warsztatów. Stanowisko ich jest zrozumiałe. Wyjaśnia się poprostu względami konkurencyjnymi. Politykę kartelową tem łatwiej jest prowadzić, także tem łatwiej „porozumieć się” z władzami, im mniejsza jest ilość uczestników kartelu. Ale dlaczego podobne stanowisko zajmują nieraz czynniki rządowe?

Nietylko względy fiskalne wchodzą tu w rachubę, nietylko wpływy przedstawicieli wielkiego przemysłu. Fabryka, zatrudniająca tysiące robotników, grozi zamknięciem, a więc powiększeniem bezrobocia, zaburzeniami i t. d. Pod tą groźbą otrzymuje ona kredyty od rządu czy banków państwowych, które zresztą w znacznej części nie będą zwrócone. Natomiast upadek 100 warsztatów, zatrudniających po 10 robotników, nie robi tego wrażenia, co zamknięcie wielkiej fabryki. Słusznie zauważył p. H. Tennenbaum: „Nawet źle zarządzona fabryka sądzi, że przysługuje jej prawo do przywilejów. Jej niewypłacalność

zaszkodzi państwu, zawieszenie produkcji zwiększy bezrobocie i często się zdarza, że wielkie przedsiębiorstwo uzyskuje kredyty państwowe tylko dlatego, że jest „wielkie”. Płaci za to szeroka masa podatników, w tym średni przemysł i rzemiosło”¹⁾.

Polityka gospodarcza państwa płacze się w sprzecznościach. Walczy ze wzrostem bezrobocia, a równocześnie odnosi się niechętnie do tych form produkcji, które, angażując stosunkowo mniejsze kapitały, mogą stanowić tamę przeciw rozrostowi bezrobocia w kraju, który ma tak ogromny nadmiar ludności, sprzyja się koncentracji, popiera się dążenia do zamykania mniejszych warsztatów produkcyjnych. Trzeba zerwać z poglądem, że wielki przemysł powinien być zwrócony swoim frontem przeciw średniej i drobnej wytwórczości. Rzemiosło w wielu dziedzinach może uzupełnić fabrykę. A przede wszystkim trzeba się zdobyć na jakąś politykę rzemieślniczą, której dotychczas niema w Polsce.

5. Zajmijmy się obecnie warstwą, trudniącą się handlem. Znowu ze statystyką istnieją duże trudności. Według spisu ludności z dnia 30.IX. 1921 r., z uzupełnieniem dla terytorjów, których ten spis nie objął, przypada na handel i ubezpieczenia z pośród ludności, zawodowo czynnej, 3,7% ogółu, a z całej ludności (czynnej i biernej) 6,2%. Porównanie z innemi krajami, zamieszczone w Małym Roczniku Statystycznym za r. 1932, wskazuje, że Polska ma stosunkowo mało ludności, zajętej w tym dziale produkcji; kraje takie, jak: Holandia, Niemcy, Szwajcaria, Norwegja i Danja mają wyżej 10%, bliższa nam Czechosłowacja 6%, Węgry 5%, a mniej od Polski Estonia, Finlandja i Bułgarja. Czy to porównanie jest naprawdę przekonywujące?

Niewątpliwie im jakiś kraj ma więcej ludności rolniczej, produkującej w części na własne potrzeby, im jego stosunki gospodarcze są bardziej pierwotne, tem mniejszą jest jego ludność, zatrudniona w handlu. Na Polesiu, w okręgu Izby Skarbowej brzeskiej, wykupiono w r. 1931 świadectw handlowych (rocznych i półrocznych razem)

¹⁾ H. Tennenbaum, l. c., str. 517.

9.940, czyli że przypada 8.7 świadectwa handlowego na 1000 mieszkańców, a zaś w województwie poznańskim wykupiono w r. 1931 — 34.372 świadectw, co daje z górą 16 świadectw na każde tysiąc mieszkańców. Niewątpliwie „kupiec” na Polesiu mniej skrupulatnie wykupuje te świadectwa, niż kupiec w poznańskim, więcej na wschodzie jest pokątnego handlu, ale mimo to ziemie zachodnie wykazują stosunkowo większe nasycenie handlem, niż bardziej prymitywne ziemie wschodnie.

Jednakże byłoby dziwne, gdyby naprawdę Polska, która ma stosunkowo najwięcej żydów, żyjących przede wszystkim z handlu, gdzie zresztą panuje wielkie prze-ludnienie, należała równocześnie do krajów, mających stosunkowo najmniejszy odsetek ludności handlowej. Zużytkujemy znowu, dla skontrolowania wyników spisu z r. 1921, statystykę świadectw przemysłowych z ostatnich czasów.

W r. 1931 wykupiono 443.660 świadectw handlowych. Do grupy handlu należy zaliczyć także tak zw. „zajęcia przemysłowe” (ekspedytorów, maklerów, komiwojażerów); razem otrzymujemy 447.542 świadectw. Prawie połowa wszystkich świadectw wykupywana jest przez przedsiębiorstwa, zaliczone do kategorii III; zasadniczo są to przedsiębiorstwa, które mogą zatrudniać, prócz właściciela lub zastępującego go dorosłego członka rodziny, najwyżej jednego dorosłego subiekta. Sporo jednak było świadectw II kategorii, bo 36.353. Uwzględniając nawet stosunkowo bardzo liczną kategorię IV, która nie zatrudnia, prócz właściciela i dorosłego członka rodziny, najemnego subiekta, możemy śmiało przyjąć, że łącznie z właścicielem i członkami jego rodziny pracują przeciętnie w przedsiębiorstwie handlowym trzy osoby. Otrzymujemy więc 1.342.000, jako przypuszczalną ilość osób, zajętych w handlu w r. 1931.

Według spisu ludności z 1 1921 czynnych było w handlu i ubezpieczeniach 518.8 tysięcy ludzi. Ludność zawodowo czynna wynosiła razem 13.523.4 tysiące, czyli 49% ogółu ludności. Przyjmując ten sam stosunek ludności zawodowo czynnej dla r. 1931, wypadnie nam, że było jej w tym czasie 15.7 miliona. A więc według naszego przy-

puszczalnego obliczenia, ludność czynna w handlu stanowiłaby 8.5% ludności zawodowo czynnej. Oczywiście ta cyfra nie może być zupełnie ścisła, ale bliższa jest rzeczywistości od cyfry spisu ludności z r. 1921, według której w handlu i ubezpieczeniach było czynnych niewiele ponad $1\frac{1}{2}$ miliona ludzi, gdy ludność wyznania mojżeszowego w Polsce, bez wojew. śląskiego i paru powiatów ziemi wileńskiej wynosiła 2.771 tysięcy. Nie wszyscy żydzi oczywiście zajmują się handlem; z drugiej strony jednak zajmują się nim także i nieżydzi, wystarczy wskazać na liczną stosunkowo ludność, czynną w handlu, na ziemiach zachodnich.

Jak przedstawia się wzrost, względnie spadek zatrudnienia w ciągu kilku lat? Oto cyfry wykupionych świadectw handlowych i świadectw wykupywanych przez tak zw. zajęcia przemysłowe (roczne i półroczne razem):

Rok	Świadectw
1924	438.095
1925	433.770
1926	419.221
1927	453.713
1928	481.722
1929	466.719
1930	461.124
1931	447.542

Niewątpliwie w ostatnich paru latach zmniejszył się stan zatrudnienia w handlu. Ubytek świadectw przemysłowych między r. 1928 a 1931 odpowiada, z uwagi na przeprowadzone redukcje personelu, zmniejszeniu zatrudnienia o co najmniej 100.000 ludzi. Jednakże handel okazuje zewnętrznie większą odporność, aniżeli np. przemysł fabryczny. Kryzys wywołuje bankructwa, ale bankruci biorą się na nowo do handlu. Choćby kupiec miał minimalne obroty, chce pozostać aż do ostatniej chwili ze swoim warsztatem pracy. Bo co będzie robił? Nie otrzyma nawet zasiłku dla bezrobotnego, jako przedsiębiorca, jako „kapitalista“.

Wchodzi tu w grę jeszcze jedna ważna okoliczność. Handel jest zawodem, do którego biorą się ludzie, którzy stracili swoje widoki w innych zawodach życiowych. Zredukowany urzędnik, pozbawiony pracy robotnik, próbują szczęścia w handlu; wydaje się każdemu, że ten zawód nie wymaga specjalnego przygotowania. Kogo nie stać na to, by wykupić patent, by otworzyć sklepik, zajmuje się handlem domokrażnym lub ulicznym, którego nie potrafi ująć żadna statystyka i który stanowi groźną konkurencję dla regularnego handlu. Na tem tle występuje zjawisko, że ogromne skurczenie się produkcji i sumy obrotów nie wywołało odpowiedniego zmniejszenia się ilości osób, trudniących się handlem. Natomiast na każdego z handlujących przypada stosunkowo mniej obrotów. Zarobki jego są mniejsze. Przy mniejszych obrotach zupełnie zrozumiała jest tendencja, by nie redukować kosztów pośrednictwa odpowiednio do spadku cen. Dlatego też ceny detaliczne nie zmniejszają się w tym stopniu, jak spadają ceny hurtowe. Wskaźnik cen hurtowych, w którym rok 1927 przyjęto za 100, wyraża się dla września 1932 cyfrą 60,0, a zaś wskaźnik cen detalicznych dla tegoż miesiąca tegoż roku wynosi 74,6. W szczególności wskaźnik cen hurtowych artykułów rolnych wykazuje spadek do 48,6, a zaś cen detalicznych tylko do 63,1; rozpiętość jest bardzo duża.

Nie można za to „winić” handlu, ani też żywić nadziei, że jakiemiś sztucznymi środkami uda się zmienić ten stan rzeczy. Na rozpiętość ceny wpływają także względnie sztywne koszty prowadzenia przedsiębiorstw handlowych; drobny kupiec za patent płaci tyle co przedtem, władze skarbowe nie zawsze chcą mu wierzyć, że ma mniejsze obroty, nie zmniejsza się też czynsz za lokal. A gdy obrót jest mniejszy, wówczas rośnie względne znaczenie kosztów stałych, co musi odbijać się na cenie. Legendy o nadzwyczajnych zyskach, czerpanych przez pośredników, pozbawione są, w ogromnej większości, wszelkiej podstawy. Przesilenie dotknęło handel w niemniejszym stopniu, niż inne działy produkcji.

W naszym społeczeństwie istnieje duże uprzedzenie do handlu, w szczególności do zawodu kupieckiego. Uważa

się, że handel podnosi koszty utrzymania, dąży się do ograniczenia pośrednictwa. Niewątpliwie lepiej jest, gdy stosunkowo więcej ludzi wytwarza towary rolnicze i przemysłowe, a mniej zajmuje się ich rozprzedażą. Wtedy potrzeby są lepiej zaspokojone. Jednakże doświadczenia wielu krajów dowodzą, że w miarę wzrostu intensywności życia gospodarczego nie słabnie bynajmniej udział handlu w ogólnej produkcji. Nie zawsze producent potrafi dotrzeć bezpośrednio do konsumenta. A specjalnie u nas brak kapitału działa w kierunku rozproszkowania handlu. Koncentracja w handlu ma możliwości ograniczone, wielkie domy towarowe nie zdołały nigdzie wyprzeć średniego i drobnego handlu. Można narzekać na to, że za dużo jest sklepów detalicznych; jednak i ten, kto narzeka, chce mieć ten sklep pod ręką.

Niedocenia się nieraz znaczenia handlu, który może przynieść bezpośrednie korzyści producentowi i konsumentowi. W Polsce w tej chwili można stwierdzić wielkie rozbieżności cen lokalnych. Towar w jednym miejscu kosztuje o wiele drożej, niż w innym, niezbyt od tamtego odległym. Nie handel temu winien, lecz brak organizacji handlu. Brak jest ludzi, którzyby mogli dość sprawnie skupywać płody rolne na wsi i sprzedawać je po lepszych cenach po miastach. A już największe niedomagania wykazuje nasz handel zagraniczny, na co już poprzednio zwrócono uwagę. Jeżeli w swoje ręce nie ujmijemy pośrednictwa handlowego z zagranicą, jeżeli nie będziemy umieli docierać do rynków, gdzie nasze towary uzyskają najlepszą cenę, jeżeli równocześnie nie wyrugujemy zbędnego obcego pośrednictwa w przywozie do Polski, to wówczas trudno będzie utrzymać aktywność naszego bilansu handlowego. Powtórzy się to samo, co już raz było w naszych dziejach: wywóz płodów rolnych z Polski dostał się w obce ręce, bogacili się inni na tym wywozie, a nam dyktowano niskie ceny.

Te argumenty każdy uzna, niemniej jednak narzeka się, że kupcy podtrzymują sztucznie wysokie ceny. Niechaj więc działa współzawodnictwo. Sui generis kartele handlowe, owe „zmowy kupców”, o których mówił już Adam Smith, mogą być równie szkodliwe, jak kartele przemysłowe.

słowe. I w tej dziedzinie zdarzają się wypadki, że przedsiębiorstw handlowych jest za dużo; muszą się zlikwidować te, które są mniej sprawne, lub mają wyższe koszty ogólne. I pod tym względem nie można a priori wykluczać żadnej formy handlu, żadnej nie można zakazać.

Duże nadzieje rozbudził np. ruch spółdzielczy. Nie zdołał on jednak wyrugować handlu indywidualnego. Ale może spełnić swoje zadanie jako czynnik, przeciwdziałający nadmiernej wyższości cen, pod jednym warunkiem: nie może korzystać z jakichś specjalnych przywilejów, niedostępnych dla zwyczajnego handlu. Spółdzielczość, subwencjonowana przez państwo, jest martwym tworem. Wiele spółdzielni spożywczych upada. Ale pod jednym względem spełniają one pożyteczną pracę. Tam, gdzie powstaje spółdzielnia, zdarza się nieraz, że po pewnym czasie przeobraża się na spółkę prywatną, względnie jej pracownicy, nauczycy się prowadzenia sklepu, zakładają go na własny rachunek. W ten sposób różne kółka rolnicze, składnice powiatowe i t. d. są szkołą indywidualnego handlu. Tylko doktryner może w tem widzieć ujemny objaw.

Niechaj spółdzielczość, oparta o własne siły, walczy o swoje stanowisko. Ale równocześnie jest rzeczą szkodliwą, gdy instytucje publiczne, jak np. samorządy, zajmują się bezpośrednio działalnością handlową. Nie są do tego przygotowane. A gdy korzystają ze specjalnych przywilejów, np. podatkowych, nie płacą czynszu za lokal, wówczas z jednej strony rujnują prywatny handel, a z drugiej zmniejszają siłę podatkową gospodarstwa narodowego. Doświadczenia z tej dziedziny nie zachęcają do tego, by robić dalsze próby.

Niewątpliwie czynnikiem, który hamuje prawidłowy rozwój handlu, jest brak kapitału obrotowego. Handel korzysta z droższego naogół kredytu, niż przemysł. Uprzywilejowane źródła kredytowe, jak np. kredyt z instytucji emisyjnej, są dla niego mniej dostępne. Brak tego kredytu niewątpliwie działa w kierunku wyższości cen detalicznych. Możemy powołać się na to, o czem już wyżej była mowa, że nie rozumiano u nas znaczenia kapitału obro-

towego, że stosunkowo zbyt wiele pieniędzy uwięziono w różnych inwestycjach.

Stosunki handlowe wymagają u nas naprawy, organizacja handlu powinna znaleźć się na wyższym poziomie. Jednakże nie powinien zwiększać się procent ludności, trudniącej się handlem, nie powinno być zbyt znacznego ilościowego rozrostu warstwy handlowej. Za dużo jest jej w stosunku do naszych potrzeb, wielu kupców ma obroty zbyt małe, by mogli z tego wyżyć i taki stan potrwa dość długo, gdyż trudno oczekiwać jakiegoś nadzwyczajnego wzrostu produkcji. I zastanawiając się nad naszym handlem, niepodobna pominąć składu społeczno-narodowego ludności, nim się zajmujemy.

6. Handel w Polsce jest w ogromnej swojej większości w rękach żydowskich. Według wyników spisu ludności z r. 1921, który nie objął Górnego Śląska, m. Wilna i powiatów Wilno — Troki, Oszmiana i Święciany, z pośród ludności, zawodowo czynnej w handlu i ubezpieczeniach, przypada na żydów 324.656, czyli 62.5 %. Jednakże z pośród żydów procent ludności zawodowo biernej jest nadzwyczajnie wysoki, widocznie jakieś względy kazały im ukrywać zawód przy spisie. Razem z ludności, żyjącej z handlu i ubezpieczeń, przypada na żydów 70.5 %. W tej grupie jednak zamieszczone są takie zawody, jak hotelarstwo, wynajem mieszkań, jadalnie i t. d., gdzie procent żydów jest stosunkowo mały; podobnie spółdzielnie i związki spółdzielcze; natomiast we właściwym handlu towarowym przypada na żydów 73.8 % z pośród ludności zawodowo - czynnej, a 79.7 % ludności czynnej i biernej.

Przypatrzmy się tym wynikom spisu według województw. Pomijamy w tem zestawieniu województwa zachodnie, gdzie odsetek żydów był minimalny. Bierzemy przytem pod uwagę tylko handel towarowy, pomijając inne działy, wymienione w grupie „handel i ubezpieczenia”. Podajemy stosunek procentowy osób wyznania mojżeszowego i innych wyznań, zliczając razem ludność zawodowo czynną i bierną, żyjącą z handlu towarowego.

Oto wyniki:

	Wyzn. mojżesz. ‰	Inne wyzn. ‰
Miasto Warszawa	72.6	27.4
Woj. krakowskie	78.2	21.8
„ łódzkie	78.4	21.6
„ warszawskie	79.4	20.6
„ kieleckie	85.1	14.9
„ lwowskie	88.7	11.3
„ lubelskie	90.2	9.8
„ białostockie	91.3	8.7
4 pow. okręgu wileńsk.	94.0	6.0
Woj. wołyńskie	94.2	5.8
„ nowogrodzkie	94.5	5.5
„ stanisławowskie	94.5	5.5
„ tarnopolskie	94.5	5.5
„ poleskie	94.8	5.2

Widzimy, że żydzi mają poza ziemiami zachodnimi wszędzie ogromną przewagę w handlu, a na dużych połaciach Polski faktyczny jego monopol. Ale zarazem widać z powyższego zestawienia, że przewaga żywołu żydowskiego jest tem silniejsza, im dalej na wschód, to znaczy im pierwotniejsze są stosunki gospodarcze i kulturalne, im ludność jest ciemniejsza. Pomijamy już ziemie zachodnie, o całkiem odrębnej strukturze społecznej; ale bądź co bądź także i kontrast między ziemią, położoną na lewym brzegu Wisły i województwem krakowskiem, a województwem poleskiem, nowogrodzkiem, stanisławowskim i tarnopolskiem, jest bardzo widoczny.

Handel jest przeludniony. Dowodzą tego nietylko fakty znane powszechnie, niewątpliwa nędza, w której żyją drobni sklepikarze i kramarze żydowscy, ale także ta olbrzymia liczność, że handel nie może pomieścić ludności żydowskiej, która pracuje również w niektórych dzielnicach w rzemiośle, w przemyśle chałupniczym, częściowo i w wielkim przemyśle. Jak pisze prof. B. Wasiutyński, „można przyjąć za dowód przesycenia danego terytorjum żywołem żydowskim, jeżeli ludność żydowska, żyjąca z przemysłu, właściwie z rękodzielnictwa, jest liczniejsza

od ludności żydowskiej, utrzymującej się z handlu, a więc z tego zawodu, do którego żydzi mają największe zamiłowanie. O takim samym przesyceniu żywołem żydowskim świadczy duży odsetek żydów, żyjących z rolnictwa (raczej zatrudnionych w przedsiębiorstwach rolniczych). Są to tereny emigracji żydowskiej¹⁾.

Według wyników spisu ludności z r. 1921 czynnych zawodowo żydów było więcej w przemyśle niż w handlu w województwie łódzkim, lubelskim, białostockim, nowogrodzkim i poleskim; silniejszy udział w rolnictwie wykazują żydzi w województwie stanisławowskim i lwowskim. Przeważnie jednak ich udział w rolnictwie wyraża się w takich zawodach rolniczych, które mają związek z handlem, jak np. dzierżawa sadów.

Nie można oczekiwać, by kolonizacja na wsi mogła pochłonąć znaczniejszy odsetek żydów. W przemyśle fabrycznym również jest bardzo ciasno. Pewne ilości proletariatu żydowskiego może jeszcze wchłonąć przemysł chałupniczy. Ale w handlu i nadal będzie bardzo ciasno, będzie się toczyła walka i między samymi żydami, a przede wszystkim między nimi a ludnością polską i innymi słowiańskimi, które będą się dobijały swojego udziału w handlu, które będą dążyły do tego, by mieć własny handel.

Walka ta już się toczy, i nie zawsze żydzi wychodzą z niej zwycięsko. Z opracowanej przez p. W. Trzcńskiego²⁾ statystyki wyborców do Izby Przemysłowo-Handlowej wynika, że między nabywcami patentów handlowych I kategorii wyborców w okręgu wyborczym do Izby Przemysłowo-Handlowej w Warszawie przypadało w r. 1926 na chrześcijan 49.3%, a na żydów 50.7%; a zaś w dwa lata później, w r. 1928, chrześcijanie stanowili 50.1%, a żydzi 49.9%. W drugiej kategorii wyborców stosunek procentowy chrześcijan i żydów nie uległ w tym czasie zmianie. Cyfry te są zbyt fragmentaryczne, obejmują za krótki

¹⁾ Bohdan Wasiutyński, *Ludność żydowska w Polsce w wiekach XIX i XX*, str. 219.

²⁾ Witold Trzcński, *Struktura wyznaniowa wyborców (nabywców patentów) do Izby Przemysłowo-Handlowej w Warszawie. Kwartalnik Statystyczny, Tom VIII, Zeszyt I. 1931 r., str. 97.*

okres czasu, by mogły być podstawą bardziej stanowczych wniosków. Jednakże obserwacja stosunków gospodarczych naszych wsi i miasteczek, zarówno w dawnej Galicji, jak i w dawnym Królestwie Kongresowem, pozwala stwierdzić, że w porównaniu z przedwojennymi czasami, a niekiedy i z pierwszemi latami po wojnie, wzmógł się drobny handel polski; powstały polskie sklepy tam, gdzie ich przedtem zupełnie nie było. Rozwój niektórych spółdzielni, jak np. mleczarskich, wyrugował w pewnym stopniu żydowskie pośrednictwo.

Największe straty żydowskiemu handlowi zostały niewątpliwie zadane przez rozwój ruskich kooperatyw w dawnej Galicji Wschodniej. Rozwój ten jest ogromny. Obejmuje zarówno wiejskie i małomiasteczkowe sklepikarstwo, jak i handel produktami rolnymi i ich przerób; imponuje np. ruski „Masłosojuz”, który potrafił zająć w eksporcie masła z Polski bardzo poczesne miejsce. Można liczyć już na setki te wsie ruskie, w których żyd niema nic do roboty.

Ten przykład jest bardzo wymowny. Dowodzi, że gdy wieś tworzy swój własny handel, obywa się bez tradycyjnego żydowskiego pośrednictwa. Ta ewolucja nie jest czemś sztucznem, wywołanem akcją bojkotową, czy też poparciem rządu, na co lubią skarżyć się żydzi. Rusini w dawnej Galicji Wschodniej byli politycznymi sojusznikami żydów. Od rządu poparcia nie mają. A mimo to, naturalnym biegiem rzeczy czynią zbędnym, w bardzo znacznym stopniu, handel żydowski.

Jest nieuniknione, trzeba to raz jeszcze podkreślić, że rola żydowskiego handlu będzie się coraz bardziej kurczyła. Bo choćby nawet przyszła poprawa gospodarcza, zwiększyły się wydatnie obroty, to owa poprawa nie może się łączyć z powiększeniem się ilości osób, żyjących z handlu. W tej ilości musi nastąpić pewien zastój, przy równoczesnem zwiększeniu się obrotów. Bo przecież nawet sami żydzi nie uważają stosunków w handlu za normalne.

Oto co pisze autor żydowski, G. Gliksman: „Należy stwierdzić, że w handlu w Polsce panuje ciasnota (encombrement). Zbyt wielka jest ilość kupców, przedewszyst-

kiem detalicznych. Nie dlatego, by bezwzględna ilość kupców była za duża, lecz w obecnym stanie ekonomicznym kraju, jego poziomowi cywilizacji i dobrobytu, Polska jest przesycona kupcami. Handel, choć sam nie tworzy nowych bogactw, jest potrzebny, a nawet użyteczny w obecnym kapitalistycznym społeczeństwie. Lecz nadmiar handlujących, wypadek niestety dość częsty w Polsce, prowadzi do stwarzania zbędnych, a więc szkodliwych ogniw. Zbyt wielki rozwój pośrednictwa jest wyrazem prawie zawsze paraszytництва społecznego. Z drugiej strony zbyt wielka ilość handlujących wywołuje między nimi coraz ostrzejszą konkurencję i sprawia, że ich położenie jest nie do wytrzymania. Ilość istotnie zbyt wielka tych małych handlarzy żydowskich jest objawem kryzysu ekonomicznego ludności żydowskiej w Polsce¹⁾.

Nowi kupcy muszą wypierać dawniejszych. A będzie przybywało kupców nieżydowskich, których wzrost nastąpi kosztem żydów. Przedewszystkiem dlatego, że jest przeludnienie na wsi, że coraz większy procent ludności wiejskiej nie może żyć z uprawy roli, że synowie chłopscy mają się handlu. Równocześnie napływa do miast nadmiar ludności wiejskiej; niewiele wchłonie jej wielki przemysł, a także w urzędach, w różnych usługach osobistych i tym podobnych zawodach jest przeludnienie. Bieda i bezrobocie będą ojcami handlu polskiego.

Handel polski będzie się rozwijał także i dlatego, że musi do niego doprowadzić różnicowanie społeczne, dążenie narodu do tego, by żyć pełnem życiem, by w dziedzinie gospodarczej nie być kaleką, a rozwijać wszelkie funkcje gospodarcze. Nie wrócą już te czasy, z doby upadku Rzeczypospolitej, gdy społeczeństwo składało się z trzech warstw, szlachty, chłopów i żydów, gdy żydzi mieli niemal cały handel w swoich rękach. Dużo się zmieniło w ciągu XIX wieku. Powstało wtedy polskie mieszczaństwo. Na ziemiach zachodnich wyrosło ono ze wsi, wypierając żydów z miast; w Królestwie Kongresowem

¹⁾ Georges Gliksman, *L'aspect économique de la question juive en Pologne 1929* r., str. 159 i n.

wyższe jego warstwy wyrosły z napływu obcych kolonistów, a częściowo złożyła się na nie bankrutująca po wsiach szlachta. Dzisiaj w całej Polsce głównego kontyngentu ludności miejskiej, brakującej nam warstwy średniej, dostarcza napływ ludności ze wsi do miast.

Co jednak robią Żydzi, gdzie się oni pomieszczą? Głównym ratunkiem dla nich byłaby emigracja. Ale rzecz interesująca, że przywódcy żydowstwa w krajach zachodnich patrzą niechętnie na immigrację Żydów. F. Phillippson, prezes zarządu „Jewish Colonization Association”, oświadczył w r. 1925: „wierzymy w to zawsze, że jest rzeczą lepszą, tak z punktu widzenia moralnego, jak i materialnego, by nasi współwyznawcy pozostawali w swoim kraju i z nim się związali... Zachowując naszych współwyznawców w ich krajach, możemy pomóc czterem lub pięć razy większej ilości rodzin, niż osadzając ich w krajach odległych”¹⁾.

Żydzi pomagają swoim współwyznawcom w Polsce dość wydatnie; udzielają im bezprocentowych pożyczek, funduszów na wykup patentów i t. d. Tej pomocy znikąd nie otrzymuje drobny handel polski. Ale zagadnienie przeludnienia Żydów w handlu nie da się rozstrzygnąć przez pomoc o charakterze filantropijnym. Wchodzą tu w grę zbyt wielkie siły i antagonizmy społeczno - ekonomiczne. Jeżeli potężni Żydzi w państwach zachodnich nie chcą, czy nie mogą znaleźć miejsca dla milionów swoich współwyznawców z Europy środkowej czy wschodniej, to nie mogą od nas oczekiwać, byśmy w Polsce zrezygnowali z własnej warstwy kupieckiej, by złagodzić nędzę żydowską, byśmy utrzymywali dalej pasorzytnictwo społeczne i zamykali przed naszą ludnością chłopską nowe możliwości zarobkowania.

7. Powyższe uwagi o strukturze społecznej Polski, w szczególności o warstwie chłopskiej, rzemiośle i średnim przemyśle, wreszcie o ludności, żyjącej z handlu, pozwalają na wypowiedzenie paru ogólnych wniosków o przyszłej ewolucji. Żyjemy w okresie wielkiej, długotrwałej depresji, którą, w braku innego wyrazu, oznacza

¹⁾ G. Gliksman, l. c., str. 176.

się nazwą „przesilenia“. Stosunki społeczne są płynne. Niewypłacalność przybrała tak wielkie rozmiary, że w niektórych warstwach jest wprost masowym objawem, może wywołać nie tylko indywidualne katastrofy, lecz także oddziaływać głęboko na przeobrażenia struktury społecznej.

Kto kryzys przetrzyma? Jest faktem, że łatwiej do nowych warunków dostosuje się małe, aniżeli wielkie gospodarstwo rolne. Likwidacja kryzysu w gospodarstwach folwarcznych przyniesie duże przeobrażenia, nie jeden większy właściciel będzie wysadzony z siodła, inni będą się ratowali przez parcelację części swojej własności. Niewątpliwie jednak wzmoże się znaczenie gospodarstw chłopskich. Interes społeczny i narodowy wymaga, by ten proces nie odbywał się gwałtownie, by przechodził bez wstrząśnień. Ale naturalny bieg rzeczy prowadzi do rozdrobnienia własności rolnej.

Następnie doświadczenie wielu krajów okazało, że im większe są grupy przemysłowe, im większą jest koncentracja przemysłowa i finansowa, tem bardziej te formacje wrażliwe są na uderzenia kryzysu. Nie jeden kolos finansowy okazał się kolosem na glinianych nogach. Niejednokrotnie wielkie związki przemysłowe korzystają w państwie z uprzywilejowanego stanowiska; gdyby pomoc państwa została cofnięta, byt ich byłby krótkotrwały. Państwo, ze względów społecznych (obawa zwiększenia bezrobocia), lub wprost ze względów tak zw. „prestiżu“, by nie ujawniać bankructwa reprezentacyjnych firm przemysłowych, pozwala na ukrywanie istotnego ich położenia, albo też zasila je kredytami, bez gwarancji, że zobaczy z powrotem swoje pieniądze. Przemysł średni i drobny nie doznaje tego poparcia, a przeciwnie, poświadcza się czasem jego interesy na rzecz wielkiego przemysłu.

Jeżeli więc w tych warunkach mała wytwórczość wykazuje pewną żywotność, to dowodzi, że tkwią w niej zdrowe pierwiastki. Widzieliśmy już poprzednio, w jakim stanie jest zetatyzowany ruch budowlany; a tymczasem budują domy, mimo zastoju mali ludzie, którzy potrafią oszczędzać nawet w dzisiejszych czasach. Ta żądza własności, dążenie do tego, by się czegoś dorobić, jest twór-

czą siłą, jest zapowiedzią lepszej przyszłości w powszechnym chaosie.

Na tem tle dojdzie do powstania warstwy społecznej, której nam brakuje od wieków, której brak charakteryzował ustrój społeczny dawnej Rzeczypospolitej — tak zw. warstwy średniej, polskiego mieszczaństwa. Niewątpliwie ono i dzisiaj istnieje, ale jest go za mało i jest za słabe; przecież czasami, dla obrony swoich interesów, potrafią niektórzy jego przedstawiciele służyć za parawan interesom żydowskim. Polska warstwa średnia musi się zasilić dopływem świeżych sił, który przyjdzie zarówno z góry, jak i z dołu. Z dołu przez powstawanie rzemiosła i handlu, dzięki industrializacji ludności wiejskiej. A „zgóry” przez to, że niejeden człowiek, który zajmował wyższe stanowisko społeczne, który pretendował do tego, by być wielkim fabrykantem lub wielkim kupcem, lub był wielkim właścicielem ziemskim — zostanie zepchnięty w ramy warstwy średniej. A czasami z takich indywidualnych katastrof powstaje pożytek społeczny.

A jedno przeobrażenie jest konieczne: należy zaprzestać przyśpieszonego fabrykowania tak zw. inteligencji pracującej. Bardzo pięknym jest pęd do tego, by wzniesić się w sytuacji społecznej ponad środowisko, z którego się wyszło. Wzruszać może fakt, że człowiek, który walczy z nędzą, sam nie umie czytać ani pisać, pragnie ułatwić swoim dzieciom zdobycie stopni akademickich. Ale nie zapominajmy, że w szkołach akademickich w Polsce kształciło się (w r. 1930/31) — 48.155 młodzieży. A już od paru lat uzyskanie zajęcia, odpowiadającego wykształceniu akademickiemu, choćby nawet lichu płatnego, staje się coraz trudniejsze. Jeden zawód zamyka się po drugim przed dopływem nowych sił. Zmarnowane są wysiłki zdobycia wyższego wykształcenia, koszt, który państwo na nie ponosi, w znacznej części nie wraca się społeczeństwu. Ludzie, którzy najlepsze lata swojego życia poświęcili na przygotowanie się do zawodu, w którym niema dla nich miejsca, stanowią materiał, z którego mogą wyrósć najgroźniejsze fermenty społeczne. Proletariat inteligencji stanowi najgorszy gatunek proletariatu.

Dopływu do wyższych szkół nie można ograniczać przez podniesienie kosztów wykształcenia, bo wtedy uniemożliwi się naukę najzdolniejszym żywiolom. Ale trzeba go w inny sposób ograniczyć. Trzeba wytępić resztki wielkopańskich czy biurokratycznych uprzedzeń, wedle których kiepski adwokat czy urzędnik jest czemś lepszym od dobrego rzemieślnika czy kupca. Armji potrzeba nietylko dobrych oficerów, lecz także i podoficerów. A tych podoficerów brakuje naszemu życiu gospodarczemu. Zamiast mnożyć patenty naukowe, trzeba pomnożyć kwalifikowanych majstrów, drobnych przedsiębiorstw, rzutkich i solidnych kupców. Innemi słowy, trzeba stworzyć mocną warstwę średnią.

ROZDZIAŁ X.

PODSTAWY USTROJU GOSPODARCZEGO

1. Żyjemy w okresie wielkich przemian w gospodarstwie świata, których wyraźnego końca nie widać; w okresie chaosu, a jak pesymiści mówią, nawet paniki gospodarczej. W tych warunkach powstaje pewien fatalizm ekonomiczny. Można spotkać się z poglądem, że dzisiaj polityka gospodarcza państwa nie jest w możności zakładać sobie dalsze cele, że musi działać z dnia na dzień, parując ciosy, zadawane przez przesilenie, ratując gospodarstwo doraźnymi sposobami. Innym znowu wydaje się, że *novus rerum nascitur ordo*, że obecne przesilenie prowadzi do planowego gospodarstwa, opartego na autorytecie władzy, na przymusie, a nie na wolnej grze sił gospodarczych, która znajduje wyraz swój w cenie, oznaczanej na rynku. Ci przynajmniej mają mniej lub więcej określony pogląd na podstawy ustroju gospodarczego. Natomiast zapatrywanie, że „ciemno wszędzie, głucho wszędzie” nie może zastąpić konieczności prowadzenia polityki gospodarczej w określonym kierunku.

W życiu nigdy nie urzeczywistniają się w całej czystości żadne doktryny, żadne systemy ekonomiczne. Ale w normalnych warunkach pewien określony system nadaje swój charakter danej epoce, wiadomo, ku czemu idzie gospodarstwo narodowe, jaki jest jego ustrój. Gdy zaś panuje ogólna niepewność, gdy niewiadomo, co jutro będzie, gospodarstwo narodowe musi upadać, gdyż zaw-
sze, a może szczególnie dzisiaj, każda działalność gospo-

darcza musi mieć pewne stałe punkty oparcia. Dzisiejsze gospodarstwo jest w bardzo znacznym stopniu gospodars-
twem kredytowem, jest obliczone na dłuższe trwanie,
a nie może żyć tylko dniem dzisiejszym. Niepewność
przyszłości usuwa podstawy bardziej intensywniej i ce-
lowej działalności gospodarczej. A szczególnie gospo-
darstwa, zależne od kredytu zagranicznego, od dopływu
obcego kapitału — a do nich należy nasze gospodarstwo
narodowe — muszą mieć wyraźną fizjognomję. Każdy
kontrahent chce wiedzieć, z kim ma do czynienia, z kim
zawiera umowy, jak będą patrzyły na treść tych umów
przyszłe pokolenia, czy zechcą i czy będą mogły wywią-
zać się ze zobowiązań.

Rozumianem jest powszechnie, że trwała podstawą ży-
cia gospodarczego jest stałość waluty. Ale czy ten postu-
lat stabilizacji ogranicza się do dziedziny obiegu pieniąż-
nego? W procesie gospodarczym zachodzą ciągłe zmiany,
życie gospodarcze raz opada, raz idzie ku górze; powsta-
ją wciąż nowe jego postacie. Jednakże te fermenty muszą
być zamknięte w określonych granicach. Można budować
nowe piętra, inaczej dom urządzać i zdobić, ale funda-
mentów nie wolno naruszać. Gdyby się chciało wciąż roz-
poczynać budowę od podstaw, przekreślać wszystko co
przedtem było, taki futurizm w gospodarstwie dałby
jeszcze gorsze wyniki, a w każdym razie byłby szkodliw-
szy, aniżeli futurizm w sztukach pięknych.

W jaki sposób można, zwłaszcza w dzisiejszych cza-
sach, wnieść pewne pierwiastki stałości w gospodarstwo
narodowe? Złym byłby zastój, powtarzanie się bez końca
tego samego przebiegu życia gospodarczego. Jednak mię-
dzy tem, co można zmieniać co roku, a tem, co powinno
trwać przez całe pokolenia, winna być zachowania pew-
na proporcja.

Potrzebę stabilizacji, ograniczenia szybkich i dowol-
nych zmian, urzeczywistnia nowoczesne państwo prawne.
Przeprowadza przede wszystkim linię demarkacyjną
między ustawami a aktami administracyjnymi. Te osta-
tnie zależą od uznania władzy wykonawczej, nie zawsze
niczem nieskrępowanego, a zaś zmiana ustawy wymaga
już bardziej skomplikowanego, powolniej działającego

aparatu. A zaś między ustawami wyróżnia się ustawy konstytucyjne, które trudniej zmienić, które powinno się zmieniać stosunkowo rzadziej. Konstytucja ustala trwałe podstawy porządku prawnego, także i w dziedzinie gospodarczej. Określa stosunek państwa do własności, ogranicza dowolność administracji w życiu gospodarczym. Niekoniecznie konstytucja musi wychodzić z założenia jakichś nienaruszalnych praw jednostki, stanowi to bowiem cechę konstytucyj pewnego tylko typu; ale w każdym razie konstytucja musi zabezpieczać trwałość różnych instytucji, które funkcjonują na swoich podstawach, niezależnie od zmienności rządów i doraźnych celów politycznych. W szczególności do tego celu zmierza w państwie prawnym idea równowagi władz, której nie można urzeczywistnić bez niezależności władzy sądowej, przed którą mogą być zaskarżone decyzje władzy wykonawczej.

Idea państwa prawnego w dziedzinie gospodarczej urzeczywistnia się przez zasadę, że prawo wstecz nie działa, że umowy zawarte prawnie stanowią prawo dla stron i że ich treści nie można w drodze aktów administracyjnych, czy nawet w drodze ustaw, zmieniać *post factum*. Taki sam cel ma zasada, że państwo jest odpowiedzialne materialnie za szkody, wyrządzone przez działania jego organów; że państwo powinno dotrzymywać swoich prywatno - prawnych zobowiązań, nie może nadużywać swojej władzy zwierzchniej, by je zmieniać jednostronnie, np. redukować swoje długi i procenty od nich. W państwie nowoczesnym nie uważa się przymusu za istotę prawa. Orientalny despota, od którego wszystko zależy, który każdej chwili może każdego mieszkańca pozbawić życia i mienia, ten despota nie zna prawa. Prawo bowiem ogranicza rządzących, nakłada na nich zobowiązania, stwarza ogólne normy współżycia społecznego, wyposażone w określone sankcje, stwarza trwałe warunki gospodarczej działalności.

Otóż nie sprzyja stałości gospodarczego życia, nie umacnia niezbędnego pierwiastka tego życia, to jest zaufania, fakt, że w państwie wszystko jest płynne, że wszystko można zmienić z dnia na dzień, że całe ustawodawstwo jest zbiorem niemal nieograniczonych pełnomocnictw

władzy wykonawczej. A właśnie tak jest w Polsce. Można by przytoczyć szereg ustaw i dekretów, które całe dziedziny wytwórczości oddają pod swobodne uznanie władzy wykonawczej, która może w nich, za jednym zamachem, wprowadzić nowy ustrój gospodarczy, negujący własność prywatną. Gdyby w Polsce władza dostała się w ręce zwolenników komunizmu, nie potrzebowaliby oni przewracać całego obowiązującego ustawodawstwa, by urzeczywistnić swoje cele.

Wystarczyłoby zastosować Rozp. Prez. Rzplitej z dnia 26 sierpnia 1927 r. o rzeczowych świadczeniach wojennych, które nadaje państwu prawo tej treści, że można zażądać odstąpienia lub ograniczenia na rzecz państwa prawa własności, użytkowania, używania, jak również wszelkich innych praw, odnoszących się tak do ruchomości, jak i nieruchomości, jak również oddania na rzecz Państwa nieruchomości do użytku lub swobodnego rozporządzenia. Rzecz jasna, że na wypadek wojny prawo dysponowania własnością prywatną podlega bardzo znacznym ograniczeniom, gospodarka wojenna ma swoje własne prawa. Ale to rozporządzenie przewiduje wprowadzenie owych, bardzo szerokich ograniczeń, nie tylko w razie wojny lub mobilizacji ogólnej czy częściowej, lecz również „w interesie obrony Państwa, stwierdzonym uchwałą Rady Ministrów”. A pod pojęcie interesu obrony państwa Rada Ministrów może wszystko podciągnąć. Gorzej jeszcze jest, że późniejsze ustawy wprowadzają szereg ograniczeń własności prywatnej, za które, wbrew Konstytucji, nie przyznają odszkodowania, albo też zostawiają określenie jego wysokości zarządzeniom władzy administracyjnej.

Panowało przez pewien czas złudzenie, że tak zw. silne rządy, wyposażone dyktatorskimi pełnomocnictwami, mogą zabezpieczyć trwałość życia gospodarczego, gdyż te rządy nie są tak chwiejne, nie zmieniają się wciąż, jak rządy parlamentarne lub półparlamentarne. Ale dyktatura, jako trwały system, jest często największym źródłem niepewności i niestałości. Gdy niema równowagi władz, gdy grupa rządząca może robić co chce z mieniem mieszkańców, gdy nad życiem gospodarczym panuje „rozkazo-

dawstwo gospodarcze", wówczas możliwy jest do urzeczywistnienia tylko taki system, jaki panuje w Rosji sowieckiej. Przynajmniej ten system jest doprowadzony do końca: wyeliminował on pierwiastek zaufania, zastąpił go bezwzględny przymus. Gdy zaś chce się godzić nieograniczoną władzę wykonawczą z zaufaniem, dochodzi do konfliktu między temi dwoma pierwiastkami. „Silna władza“, która usuwa wszelkie instytucje, hamujące jej swobodę, bierze na siebie całkowitą odpowiedzialność za dobrobyt ludności i pod naporem tej odpowiedzialności brnie coraz dalej w ingerencję w życie gospodarcze. Można dojść do władzy pod hasłami wyraźnie antykomunistycznymi, w walce z nadmiernym wzrostem funkcji gospodarczych państwa. Ale po pewnym czasie jakaś fatalna siła pcha dyktaturę we wręcz przeciwnym kierunku.

Przykładem są Włochy. Sprawozdawca paryskiej „L'illustration“, p. E. Schreiber, zadał Mussoliniemu następujące pytanie: „Wysokie osobistości partii faszystowskiej zapewniały mnie, że w rękach państwa jest już 80% wszystkiego, co istnieje we Włoszech. Właściciele nieruchomości, podobnie zresztą, jak w innych krajach, zaciągają długie hipoteczne, by płacić podatki i kończą oddaniem w pańskie ręce kluczy od domów. Właściciele ziemscy robią to samo ze swemi tytułami własności. Można przewidywać, że jeżeli nie poprawi się sytuacja światowa, w krótkim czasie owe 80% podniosą się do 90% i nawet więcej. Czy tego dnia nie będzie pan w położeniu bardzo podobnem do Sowietów, które mają całą własność w Z. R. S. S. Czy nie idziecie powoli, lecz stale ku socjalizmowi państwowemu“? Na to odpowiedział Mussolini: „Nie wiemy, w nienormalnych warunkach naszej epoki, co jutro nam kryje. Ale régime faszystowski jest w lepszym położeniu, niż inny, by, dzięki skutecznej kontroli działalności grup i jednostek, w odpowiednim czasie zastosować potrzebne zabiegi. Niema definitywnej zasady. Doktryna winna tłumaczyć życie, lecz życie samo powinno się liczyć z doktryną“ (L'illustration z 17.IX 1932). Według późniejszych relacji, Mussolini wypowiedział się stanowczo przeciw kapitalizmowi państwowemu. Czy łańcuchem będzie ten nawrót, przyszłość niedaleka pokaże.

Ustrój prawny państwa wywiera wielki wpływ na życie gospodarcze. Z drugiej strony stan gospodarczy kraju jest podłożem, na którym rozwija się ten lub inny stosunek do ustroju prawnego. Nieraz widzi się w obowiązującym stanie prawnym źródło gospodarczych niedomagań i przypuszcza, że wystarczy zmienić ten ustrój, by wrócił dobrobyt. Ale przecież depresja jest równocześnie w krajach, których ustroje prawne oparte są na wręcz przeciwnych zasadach. Nie można przesadzać znaczenia pierwiastków prawnych, ale z drugiej strony jest rzeczą niewątpliwą, że jeżeli chce się wnieść stałość w życie gospodarcze, koniecznem jest zabezpieczyć pierwiastki tej stałości w życiu prawnem państwa. Każdemu régime'owi gospodarczemu musi odpowiadać harmonizujący z nim ustrój prawny.

Trwałość warunków życia gospodarczego zależy od wielu jeszcze innych okoliczności. Od struktury społecznej i narodowej, od wielu pierwiastków pozagospodarczych. Ogromne znaczenie ma religja, stan moralny kraju, ustrój rodziny, zapatrywania polityczne, siła i charakter zwalczających się stronnictw politycznych. W nich tkwią siły dynamiczne, które mogą gruntownie zmienić to, co jest dzisiaj. I jeżeli się chce urzeczywistnić pewne trwałe zasady gospodarcze, trzeba mieć za sobą zorganizowaną opinię, trzeba umieć pozbawić znaczenia i powagi przeciwne sobie zasady. Życie narodu jest ciągłą walką, w polityce zachodzą ciągle zmiany, dochodzą do władzy różne rządy. Istotne znaczenie dla rozwoju gospodarczego narodu ma to, by zmiany rządów nie oznaczały przewrotów, by amplituda zmienności w podstawach ustroju gospodarczego nie była zbyt rozległa. Tak jest na Zachodzie, w Anglii i Francji, gdzie zmiany rządów nie przynoszą niespodzianek, gdzie tradycje, poszanowanie prawa, konieczności gospodarcze, są silniejsze od doktryn.

2. Spróbujmy sformułować pokrótce nasze zapatrywania na ustrój gospodarczy państwa i przewodnie linie polityki gospodarczej. W poprzednich rozdziałach była mowa o poszczególnych zagadnieniach; obecnie zwrócimy uwagę na centralny problemat, to znaczy na stosunek państwa do gospodarstwa. Zasadniczem jest pytanie: jak daleko w życie gospodarcze powinna sięgać ingerencja

państwa, wogóle wszelkich związków, opartych na przysięgach, jakie znaczenie ma wolność gospodarza i jakie są jej granice?

Piszący te słowa jest zdecydowanym przeciwnikiem tak zw. gospodarstwa planowego. Poddał jego ideę krytyce w poprzednio cytowanej pracy, nie potrzebuje powtarzać już tych argumentów. A zaś o ile chodzi o urzeczywistnianie w Polsce gospodarstwo planowe, które ogarnęło wiele dziedzin życia a wyrosło, *sit venia verbo*, częściowo i bez planu, to doświadczenia, z niem poczynione, nie będą chyba służyły za skuteczne narzędzie propagandy na rzecz tego gospodarstwa planowego w innych krajach. W tej chwili zamiast krytyki, sformułujemy pozytywnie własne poglądy.

Bogactwo nie jest ostatecznym celem; jest jednak narzędziem wyższych celów życiowych. Pozatem w działalności gospodarczej tkwią pewne wartości życiowe, których nie można lekceważyć. Jeżeli się chce urzeczywistniać tamte wyższe cele życiowe, trzeba bogactwo gromadzić, upowszechniać dobrobyt w społeczeństwie. Nędza nie sprzyja moralnemu i religijnemu rozwojowi. Nędza jest źródłem konfliktów społecznych, naród w stanie gospodarczego upadku będzie wasalem innych narodów, nie zdoła obronić się przed sąsiadami. Otóż najlepiej sprzyja wzrostowi bogactwa i dobrobytu społecznego system, który opiera się na wolnej działalności zarobkowej, w którym istnieje współzawodnictwo w tej lub innej postaci. Chęć zarobku jest niezwykle silnym motywem, który nie traci swojego znaczenia nawet w ustrojach, usiłujących oprzeć życie gospodarcze na innych motywach. Pod wpływem tego dążenia, by zdobyć lepszą pozycję materialną, gromadzą się kapitały. Człowiek oszczędza, jeżeli wie, że sam odniesie w przyszłości korzyść z tej oszczędności, że zdoła na tej drodze zabezpieczyć byt swego potomstwa. Żądza własności skłania człowieka do wielkich wysiłków gospodarczych, pobudza jego przedsiębiorczość, wynalazczość i wytrwałość. We współzawodnictwie utrzymują się ci, którzy ze względu na jakość i cenę produkowanych towarów i usług lepiej zaspokajają potrzeby nabywców, którzy produkują taniej. Upadają go-

spodarstwa źle zorganizowane, prowadzone niedołącznie; zależność od ceny rynkowej skłania do ciągłego postępu.

A więc podstawową instytucją społeczną powinna być własność prywatna. Nie pojmujemy własności prywatnej, jako prawa niczem nieograniczonego, jako *i u s u t e n d i e t a b u t e n d i*. Nieraz się mówi, że własność prywatna jest funkcją społeczną. Ale by spełniła swoje zadania, by była tą funkcją, musi rzeczywiście istnieć, musi być trwałą, pewną i bezpieczną w określonych przez prawo granicach; ustawodawstwo musi zostawić własności prywatnej możliwość jej ekspansji. Wszystko zależy od tego, jakie są, faktyczne i prawne, ograniczenia własności prywatnej, jak daleko sięgają te względy publiczne, w imię których się ją ogranicza. Kiedy możemy powiedzieć, że dane społeczeństwo żyje w reżimie własności prywatnej, a kiedy przechodzi do komunizmu w tej lub innej postaci? Cały szereg okoliczności trzeba wziąć tu pod uwagę.

Najpierw stosunek, który zachodzi między własnością prywatną a publiczną, zakres jednej i drugiej. W społeczeństwie, w którym państwo i związki publiczne, względnie różne organizacje prywatne, wyposażone w prawa publiczne, obejmują zbyt wiele dziedzin życia gospodarczego, eo ipso ciasnem jest pole rozwoju prywatnej własności. Może się zdarzyć, że państwo już zrezygnowało z dalszej ekspansji gospodarczej i zostawiło własności prywatnej jej nienaruszalną sferę. Ta własność prywatna jest już bezpieczna, ale co z tego za pożytek, gdy jej jest za mało. Istotna funkcja własności prywatnej wyraża się nietylko w tym negatywnym czysto fakcie, że ta własność jest bezpieczna i nienaruszalna, lecz i w tem, że prywatna inicjatywa, prywatna przedsiębiorczość może się przejawiać w najrozmaitszych dziedzinach.

Jednostka ma pewne uzdolnienia, ambicje, chce się dorobić stanowiska i majątku. Duże znaczenie ma dla niej okoliczność, czy swoją przedsiębiorczość może zwrócić w dowolnym kierunku, czy żadna z głównych dziedzin wytwórczości i obrotu nie jest przed nią zamknięta przez to, że gospodarstwo zmonopolizował w niej urząd państwowy. Ktoś rozporządza wolnym kapitałem. Chce ten kapitał zatrudnić jak najrentowniej. Otóż w ustroju wła-

sności prywatnej ma wolny wybór lokaty swego kapitału, praktycznie nieograniczone możliwości jego zużytkowania. Swobodny wybór co do tego, gdzie ten kapitał ma pójść, jest jedną z podstaw ustroju własności prywatnej. Bo wtedy ta własność może się na coś przydać, gdy przedsiębiorca, kapitalista, wogóle każda jednostka, rozporządzająca czy to kapitałem w ścisłym wyrazu znaczeniu, czy też swoim „kapitałem duchowym“, swojemi zdolnościami, zatrudnia te obydwa rodzaje kapitału, kierując się własną wolą, własną rachubą zysków.

Jeżeli w rękach państwa są narzędzia komunikacji, kredyt, jeżeli państwo samo organizuje handel zagraniczny kraju, jeżeli instytucje publiczne skupiają w swoich rękach opiekę lekarską, jeżeli wreszcie cały szereg gałęzi przemysłu jest w rękach monopoli, czy to wprost państwowych, czy też prywatnych, uprzywilejowanych przez państwo, to choćby Konstytucja kraju najuroczyściej gwarantowała prawo własności, pozostanie ono prawem papierowem, bez ekonomicznej treści. Szuka ktoś zatrudnienia swoich zdolności i kapitału. Tu natrafia na monopol państwowy czy prywatny, tam potrzeba mieć koncesję i opłacić się za nią, gdzieindziej znowu grozi współzawodnictwo państwowego przedsiębiorstwa, które nie płaci podatków, albo ma zabezpieczone rządowe dostawy po lepszych cenach. Co zostaje do roboty? Nie każdy zechce trudnić się przemysłem, lichwą lub sprzedawać wodę sodową.

Następnie ogromne znaczenie ma okoliczność, czy działalność zarobkowa, oparta na własności prywatnej, jest opłacalna. Jeżeli widzi się w chęci zysku skuteczny motyw działalności gospodarczej, nie można stwarzać warunków, w których uniemożliwione jest działanie tego motywu. To lub inne przedsiębiorstwo może upaść i zjawisko to jest normalnem w ustroju własności prywatnej, który eliminuje twory, do życia niezdolne. Ale jeżeli polityka społeczno - gospodarcza państwa odbiera rentowność całym gałęziom wytwórczości, jeżeli nakłada na nie ciężary wyjątkowe, jak się to działo z własnością nieruchomością miejską, to w tym wypadku własność prywatna pozostaje nią tylko na papierze. Niekiedy znowu ustawo-

dawstwo podatkowe obciąża tak wysoko dochody, że nicznie chęć zwiększenia tego dochodu, a więc prowadzenia bardziej intensywniej działalności gospodarczej, gdyż wtedy pracuje się nie dla siebie, lecz dla skarbu (skarb zresztą odnosi z tego mały pożytek).

Podstawą własności prywatnej jest jej bezpieczeństwo. Wszystkie ustawodawstwa znają wypadki wywłaszczenia w imię celów publicznych. Ale godzi się to z régime'em prywatnej własności o tyle, o ile wywłaszczony naprawdę otrzymuje odszkodowanie. Wywłaszczenie bez odszkodowania, albo z odszkodowaniem czysto symbolicznem, oznacza już stanowczy krok w kierunku kolektywizmu. Choćby nawet na ruinach dawnej własności powstawała nowa własność, bardziej mocna, bo rozproszkowana, to jednak taki system podcina zasadniczo wolną oszczędność, na długie lata utrudnia przyrost kapitału.

Istnieją jednak inne jeszcze drogi, na których odbiera się istotną treść własności prywatnej, choć zachowuje się jej pozory. Państwo czasami, zwłaszcza po doświadczeniach z bezpośrednią swoją gospodarką, nie mając do dyspozycji kapitałów, może zrezygnować z rozszerzenia swojej własności, ale rozciąga kontrolę nad własnością prywatną. Wyraz „kontrola” jest wieloznaczny. Zasadniczo wszystko, co jest w państwie, pozostaje pod jego kontrolą. Nawet w idealnie liberalnem państwie nie znosi się mocy tych postanowień kodeksu cywilnego i karnego, które ograniczają własność i zapobiegają jej nadużyciom. Jakie jednak są granice kontroli, które nie pozostają w sprzeczności z prywatną własnością?

Przedewszystkiem ograniczenia własności prywatnej i uprawnienia nadzorcze organów państwowych muszą być ściśle określone, oparte na podstawach prawnych. Wykonywanie własności nie może zależeć od woli czy samowoli urzędnika administracyjnego, który każdej chwili może wydać zarządzenie, sięgające głęboko w podstawy tego lub innego gospodarstwa, kierunek jego produkcji, jego kalkulację. Następnie istnienie gospodarstwa nie może wisieć w powietrzu, zależnie od każdorazowej decyzji władzy państwowej. Różne względy publiczne wymagają, by uzależnić dostęp do niektórych zawodów od spełnie-

nia pewnych warunków, względnie by dostęp do nich ograniczyć przez system koncesyjny. Korzystanie z raz udzielonej koncesji może zależeć od ściśle określonych warunków; kto je spełnia, ten powinien czuć się bezpieczny na swoim warsztacie pracy. A natomiast gdyby każda praca, każda działalność zarobkowa, zależała od koncesji, która każdej chwili dowolnie może być cofnięta, zanikłoby bezpieczeństwo własności.

Opinia publiczna domaga się kontroli nad wielkimi koncernami, nad kartelami, i ma do tego obiektywne powody. Jak daleko ma sięgać wpływ państwa w tej dziedzinie, o tem już była mowa. Ogólnie trzeba stwierdzić, że ta kontrola państwa nie może zacierać odpowiedzialności przedsiębiorców. Kto ponosi odpowiedzialność, musi mieć swobodę działania na własny rachunek. Gdyby państwo dyktowało ceny, rozstrzygało o stanie zatrudnienia, o płacach i t. d., to ten system prowadzi automatycznie do bezpośredniego etatyzmu, do przejęcia na rachunek państwa całych działów produkcji.

3. Jakie są ogólne zadania państwa w gospodarstwie narodowym? Naród, za pośrednictwem państwa, prowadzi politykę gospodarczą i finansową. Państwo ponosi odpowiedzialność za bilans handlowy i płatniczy kraju, za równowagę społeczną, za rozwój wzajemnego stosunku różnych działów produkcji, za sprawność aparatu pieniężnego. Ale planowa polityka gospodarcza państwa nie oznacza, że władza wykonawcza jest kierownikiem całej masy gospodarstw, z których składa się gospodarstwo narodowe. Zadaniem państwa jest wskazać ogólne ramy rozwoju, jego kierunek, a nie wyręczać poszczególnych gospodarstw w ich gospodarczej działalności. Jeżeli np. państwo wprowadza system ochrony celnej, ogranicza zagraniczną konkurencję, to zacieśnia niewątpliwie sferę inicjatywy prywatnej, ale zostawia, w granicach gospodarstwa narodowego, wolność gospodarczą z jej dodatkami skutkami. Gdy jednak reguluje handel zagraniczny w ten sposób, że każdy, kto tym handlem chce się trudnić, musi dostać indywidualne pozwolenie od władzy na daną transakcję, wówczas nie ma już w tej dziedzinie swobodnej gry sił gospodarczych; co najwyżej, skutkiem interwencji pań-

stwa, może się rozwinąć nowy rodzaj handlu, nielegalny handel pozwoleniami przywozu i wywozu. Coprawda i w tej dziedzinie działa znowu tak zw. prawo popytu i podaży, ale to mała pociecha.

Państwo wówczas przekracza dopuszczalne granice, gdy w związku z jego zbyt daleko posuniętą interwencją na czoło życia gospodarczego kraju wysuwają się ludzie, których wartości nie stanowią zdolności techniczne i handlowe, lecz umiejętność „rozmawiania” z władzami, dobre z nimi stosunki, utrzymywane nieraz przez niemoralne „ofiary” pieniężne. Czasami władza państwowa narzuca swoich ludzi przedsiębiorstwom przemysłowym, którzy nie mają pojęcia o przemyśle. Następuje faktyczna etatyzacja prywatnej wytwórczości, zanika jej prężność, inicjatywa, potrzeba robienia wysiłków, by zdobyć nowe rynki zbytu, by obniżyć koszty produkcji. W cieniu ścisłej opieki i nadzoru państwa wyrastają grzyby nepotyzmu i korupcji.

Politykę gospodarczą prowadzi państwo, ale nie tylko państwo. Każdy, kto jest czynnym w życiu gospodarczym, ponosi odpowiedzialność za jego losy. Nie może tracić z oczu swojego zysku, nie powinien jednak zapominać o ogólniejszych sprawach gospodarczych. A gdy uczestnicy produkcji są zorganizowani w związki, czy to zawodowe robotnicze, czy też w związki przedsiębiorców, stają się już czynnikami polityki gospodarczej. Zadaniem państwa jest koordynować działalność różnych związków i instytucji społecznych. Nie zawsze potrzebuje działać przy pomocy przymusu, może nieraz dawać dobre rady, pobudzać inicjatywę, otwierać szersze horyzonty przed życiem gospodarczym. Jego inicjatywa nie natrafi na nieufność i opór, o ile będzie wiadome, że państwo nie dąży do wyrugowania przedsiębiorstw prywatnych, do zastąpienia ich swoją bezpośrednią działalnością, lecz chce im pomóc w rozwoju, chce upowszechnić własność prywatną.

Istnieją zresztą specjalne powody, przeważnie natury pozagospodarczej, dla których państwo bierze na siebie bezpośrednio działalność gospodarczą. Niema ekonomisty, nawet liberalnego, któryby twierdził, że państwo po-

winno wyzbyć się swoich lasów. Nie może państwo wyrzec się swoich zadań z zakresu polityki socjalnej, oddziaływania na strukturę społeczną narodu. Ale interwencja państwa w tej dziedzinie zależy bezpośrednio od siły, od zdolności płatniczej prywatnych gospodarstw. Państwo nie tworzy nowych kapitałów, ani nie zdobywa dochodu czystego lepiej, niż gospodarstwa prywatne. Państwo może skierować pewne zasoby ku określonym celom publicznym, ale te zasoby musi samo z siebie wytworzyć gospodarstwo narodowe. Wpływ państwa na rozdział dochodu społecznego wtedy może być skuteczny, gdy wzrasta dochód społeczny, wytwarzany poza państwem.

Zadaniem gospodarstwa jest służyć ogólnym celom narodu. Niezależność gospodarcza jest podstawą niezależności politycznej. Gdy ta niezależność gospodarcza jest zagrożona, gdy np. przewaga obcego kapitału jest wyraźna, nic dziwnego, że budzi się przeciw temu reakcja. Przecież nikt tego nie zniesie, by Polska miała być rządzona przez międzynarodowe koncerny, by nie mogła prowadzić własnej polityki gospodarczej. Ale najlepszą drogą wyzwolenia się od obcego kapitału jest sprzyjać powstawaniu kapitałów rodzimych. I wtedy trzeba obrać jedynie skuteczną drogę, to znaczy oprzeć się na własności prywatnej. Kto nie chce być zależny od wierzyciela, powinien tak swoje życie urządzić, by nie potrzebował biegać za tym wierzycielem. Rządowi międzynarodowego kapitału sprzyja właśnie system gospodarczy, w którym państwo zabrnęło daleko w gospodarkę planową. Bo wtedy potrzebuje kredytu, jest w ciągłych trudnościach finansowych i musi kapitałowi zagranicznemu dawać duże koncesje gospodarcze, a nawet i polityczne. Podkopanie znaczenia prywatnej wytwórczości potęguje rolę kapitałów obcych, które przychodzą do kraju, wyposażone w różne przywileje, które potrafią tam trafić w obronie swoich interesów, gdzie krajowy wytwórca ma drzwi zamknięte.

4. W każdym razie w przyjmowaniu przez państwo różnych zadań trzeba zachować ostrożność i miarę, zwłaszcza w naszych warunkach.

Może ktoś być zupełnym sceptykiem w swoich poglądach na zasady czy prawa ekonomiczne, które mają rzą-

dzić życiem gospodarczem; odrzucać każdą doktrynę, liberalną czy socjalistyczną, a brać za punkt wyjścia konkretne trudności i zagadnienia. A więc widzi spustoszenie, które wywołuje kryzys gospodarczy. Widzi nieporadność żywiołów, dominujących w życiu gospodarczem, a zarazem silny napór opinii publicznej, by zło usunąć, by złagodzić klęskę. Z tego wniosek: niechaj państwo niesie ratunek! Co będzie potem, o to mniejsza, byle nastąpi ulga w ciężkiem położeniu, byle odwrócić katastrofę gospodarczą i związane z nią niebezpieczeństwa społeczne.

Nie wdajmy się w spory o doktryny. Przyjmijmy na chwilę założenie, że obecny ustrój zbankrutował. Stańmy na stanowisku, że państwu przypadają bardzo wielkie zadania gospodarcze, nie lękajmy się państwa, jakby jakiegoś Lewiatana, który wszystko pożera i zagarnia. Ale nie zwalnia to nas od pytania, jakimi siłami państwo rozporządza, jak jest przygotowane do nowej roli, do nowych, wielkich zadań.

Niema jakiegoś abstrakcyjnego państwa, wyposażonego w tajemnicze siły. Ustawy nie mają cudotwórczej mocy, a nie zawsze nabiera się rozumu przez to, że się zagarnia władzę. W teorii można być zwolennikiem lub przeciwnikiem etatyzmu. Ale nawet jego zwolennik, nawet ten, kto bardzo krytycznie patrzy na rezultaty dotychczasowej gospodarki, lub bynajmniej nie wielbi rządów kapitału, musi się nad tem zastanowić, czy państwo potrafi ten kapitał zastąpić w rozwoju życia gospodarczego, czy będzie lepszą państwową gospodarką.

Wszystko sprowadza się w końcu do tego, jakimi ludźmi rozporządza państwo, jakie są zdolności i właściwości aparatu rządzącego. Nowe zadanie, to zarazem nowe trudności. Nie odrazu zbudowano administrację państwową. Stare funkcje państwa, jak obrona kraju, sądownictwo, administracja ogólna, szkolnictwo, mają swoje doświadczenia, tradycje, swoje kadry i wzory. Ale gdy państwo zagarnia rządy nad życiem gospodarczem, to staje przed niemi wprost niesłychane trudności: jak zorganizować administrację gospodarczą, skąd wziąć ludzi, jak ich dobrać?

Mógłby ktoś powiedzieć, że jeżeli państwo ogranicza i usuwa prywatne przedsiębiorstwa, to ma do dyspozycji

ludzi fachowych, którzy pracowali dotychczas w przemyśle i handlu; dyrektorzy prywatnych fabryk zostają dyrektorami państwowych fabryk i sprawa skończona.

Jednakże dobór personelu w administracji państwowej odbywa się inaczej, niż w prywatnej przedsiębiorczości. Państwo jest organizacją władzy i przez to jest organizacją polityczną. Nigdy okoliczność, jaka grupa polityczna sprawuje władzę, nie pozostanie bez wpływu na dobór organów wykonawczych. Ostatecznie np. w szkolnictwie, w wojsku, w sądownictwie, mogą być przez tradycję i ustawy już ustalone kryteria, na których podstawie odbywa się dobór personelu. Natomiast z kierowniczymi stanowiskami w gospodarstwie państwowym jest inaczej. Każdy zna przykłady różnych genjuszów domowego chowu, którzy zbawiali i zbawiają nasze gospodarstwo. Nie wymaga się by człowiek, powołany na wysokie stanowisko, naprawdę coś umiał.

Ale jest jeszcze inna trudność. Jeżeli państwo prowadzi bezpośrednią działalność gospodarczą, wyręcza prywatne gospodarstwo, to zmiana dotyczy nie tylko podmiotu gospodarującego. Gospodarka państwowa z natury rzeczy ma inne zadania i inny charakter, niż gospodarka prywatna. Nawet najbardziej skomercjalizowane przedsiębiorstwo państwowe jest zasadniczo różne od prywatnego przedsiębiorstwa. Zadania gospodarki państwowej są bardziej trudne, bardziej skomplikowane. Państwo przez to samo, że przejmuje kontrolę nad życiem gospodarczym, stwarza nowe problemy, nowe zagrożenia. Jeżeli ten wzrost funkcji gospodarczych państwa odbywa się gwałtownie, powstaje chaos, szerzy się dyletantyzm i cały ten interes bardzo wiele kosztuje.

Istniały przedsiębiorstwa państwowe, prowadzone wzorowo, np. pruskie koleje państwowe. Ale stało się to możliwym dzięki temu, że Prusy miały doskonałe tradycje administracyjne, dobrą biurokrację i że te koleje rozrastały się stopniowo, ulepszały się dzięki ciągłym doświadczeniom. Ale inne wyniki dały już próby socjalizacji wytwórczości po wojnie w Niemczech i innych krajach. Nasze doświadczenia w dziedzinie gospodarki aprowizacyjnej, handlowej, a także i bankowej są bardzo wymowne.

A jeszcze z jedną okolicznością trzeba się liczyć. Najbardziej trudnemi działami administracji państwowej są te, w których istnieje największa możność popełniania nadużyć; a więc dawanie bardzo rozległych uprawnień państwowej administracji, gdy równocześnie kontrola jest utrudniona, jest poprostu szkołą demoralizacji. A z tym czynnikiem bardzo trzeba się liczyć w dzisiejszych, powojennych czasach.

Zakres działania państwa nie może być oznaczony przez odruchy, nie może być dziełem improwizacji. Państwo w interesie swojej powagi, poprostu w interesie swojej trwałości, powinno brać na siebie tylko te zadania, które w danych warunkach historycznych może dobrze spełnić. Młodość odznacza się dobrym apetytem. Młode administracje cechuje również wielka żarłoczność. Połykają one więcej, niż mogą strawić. A z tego wynikają ogromne szkody tak dla państwa, jak i dla gospodarstwa.

Do czegośmy doszli na drodze wszechstronnej opieki państwa nad życiem społecznem i gospodarczem, jakie interwencja państwowa przyniosła rezultaty? Państwo u nas zorganizowało kredyt, reglementuje stopę procentową, a mamy lichwę tak rozwiniętą jak chyba nigdzie, brak kapitału na najniezbędniejsze potrzeby. Ustawodawstwo społeczne ma być u nas najbardziej postępowe w świecie; a równocześnie płace robotnicze są bardzo niskie, w chałupnictwie uprawia się niezmierny wyzysk, a na bezrobotnych nie starczy funduszków. Obok wysoko opodatkowanego przemysłu i handlu kwitnie przemysł i handel nielegalny, który podatków nie płaci. Państwo wzięło na siebie odpowiedzialność za bezpośrednie podtrzymywanie cen płodów rolnych przez zakupy zbożowe, a nie widać tego, by potrafiło opanować ruch cen zboża. Różne przedsiębiorstwa państwowe miały dawać dochody; w rzeczywistości ich deficyty trzeba pokrywać z podatków. Wiele ustaw, regulujących życie gospodarcze, nie jest wykonywanych; podkopuje to poczucie prawne społeczeństwa, co także i życiu gospodarczemu nie wychodzi na dobre.

5. A teraz zwróćmy uwagę na to, jaki pośredni wychowawczy wpływ wywiera rozrost funkcji gospodar-

czych państwa, etatyzm i interwencjonizm w różnych postaciach.

Każdy kierunek polityczno - ekonomiczny, każdy system rządzenia gospodarstwem, wywiera, poza swojemi bezpośrednimi skutkami, także pewien wpływ wychowawczy na rządzone społeczeństwo. Urabia jego psychikę, jego nastroje, kształtuje jego stosunek do państwa. A szczególnie daleko posunięty interwencjonizm już przez to samo, że wkracza głęboko w życie codzienne i codzienne interesy jednostek i grup społecznych, oddziałuje bardzo głęboko i szeroko. Wpływ interwencjonizmu sięga bardzo daleko poza sferę czysto gospodarczą. Jego skutki powinien rozważyć nie tylko ekonomista, lecz nawet i polityk, któremu obce są zagadnienia ekonomiczne.

Stosunek obywatela do państwa układa się według jego pojęć o zakresie zadań państwa i według jego mniemania o tem, jak państwo te zadania wypełnia. Gdy w przekonaniu mas władza państwowa ma bardzo rozległe zadania, to wtedy więcej się od państwa wymaga, więcej od niego oczekuje. Kiedy te nadzieje okażą się zawodne, opinia publiczna chce zmienić rząd. Czasami jednak reakcja idzie jeszcze dalej. Zwraca się już nie przeciw rządowi, lecz przeciw prawom zasadniczym, przeciw ustrojowi społecznemu, poprostu mówiąc, przeciw państwu. Czasami wyrazi się to w apatji i zniechęceniu; czasami znowu ten nastrój jest podłożem odśrodkowych ruchów rewolucyjnych.

Obywatele wymagają od państwa, by ono utrzymało ład i porządek nawewnątrz, a bezpieczeństwo nazewnątrz. Wymagają zabezpieczenia spokoju i porządku prawnego. Na to wszyscy się godzą. Powszechnie również wymaga się od państwa spełnienia pewnych zadań oświatowo - kulturalnych, nakłada się na nie określone obowiązki w zakresie opieki społecznej i kultury, jak również w zakresie ogólnej polityki gospodarczej. Jednakże interwencjonizm, etatyzm i tym podobne kierunki, które chcą zabezpieczyć państwu bezwzględną przewagę nad prywatnem gospodarstwem, idą jeszcze dalej. Kierunki te, czy chcą czy nie chcą, czynią państwo odpowiedzial-

nem za byt materialny jednostki; za to, czy opłaca jej gospodarstwo, czy ma taką pozycję socjalną, jaką mieć pragnie.

Interwencjonizm mówi ludziom: państwo poradzi na wszystko, byle miało więcej uprawnień, byle rozszerzyć jego gospodarstwo. Wystawia weksle na bardzo wysokie sumy. Zaciąga zobowiązania, które bardzo trudno wypełnić w dzisiejszych ciężkich czasach. Gdy przychodzi termin płatności tych zobowiązań, zjawia się wielkie rozczarowanie, które potęguje radykalizm, wysuwa na powierzchnię ludzi, ofiarujących wyższą cenę licytacyjną, wreszcie wprost podnieca dążności przewrótowe.

Państwo, nie hołdujące zasadzie bezwzględności interwencjonizmu, nie bierze bezpośredniego udziału w walkach o wysokość płacy robotniczej. Gdy wybuchnie strajk, czuwa nad tem, by ten strajk nie doprowadził do zaburzeń społecznych i gwałtów; wkracza energiczniej wtedy, gdy walka strajkowa bezpośrednio zagraża interesowi publicznemu, np. bezpieczeństwu kraju. Inaczej jest w razie przymusowego arbitrażu państwowego. Wtedy w rzeczywistości wysokość płac jest określona przez państwo. Wówczas robotnik wie, że za niedostateczną płacę ponosi odpowiedzialność już nie przedsiębiorca, lecz rząd, i łatwo może się zdarzyć, że taka reforma, która miała złagodzić walki klasowe, po pewnym czasie te walki zaostrza. Zdobycie władzy w państwie staje się bezpośrednim narzędziem walki o byt materialny.

Te obawy i niebezpieczeństwa istniały nawet w uporządkowanych warunkach, gdy produkcja wzrastała i dobrobyt był coraz większy, gdy można było poprawiać rozdział dochodu społecznego, bo było co dzielić. Ale dzisiaj w dobie chronicznego kryzysu, gdy wielu państwom zagraża widmo zubożenia, odpowiedzialność interwencjonizmu jest bez porównania większa, niż dawniej była. W tej atmosferze napór na państwo staje się coraz większy. Gdy nie spełniają się nadzieje na to, że każdy obywatel będzie miał dobrobyt, słabnie moralny autorytet państwa, a utrzymanie spokoju wymaga coraz bezwzględniejszego stosowania siły. Gospodarstwo w stylu bolszewickim i niewolnictwo są z sobą ściśle związane.

A już wielką lekkomyślnością — by nie użyć ostrzejszego wyrażenia — było szerzenie u nas wiary w wszechpotęgę państwa w dziedzinie gospodarczej, w państwie, powstałem do nowego życia po półtorawiekowej przerwie, powstałem w tak trudnych warunkach. Istnieją całe połacie kraju, gdzie instynkty państwowe są jeszcze dość słabe. Instynkty te rozwijać trzeba niewątpliwie i w drodze przymusu. Ale największa siła fizyczna jest słaba, gdy w parze z nią nie idzie siła moralna. Gdy państwo zbyt wiele obiecuje, to wtedy słabnie powaga władzy. A wtedy i rządzenie staje się trudniejsze.

Jest wielką lekkomyślnością, gdy się na barki państwa wkłada zadania, których nie udźwignie, gdy się mu przyznaje uprawnienia, z których w całej rozciągłości nie może skorzystać. Wygodnym narazie może się wydawać system tak zw. silnego rządu, system wszechwładzy administracyjnej. Ale od silnego rządu oczekuje społeczeństwo czegoś więcej, niż od rządu ograniczonego, od rządu, który nie wziął w swoje ręce decyzji o losach milionów gospodarstw prywatnych. Boleśniejsem jest rozczarowanie. Gdy się rozszerza zakres państwowej interwencji na coraz to nowe dziedziny, gdy się nauczyło widzieć w rządzie wszechopiekuna i wszechdobroczyncę, to wówczas nie robią wrażenia wywody, że kryzys jest w całym świecie i że wszystkiemu jest winna zła konjunktura.

Niema praw bez obowiązków. Kto zbyt zachłannie zdobywał najrozmaitsze uprawnienia dla administracji państwowej, kto systematycznie ograniczał zakres prywatnego gospodarstwa, ten w gruncie rzeczy osłabił powagę państwa. Nauczył ludzi wszystkiego od państwa oczekiwać. Złe ich wychował.

W czasie niewoli organizowaliśmy nasze życie gospodarcze przeważnie poza państwem, częściowo nawet wbrew państwu. Prężność ekonomiczna żywiołu polskiego pod panowaniem pruskim budziła podziw nawet u obcych. Po odzyskaniu niepodległości skurczyła się ogromnie praca społeczna. Nietylko, że państwo zagarnęło różne dziedziny, lecz wytworzyła się i w społeczeństwie bardzo szkodliwe przeświadczenie, że wszystkiego można od państwa oczekiwać, że państwo powinno po-

magać każdej działalności prywatno - gospodarczej, że jego obowiązkiem jest wspierać wszystkich — silnych czy słabych, ziemian czy chłopów, fabrykantów czy robotników. Na tem tle osłabła twórcza inicjatywa jednostek, osłabła wolna praca społeczna. A tymczasem widzimy, że bardzo wielu rzeczy można dokonać poza państwem. Rusini w dawnej Galicji Wschodniej nie bujają w obłokach, nie oczekują cudów od jakiegoś nowego ustroju, lecz bez subwencji, bez większych kredytów państwowych, organizują wytrwale swoje życie gospodarcze, tworzą, idąc za naszym ale przedwojennym przykładem, „ruską wspólnotę w polskim państwie”. A żywioł polski na tym terenie jest słaby — także ekonomicznie. Nie wolno chować głowy w piasek: jeżeli ta psychika, która nie rozwija wolnej inicjatywy, samodzielności gospodarczej, liczenia na własne siły, zadawalania się małym zyskiem, nie ulegnie zmianie, czekają nas duże klęski. Na nic się nie zda energiczniejsza pomoc państwa, albo jakieś nowe „gospodarstwo planowe”.

6. Mógłby ktoś jednak zrobić zarzut, że przypisywanie twórczej roli dążeniu do zysku jest gloryfikacją egoizmu. Ale trzeba stać na gruncie rzeczywistości. Gdy chodzi o osiągnięcie pewnych celów ekonomicznych, to różne motywy działania należy oceniać według ich skutków. Żądza posiadania jest bardzo silna — z tym faktem trzeba się liczyć. Może ktoś propagować ideę, by wyrzekać się majątku i rozdawać go biednym, podnieść ubóstwo do najwyższej godności — niechaj prowadzi tę propagandę, ale nie może mieć pretensji do tego, by jego hasła stały się podstawą polityki ekonomicznej.

A zresztą, czy chęć zarobku, chęć oszczędzania, podniesienia swojej pozycji ekonomicznej, jest zasadniczo niemoralna? Niemoralnym jest nie ten, kto uczciwie zarabia, lecz ten, kto ma taką pogardę dla pieniądza, że pożyczka go od innych, nie wiedząc, z czego go odda. Niemoralnym jest ten, kto żyje na koszt ogółu. Moralnym obowiązkiem człowieka jest zabezpieczyć ile możliwości przyszłość jego dzieci. A przecież wielu ludzi przedewszystkiem dla nich zarabia, dla nich pracuje. Niewątpliwie istnieje ścisły związek między ustrojem rodziny a ustrojem własności. Rodzina in-

dywidualna wiąże się ściśle z własnością prywatną; te dwie instytucje idą z sobą w parze. I nie jest przypadkiem, że bolszewizm zwalcza równocześnie i własność prywatną i rodzinę. Z chwilą, gdy państwo odbierze ludziom swobodę gospodarczą, automatycznie odbierze także dzieci rodzicom. Racjonalizując gospodarkę, zrationalizuje także „produkcję” dzieci. Będzie ją regulowało zależnie od swoich planów gospodarczych. Będzie je kształciło na swoją modłę. W gospodarstwie planowem, doprowadzonym oczywiście do ostatnich granic, człowiek stanie się maszyną. Będzie bezpośrednio zależny od państwa, jemu wszystko będzie zawdzięczał. Rodzina jest także pewną wspólnotą ekonomiczną, ale tylko w régime’ie własności prywatnej. I w tem właśnie wyraża się wiekowa mądrość kościoła, że bronią instytucji małżeństwa, broni także i instytucji własności prywatnej, co tak głęboki wyraz znalazło w liście pasterskim ks. Prymasa Hlonda.

Zwolennicy „gospodarki planowej” ułatwiają sobie zadanie w polemice, gdy każdego, kto poddaje ją krytyce, pasują na liberała, na wyznawcę kierunku, który w wolnej konkurencji, w wolnym handlu w świecie, widzi alfę i omegę swojego programu. Otóż należy tu odróżnić liberalizm ekonomiczny od liberalizmu, który w dążeniu do zysku, w wolnej zupełnie grze sił ekonomicznych widzi podstawę ustroju społecznego. A w hasle wolności ekonomicznej trzeba odróżnić wolność handlu światowego, międzynarodowy podział pracy, od wolności wewnątrz gospodarstwa narodowego. Może ktoś być zwolennikiem kolektywizmu, a równocześnie głosić wolność handlu międzynarodowego; można stać na gruncie jednoci gospodarstwa narodowego, odgradzać je nawet od innych, a równocześnie widzieć w wewnętrznej wolności główną sprężynę gospodarczego rozwoju.

Instytucji własności prywatnej, jako zasady rozwijania działalności gospodarczej, nie stworzył dopiero liberalizm. Istniała ona w różnych epokach, od tysięcy lat; nawet we wczesnem średniowieczu indywidualizm gospodarczy zaznaczał swoją skłócającą siłę. Wolność gospodarcza jest dla nas narzędziem skutecznego rozwoju gospodarczego, oczywiście w granicach, o których mówiliśmy poprzednio. Ale

nie jest podstawą więzi społecznej. Na prawach jednostki, na dążeniu do zarobku, nie można opierać istoty społeczeństwa. Dążenie do zysku, walka zarobkowa, sama przez się, nie wprowadza jeszcze harmonii społecznej; przeciwnie, jedność społeczeństw, a przedewszystkiem w dzisiejszej epoce dziejów, jedność narodu, opiera się na podstawach pozagospodarczych. Naród jest przedewszystkiem moralną jednością; wspólne tradycje, kultura, religja i t. d., wspólne wierzenia, są czynnikiem, spajającym różne gospodarstwa w jedną całość, hamującym bezwzględną walkę gospodarczą, czynnikiem równowagi warstw i klas społecznych. Własność prywatna, działalność gospodarcza prowadzona na własny rachunek, daje podstawy pod siłę gospodarczą narodu; ale sama przez się nie tworzy jeszcze tej siły, muszą przyjść inne jeszcze pierwiastki, które zespolą gospodarstwo z innymi przejawami życia i twórczości narodu.

Spółeczeństwo, któreby za główną swoją ideę wzięło walkę o byt ekonomiczny jednostek, w któreby chęć wzbogacenia się górowała nad wszelkimi innymi dążeniami i uczuciami, ugrzęzłoby w bardzo poziomym materjałizmie. Stałoby się terenem nieskończonych walk gospodarczych, co doprowadziłoby także i do jego ekonomicznego upadku. Gdyby w hierarchji życiowych wartości pierwsze miejsce zajął pieniądz, to wówczas nastąpiłby upadek moralności i kultury. Żądza posiadania i użycia musi mieć swoje hamulce — znajduje je w religji, w poczuciu narodowym, które poszczególne jednostki wznosi ponad codzienną walkę o byt i dobrobyt, stawia przed niemi wyższe uczucia i cele, a temsamem wprowadza ład i porządek w działanie egoizmu jednostek czy klas społecznych.

7. Dlatego też należy odrzucić liberalizm, jako pogląd na świat, który na pierwszy plan wysuwa prawa jednostki. Nie godzi się on z podstawowymi ideami kierunku narodowego. Ale czy z tak zw. „nacjonalizmem” godzi się wolność gospodarcza; czy jeżeli za podstawowe ugrupowanie społeczne uważa się naród, przez to samo i w dziedzinie gospodarczej nie idzie się wyraźnie przeciw jednostce, nie ogranicza zasadniczo jej wolności gospodarczej?

„Nacjonalizm” nie jest kierunkiem uniwersalnym, któryby miał jedną doktrynę, w szczególności jeden pogląd na życie gospodarcze. Ścisłe biorąc, niema nacjonalizmu, są tylko różne nacjonalizmy, jeżeli już mamy posługiwać się tym terminem. W pewnych wypadkach wolność gospodarcza może służyć najlepiej potędze narodu, jego ekspansji; w innych znowu bardziej skutecznym będzie inny system ekonomiczny. Nikt nie zaprzeczy temu, że hasła wolnego handlu, międzynarodowego podziału pracy, które od końca XVIII wieku wychodziły głównie z Anglii, posiadającej przemysł wyżej rozwinięty niż w innych krajach, walcie przyczyniły się do ugruntowania jej potęgi w świecie. Adam Smith więcej dla niej zrobił, niż niejeden wielki mąż stanu, wyznający otwarcie zasadę: „right or wrong, my country”. Mussoliniego nie posądzi nikt o brak „nacjonalizmu”, a przecież Mussolini jest dzisiaj zwolennikiem zniesienia ograniczeń wolności gospodarczej w handlu międzynarodowym, zwalcza wymownie „barjery celne”; widocznie widzi w zwycięstwie międzynarodowej wolności gospodarczej bezpośrednie korzyści swojego narodu.

Stawiamy wyżej wspólność narodową nad prawa jednostki. Naród, to nietylko żyjące pokolenie, lecz i te, które przedtem żyły i które po nas przyjdą. Ale naród, w danej chwili, składa się z żywych ludzi, z ich gospodarstwami. Niema powodu przypuszczać, że między interesem gospodarczym jednostek a interesem gospodarstwa narodowego zachodzi zasadnicza sprzeczność. Naród wymaga od swoich członków, w razie potrzeby, ofiar z życia i mienia. Jeżeli jednak zostawienie wolności gospodarczej wzmacnia siłę całego gospodarstwa narodowego, jeżeli uważa się, na podstawie doświadczeń własnych i cudzych, że upaństwowienie gospodarstwa, przejęcie przez państwo całej za nie odpowiedzialności, nie ugruntuje potęgi gospodarczej, należy odrzucić ten system, właśnie w imię interesów narodu, a nie praw jednostki.

Kierunek narodowy uważa państwo za narzędzie urzeczywistnienia swoich idei. Nie pojmuje władzy państwowej, w szczególności władzy wykonawczej, jako jedyne go wcielenia narodowego ducha, nie widzi w niej wyłącznej

dziedziny narodowej twórczości. Naród żyje przez państwo, lecz także i poza państwem. Żyje w trwałych instytucjach, które coprawda pozostają pod opieką państwa, lecz mają swój byt niezależny od woli każdorazowej władzy wykonawczej, od decyzji rządu. Widząc w religii źródło siły narodu, nie dąży do tego, by upaństwowić kościół, by z niego zrobić departament administracji państwowej. Uznaje prawa rodziny, nie odbiera rodzicom wpływu na wychowanie dzieci. Do udziału w polityce gospodarczej powołuje także i związki społeczne, chce w nich rozbudzić poczucie odpowiedzialności za losy całego narodu. Zgodnie z tem i w prywatnej działalności gospodarczej widzi źródło narodowej siły i dlatego wprowadza przymus w gospodarstwie tylko wtedy, gdy tego wymagają ogólnonarodowe względy. Wartość całego gospodarstwa narodowego w bardzo znacznym stopniu zależy od ludzi, którzy prowadzą na własny rachunek gospodarczą działalność, od ich zdolności i charakteru. I oni ponoszą odpowiedzialność za to, co robią.

Dlatego też nie można poprzestać na określeniu ogólnej polityki gospodarczej państwa, stosunku, który zachodzi w danej chwili między państwem a gospodarstwem. Trzeba się zapytać, jakie własności duchowe ujawniają ludzie, którzy rozwijają działalność gospodarczą, jakie są cechy ich charakteru, doniosłe dla gospodarstwa. Na dłuższą metę o losach narodu rozstrzyga jego charakter; wychowanie, w najszerszym wyrazu znaczeniu, może wydobyć na wierzch dobre cechy charakteru, a przytłumić wady narodowe. Kto zetknął się naprawdę z życiem publicznym, ten dobrze wie, co znaczą żywi ludzie, którzy mają urzeczywistniać idee i programy. Gdy ludzie są mało warci, najpiękniejsza myśl w wykonaniu stanie się karykaturą. Kto życie społeczne i gospodarcze pojmuje w sposób mechaniczny, szablonowy, ten obcy jest idei narodowej, gdyż naród nie jest abstrakcją, lecz żywą całością historyczną. Jego właściwości, jego tradycje, warunki, w których ten naród żyje, muszą być podstawą każdej polityki, także i polityki ekonomicznej.

ROZDZIAŁ XI.

WYCHOWANIE GOSPODARCZE.

1. Fatalizm ekonomiczny wyraża się nietylko w przekonaniu, że przebieg przesilenia nie da się opanować przez świadomą politykę gospodarczą. Istniał już dawniej w Polsce w innej postaci. Wartoby było wysledzić, na jakim tle powstała, przez kogo została zrobiona legenda o naszej niezdolności do handlu — może w tym celu, by handel zostawić żydom. Nie można negować oczywiście istnienia pewnych specjalnych uzdolnień rasowych. Charakter narodowy wyraża się także i w produkcji dóbr materialnych; i to zarówno w rodzaju wytwarzanych towarów, jak i w metodach, technice pracy, całej jej psychice. Nie zdołała tych różnic zatrzeć nawet mechanizacja i standaryzacja.

Wszakże istnienie specjalności narodowych nie upoważnia do wniosku, że całe narody muszą mieć jednostronny typ gospodarczy, jedne trudnić się np. tylko rolnictwem, drugie handlem i t. d. A już najbardziej zawodnem jest rozumowanie, że jeżeli jakiś naród przez wieki był niższym ekonomicznie, na zawsze takim musi pozostać. Słusznie pisze R. Michels: „Historja rozwoju poszczególnych gospodarstw narodowych ostrzega usilnie przed stawianiem zbyt apodyktycznych twierdzeń o rzekomym braku gospodarczych uzdolnień u poszczególnych ludów. W żadnej dziedzinie, jak w tej, rozwój nie napiętnował, jako kłamstwa, tylu pozornie niewzruszalnych

prawd. To, co uchodziło za pewnik etnologiczny lub psychologiczny, mający wieczną wartość, często było tylko przejściowym zjawiskiem, zależnym od warunków politycznych i ekonomicznych¹⁾.

Możnaby przytoczyć mnóstwo przykładów tego twierdzenia. R. Michels wspomina o tem, że według Genovesiego Niemcy nie będą miały nigdy handlu i przemysłu, ani gęstego zaludnienia. Gdy w Niemczech zbudowano pierwsze koleje, przestrzegał przed ich budową jeden Niemiec, mówiąc, że one nie odpowiadają charakterowi niemiec-kiemu, gdyż Niemiec nie potrafi się śpieszyć. Wielka Encyklopedia z XVIII w. uważała brak oszczędności za cechę narodową Francuzów.

Poglądy te powstawały na tle niższości ekonomicznej różnych narodów, co uważano za zjawisko stałe. Pewne właściwości, które ujawniły się w danym stadium rozwoju, uchodziły za coś trwałego, niezmiennego. A pozatem bierze się czasem partem pro toto; psychikę warstwy, która w danej chwili dominuje, przyjmuje się za psychikę całego narodu. Francuzi w XVIII w. byli rozrzutni, ale była taką rządzącą warstwa szlachecka. Gdy zaś w związku z przemianami społecznymi dochodzą do głosu inne warstwy, razem z niemi wysuwają się na czoło ich właściwości. Ewolucji Francji nowoczesnej nie potrafimy zrozumieć, jeżeli nie będziemy pamiętali o tem, że po arystokracji i warstwie szlacheckiej doszło do głosu mieszczaństwo, a obecnie coraz silnie chłop francuski waży na losach Francji.

Podobnie jest i z Polską. Możemy przytoczyć cały szereg przysłów, które mówią o „Polaku”: Co Polak wypije na dzień, Niemca majątek stanowi; gdzie dwóch Polaków, tam trzy strony; każdy Polak rodzi się do korony; nigdzie gościnność taka jak u Polaka; Polak do korda, Włoch do akorda; Polak jako małpa, co ujrzy, to chce mieć; Polak karku nie ugnie; Polak nie liczy, lecz bije; u Polaka co w sercu to na języku i t. d. Te przysłowia, mniej lub więcej mądre, mają tę wspólną cechę, że uogólniają pew-

¹⁾ R. Michels, *Wirtschaft und Bevölkerung*, str. 176. *Grundriss der Sozialökonomik* II. Abt. 1923.

ne, dobre lub złe właściwości, występujące z reguły u warstwy szlacheckiej, która rządziła Polską i nadawała ton życiu. Dzisiaj, gdy dochodzą do głosu inne warstwy, gdy skutkiem zmiany warunków ekonomicznych i kulturalnych zanikła dawna szlacheckość, przysłowia te w bardzo znacznej części straciły swoją aktualność.

Każda warstwa ludności w związku ze swoim pochodzeniem, swoimi funkcjami ekonomicznymi i t. d., wnosi pewne pierwiastki w ogólne życie narodu, które przerzucają się i na inne warstwy. Gdy dochodzi do władzy, ten proces odbywa się w przyspieszonym tempie. Z aliażu tych różnych składników formuje się charakter narodowy. Ma on pewne cechy stałe, urobione przez wieki, wspólne wszystkim, ale niektóre jego czynniki są zmienne. Dotyczy to zwłaszcza psychiki społeczno - gospodarczej, szczególnie od końca XVIII w., od kiedy w związku z rewolucją przemysłową, w związku z techniką, odbywają się wciąż wielkie przemiany społeczne, wciąż nowe warstwy wydobywają się na powierzchnię. Pomyślność narodu, jego rozwój gospodarczy, zależy w bardzo znacznym stopniu od tego, jak ukształtuje się jego psychika społeczna; czy nowe warstwy narzucają całemu narodowi swoje dodatnie wartości, czy też przejmą wady warstw dawniej rządzących, a nie potrafią utrzymać i rozwinąć ich dobrego dziedzictwa.

2. Można wpływać na kształtowanie się tej psychiki zbiorowej. Nie przez doraźne akty polityczno - gospodarcze, lecz przez działania, obliczone na dłuższą metę, czyli przez wychowanie narodu w najszerszym tego wyrazu znaczeniu. Wychowanie przez szkołę i poza szkołą, przez instytucję państwowe, organizację życia politycznego, przez literaturę i sztukę, przez opinię publiczną.

W obliczu nędzy gospodarczej i konieczności jej przezwyciężenia, podkreśla się nieraz potrzebę lepszego wychowania gospodarczego, uzbrojenia młodzieży w wiadomości, potrzebne w walce gospodarczej. Nie neguję, że niejedno w tym zakresie dałoby się zrobić, ale nie stanowi to istoty rzeczy. Potrzebną wiedzę ekonomiczną, handlową czy techniczną, można zdobyć w wyższych studiach nauki, można ją zdobyć w życiu. Zasadnicze zna-

czenie ma okoliczność, jak szkoła kształci charaktery, jakie właściwości duchowe rozwija i jakie tępi. Wychowanie musi być narodowem nie tylko w tem znaczeniu, że rozwija narodowe poczucie, opierając się na tradycjach narodu i jego odrębnościach kulturalnych, lecz również i przez to, że świadomie i planowo rozwija właściwości, których w danej epoce dziejów szczególnie narodowi potrzeba. Dzisiaj szkoły wypuszczają masy młodzieży, która z trudem znajduje możliwość życia. Jest obowiązkiem systemu wychowania i nauczania, by do tej ciężkiej walki jak najlepiej młodzież przygotować. Bez tego szkoła nie spełni swojego zadania.

Nie jest jednak rzeczą łatwą, by określić, które cechy charakteru narodowego są nam najbardziej potrzebne. A to z tego powodu, że badania nad zagadnieniami psychiki społecznej są mało rozwinięte. Przez długi czas te zagadnienia nie były modne. Usiłowano nawet poddawać w wątpliwość, czy coś takiego, jak charakter narodowy, wogóle istnieje. Mechaniczne pojmowanie procesów dziejowych dzisiaj co prawda zostało przezwyciężone. Po pracach Maxa Webera, Wernera Sombarta i innych, nikt nie zaprzeczy roli, którą odgrywa w gospodarstwie religia, rasa i inne zagospodarcze pierwiastki. Można przytoczyć już wiele faktów, stwierdzających przejawy charakteru narodowego nawet w najbardziej abstrakcyjnych badaniach, jak np. w ujmowaniu zjawisk z dziedziny fizyki przez uczonych różnych narodów. Ale daleko jeszcze do tego, by te badania nad psychiką narodów dawały systematyczny materiał, miały ustalone metody. Należą one dotychczas jeszcze więcej do dziedziny historjografii i literatury, niż nauki ścisłej.

Jednakże codzienna obserwacja dostarcza nam sporo materiału. Gdy istnieje zgodność spostrzeżeń nad naszym charakterem u swoich i obcych, gdy te same uogólnienia robi się co do najrozmaitszych dziedzin życia, to wówczas można się na nich opierać. Tak np. nie odmawia się zdolności naszemu uczonemu, artyście, robotnikowi. Ale bardzo częstym jest zarzut braku wytrwałości. Polak jest zdolny do wielkiego nawet wysiłku, przeważnie jednak na krótszą metę. Zaimprovizuje czasem cudowną rzecz, ale

swojego celu życiowego nie doprowadzi do końca. Przed wojną niemieccy profesorowie najczęściej mówili o swoich uczniach — Polakach: wielkie uzdolnienia, brakuje wytrwałości. To samo spostrzeżenie robiono nieraz w Paryżu o kształcących się tam artystach, co nawet znalazło niejedno odgłos i w literaturze. Jeden z francuskich powieściopisarzy wkłada w usta swego bohatera słowa: wyraz „persévérer“ nie istnieje w języku polskim (Georges Duhamel). Istotnie, z tych lub innych przyczyn, wiele jest u nas dzieł, wiele prac zaczętych, a nie dokończonych. Łatwo zniechęcamy się. Rzecz, która pochłaniała niedawno jeszcze temu wszystkie nasze siły, po pewnym czasie traci dla nas urok nowości, przerzucamy się do czego innego. Czy jest kraj na świecie, w którymby przejawiało się tyle inicjatywy, w którymby tyle powstawało nowych, pięknych rzeczy z wielkim nieraz hałasem, by po niedługim nawet czasie to wszystko utonęło w niepamięci? Mamy wiele ruin budowlanych. Zaczyna się, jak wiemy, nowe budowlę, choć nie skończyło się dawnych. Zakłada się coraz to nowe pisma, zamiast rozwinąć dawniejsze. Wiele stowarzyszeń, wiele związków, istnieje tylko na papierze, nie zajmują się nimi nawet ich inicjatorzy. Po ministerstwach, po urzędach przeprowadza się bez końca reorganizację. Zmienia się wciąż ustawy, chociaż nie przeszły one jeszcze przez próbę życia. W pracy państwowej brak jest poczucia ciągłości. Każdy kto przychodzi, chce od siebie zaczynać. Urok nowości przemawia silnie do naszej wyobraźni. Mniej jednak wrażliwi jesteśmy na urok dzieła, doprowadzonego do końca, na urok życia, poświęconego pewnemu, ściśle wytkniętemu celowi.

Brak wytrwałości może nawet mniejsze szkody przynieść w nauce czy sztuce, choć mówi się nieraz, że geniusz to cierpliwość. Można jednorazowym, wielkim wysiłkiem wygrać bitwę; ale wytrwałości wymaga wygranie wojny, a tem bardziej jej przygotowanie. A już wytrwałość jest niezbędnym warunkiem powodzenia w działalności gospodarczej. Kto chce odrazu zrobić majątek, kto chce w krótkim czasie mieć wielkie zarobki, ten zwykle celu nie osiąga, a czasem kończy w sądzie. Amerykańscy miljarderzy dlatego dorobili się wielkich fortun, że przez

długie lata umieli poprzestawać na małym, że nie zrażały ich niepowodzenia. W gospodarstwie niema cudów, jest codzienny, uparty wysiłek. Romantyk, który waży się na wielkie rzeczy, ale szybko się zniechęca, nie zdoła się utrzymać w dzisiejszem współzawodnictwie gospodarczem. Dotyczy to zarówno losów jednostek, jak i całych narodów.

Następnie w naszym życiu gospodarczem, jak również i w życiu codziennem, ujawnia się często brak solidności. Nie można tego uważać za jakąś trwałą wadę narodową. Nie występuje ona zresztą w równym stopniu u wszystkich. Niewątpliwie jednak istnieją powody, by na nią narzekać. Zbyt często się zdarza, że rzemieślnik nie wykona zamówienia na czas umówiony. Zbyt często przemysłowiec zaciąga zobowiązania, których potem nie może dopełnić. Znawczy naszego handlu zagranicznego piszą wyraźnie o tem, że brak solidności w stosunkach zagranicą, niedostarczanie na czas umówionego towaru, albo dostarczanie go w innej jakości, nienależyte płaćenie zobowiązań i t. d. wyrządza ogromne szkody naszemu wywozowi. Często jest niedbałość, wynikająca nie ze złej woli, lecz poprostu z lekkomyślności.

Solidności może nauczyć szkoła. Wiele zależy od sposobu nauczania, od tego, czy się kładzie dostateczny nacisk na dokładność w nauce, na opanowanie szczegółów, czy się nie lekceważy „drobiazgów”. Można mieć duże wątpliwości, czy dzisiejszy system nauczania odpowiada temu postulatowi; bodaj, że uczy on nawet, mimowoli, niesolidności. W ramy programu nauczania w szkole powszechnej i średniej wtłacza się zbyt wiele przedmiotów, pomijając już okoliczność, że wychowanie fizyczne, „państwowe” i t. d. pochłania wiele czasu. W nauczaniu historii, matematyki, fizyki i t. d. wprowadza się tematy, których nie mogą opanować niedojrzałe umysły. Trudno coś powiedzieć w szkole powszechnej o ustroju społecznym za Piastów, a wyższa matematyka, uprawiana w szkole średniej, nie pozwala czasem na dobre opanowanie tabliczki mnożenia. Zapomina się o starej zasadzie: non multa sed multum. W ten sposób szkoła nieraz uczy poprostu powierzchowności, błyskotliwości, a nie daje podsta-

wowych elementów różnych gałęzi wiedzy. Niewątpliwie trzeba u dziecka rozwijać fantazję; czy jednak brak fantazji jest jedną z wad, których usunięcie jest najważniejsze, można mieć duże wątpliwości. Trzeba rozwijać samodzielność, jednakże nie w ten sposób, by łączyło się to z nadmierną pewnością siebie, lekceważeniem elementarnych faktów i ich nieznanomością. W każdym razie w dusze społeczeństwa powinny wniknąć głęboko takie proste prawdy: „tylko szczerzy wysiłek, uczciwa praca, słowem rzetelność, wszędzie i zawsze doprowadzą nas do tężyzny, doskonałości, a ta zjedna nam zaufanie i zapewni powodzenie u swoich i u obcych. Wszelką błagę, powierzchnowość, niesumienność, powinniśmy konsekwentnie i bezwzględnie tępić, jako szkodliwe dla jednostek zarówno, jak i dla ogółu, bo nie jest bezpiecznie ani przyjemnie mieć stosunki osobiste lub majątkowe z takimi ludźmi, względnie z takim społeczeństwem”. (Fr. Bujak¹⁾).

Tenże autor zwraca uwagę na inną jeszcze wadę, tamtej pokrewną. „Tak rozpowszechniony jest u nas dyletantyzm, brak umiejętności zawodowej, że niemal nie jest paradoksem powiedzieć: iż u nas się niczego porządnie nie robi, ponieważ się niczego porządnie nie umie. Wśród chłopów, rzemieślników, kupców i pedagogów przeważa typ pracownika nieobeznanego ze współczesnym stanem swojego zawodu, stosującego przekazane przez tradycję sposoby, nieznającego współczesnych metod i narzędzi pracy”.

Słowa te pisane były w czasie wielkiej wojny. Czy od tego czasu zmieniło się wiele na lepsze? Mamy więcej szkół, więcej ludzi z patentami, mamy nawet w niektórych dziedzinach pogoń za nowymi metodami pracy, nie zawsze szczęśliwą. Ale dyletantyzmu jest bardzo wiele. I niestety jego przykłady, jego sui generis propaganda, idzie niejako z góry. Spotykamy się niejednokrotnie z faktem, że do wykonywania różnych zawodów, wymagających fachowego przygotowania, biorą się dyletanci. Za to nie ponosi oczywiście bezpośredniej odpowiedzial-

¹⁾ Fr. Bujak, Myśli o odbudowie 1916, str. 23 i 13.

ności szkoła, lecz system doboru sił, zwłaszcza w administracji państwowej, który nie liczy się z fachowością. Najbardziej odpowiedzialne stanowiska powierza się ludziom, którzy do nich nie są zupełnie przygotowani, którzy potrafią wszystko, a niczego dobrze nie umieją. Czasami podziw ogarnia, jak człowiek, zupełnie nieprzygotowany do zajmowanego stanowiska, z wielkim tupetem bierze się do „pracy”. Niektórzy z tych ludzi uczą się, robiąc błędy, ale ta nauka zbyt wiele państwo kosztuje. Trudno ściśle obliczyć, wiele strat wyrządza lekceważenie fachowości w gospodarce państwowej; w każdym razie te straty są ogromne.

Oczywiście nie wynika z tego, żebyśmy byli niezdolni wykształcić fachowców, chociaż istotnie, mimo nadmiaru ludzi z patentami, brakuje ich w niektórych dziedzinach życia. Ale wszystkiego nie da szkoła; do wykształcenia fachowego potrzeba życiowego doświadczenia, a tego jeszcze nie mogliśmy zdobyć. W każdym razie jest pewne, że w innym społeczeństwie niektóre „bajeczne karjery” nie byłyby możliwe. Zabiłaby je rychło śmieszność. W społeczeństwie, w którym naprawdę ceni się specjalizację, w którym od człowieka wymaga się przede wszystkim, by umiał dobrze wykonywać swój zawód, brak jest atmosfery, sprzyjającej tego rodzaju eksperymentom. W doborze ludzi rządzi pewien ład i zmysł realny. My zaś mamy słabość do dyletantyzmu. Gdy ten dyletantyzm zdołamy wypłenić, podniesiemy na wyższy poziom nasze życie gospodarcze.

3. Wytrwałość, solidność i fachowość są to zalety, które mają doniosłość dla życia gospodarczego, ale nietylko dla niego; są to zalety o charakterze ogólnym. Czy jednak nie należałoby dążyć do przeobrażenia naszej psychiki w tych jej właściwościach, które już bezpośrednio dotyczą gospodarczej działalności i gospodarczej kultury. O rozwoju gospodarczym narodu rozstrzyga nietylko to, jakie on ma zasoby naturalne, jakie ma zdolności, lecz również jak on pracuje, jak umie zrównoważyć swoje dochody z wydatkami, jaka jest jego skala życia. I w tej dziedzinie występują ostre zarzuty ze strony swoich i obcych. Dobrze pamiętamy szyderstwa Bismarcka na

temat szlachty polskiej, jeżdżącej do Monaco. A ile razy myśmy sami narzekali na życie nad stan!

Utracjuszostwo nie jest jakąś cechą, któraby występowała u niektórych tylko narodów. Przyznaje się żydom wielką sprawność i zapobiegliwość gospodarczą, a przecież i żydzi potrafią puszczać pieniądze. Gdy jednak ten objaw dotyczy jednostek, różnych wykołajeńców, niema większego znaczenia. Pospolity to los wielkich fortun, gromadzonych przez całe pokolenia, że przyjdzie jakieś nowe pokolenie, które nie potrafi utrzymać ich w rękę. Inna rzecz, gdy życie nad stan stanie się właściwością całych warstw społecznych, lub przeważających ich części.

Życie nad stan ma dwa źródła. Albo jest niem snobizm, chęć dorównania innym. Zachodzi to wtedy, gdy ziemiannin na kilkunastu lub kilkudziesięciu włókach chce żyć jak hrabia; gdy kupiec robi z siebie wielkiego pana, choć handel nie przynosi mu dostatecznego dochodu. Niekoniecznie to życie nad stan musi się wyrażać w jakimś jaskrawym zbytku, w rozrzucaniu pieniędzy na prawo i lewo; czasami najwięcej kosztuje usiłowanie przejścia do innej warstwy społecznej, np. gdy ktoś, kto w handlu lub przemyśle dorobił się skromnych oszczędności, nabyma majątek ziemski, który go rujnuje, bo nie umie na nim gospodarzyć. W każdym razie mamy tu do czynienia z podniesieniem się skali życiowej ponad rzeczywistość zdolność zarobkową.

Drugi wypadek życia nad stan zachodzi wówczas, gdy jakaś warstwa społeczna, tracąc swoją dotychczasową pozycję ekonomiczną, mając mniejszy, niż przedtem, udział w rozdziale dochodu społecznego, nie chce czy nie umie dostosować do tego swojej skali życiowej. Mimo, że jej dochody się zmniejszają, nie chce się zdobyć na ograniczenie swojej konsumpcji, na obniżkę stopy życiowej. Ten rodzaj życia nad stan nie występuje tak jaskrawo jak poprzedni, ale skutki jego są bardziej rozległe. Wiele jednostek, które nie chciały mniej wydawać mimo mniejszych dochodów, zjadało przez szereg lat swój majątek, aż wreszcie spotkała je katastrofa.

Trudno wymierzyć, o ile brak zmysłu oszczędności i przezorności występuje u nas silniej, niż w innych kra-

jach. Sam fakt nie ulega wątpliwości. Ogromnie wrażliwi jesteśmy na to, jak wyglądamy, przywiązani do zewnętrznych form życia, mniej do jego treści. Objaw ten występuje we wszystkich niemal warstwach ludności, oczywiście tylko wtedy, gdy na to mogą sobie pozwolić. Ujemny wpływ wywiera także i państwo, przez swój zbyt reprezentacyjny w budowlach, w ich urządzeniach, przyjęciach i t. d. Nie trzeba cytować przykładów, zbyt dobrze są znane. Niektórym ludziom się zdaje, że powaga urzędu zależy od jego „reprezentacji”, że nie wolno przyznać się do ubóstwa.

Wspomnieliśmy o tem, że żyje się nad stan przez snobizm. Objaw ten istnieje w różnych krajach, przecież nazwa jego powstała w Anglii i tam to zjawisko jest bardzo rozpowszechnione. Ale inaczej wygląda snobizm angielski od naszego. Do pojęcia angielskiego gentlemana należy nieodzowny rachunek czekowy w banku; nasz „gentleman” ma przeważnie długi w banku lub u lichwiarzy. Na człowieka, który nie wydaje całego swojego dochodu, który oszczędza, patrzy się krzywo; widzi się w nim sknerę. Niewątpliwie skąpstwo jest grzechem, ale byłoby lepiej, gdyby ten grzech upowszechnił się na miejsce grzechu rozrzutności.

Byłoby jeszcze pół biedy, gdyby ludzie rozrzutni wydawali to, co mają. Ale często wydaje się to, czego się nie ma, czyli pożyczone pieniądze. Wskazaliśmy poprzednio na wielkie ujemne znaczenie lekkomyślności kredytowej. Jej źródłem jest nie tylko nadmierny optymizm w inwestycjach, lecz również i chęć wydawania, życia nad stan. Niewątpliwie ostatnie lata nauczyły wiele, zmusiły niemal wszystkie warstwy społeczeństwa do obniżenia stopy życiowej. Do niższej stopy życiowej będzie trzeba się przystosować nie tylko w konsumpcji, lecz również i w kosztach produkcji. Nie będzie można liczyć na wielki zysk przy wysokich cenach i płacach. Społeczeństwo powinno zrozumieć, że jest naprawdę ubogie. Nasze ubóstwo musi stać się punktem wyjścia gospodarki, tak publicznej, jak i prywatnej.

Wymaga to zarówno innej kalkulacji gospodarczej, innego stosunku do nowych nakładów i ciężarów kredyto-

wych, a zarazem gruntownego przeobrażenia psychiki społecznej. Nie wszystkie właściwości duchowe, któreśmy odziedziczyli po dawnych pokoleniach, nadają się do dzisiejszych czasów. Wskazaliśmy poprzednio na to, że Polszej psychice zbiorowej brak jest tych cnót, które reprezentuje mieszczaństwo. Dużo jest u nas szlacheckich tradycji. Chłop, który się dorabia, który się podnosi socjalnie, nieraz jednak upodabnia się do dawnej szlachty. Gdy do dobrych właściwości tych warstw dołączają się dodatnie cechy mieszczańskie, wówczas staniemy się bardziej zdolnymi do gospodarczej walki. Nasze życie gospodarcze straci dużo bujności, powierzchownego rozpędu, fantazji, stanie się bardziej szare. Czeka nas jednak ciężka i długa walka, którą można wygrać przez wytrwałość, przygotowanie fachowe, solidność i zmysł oszczędności. Te skromne, pospolite zalety rozstrzygną o rozwoju i wielkości naszego gospodarstwa narodowego.

Czasami uważa się za naszą wadę narodową brak zamiłowania do pracy. Bardzo mocno podkreśla to p. Wł. Grabski w rozprawie o „Wychowaniu gospodarzem społeczeństwa”. Z przykładów, przez niego nagromadzonych wynika, że ten brak nie jest właściwością tylko niektórych „wyższych” warstw społecznych, lecz występuje także u ludu. „Badania statystyczne niemieckie wykazały, że wieśniak polski oddaje swe gospodarstwo synowi, by spocząć, idąc na alimenty, we wcześniejszym wieku niż niemiecki. We wsi polskiej u gospodarzy, mających więcej gruntu więcej spotyka się służby i najemników niż w niemieckiej. Wszystko to wskazuje, że wieśniak polski, choć znany jest z tego, że wstaje do dnia i krząda się chętnie około swego gospodarstwa, nie może być uznany za wybitnie pracowitego. Włościanin polski nieco zamożniejszy chętnie wyręcza się służbą i zawsze usuwa się od prac cięższych, zostawiając dla siebie doglądanie inwentarza, wyjazdy na targi i jarmarki i t. p. Duża ilość służby i komorników u włościan zawsze była w naszych wsiach cechą charakterystyczną, pomimo małej ilości ziemi, jaka na rodzinę u nas przypada”¹⁾.

¹⁾ Władysław Grabski, Wychowanie gospodarcze społeczeństwa 1929, str. 19.

Niewątpliwie można przez porównanie stwierdzić, że żywioły obcego pochodzenia, zamieszkujące ziemie polskie, odznaczają się większą od nas pracowitością. Koloniści niemieccy pod tym względem mogą być wzorem. Zamożny kolonista sam pracuje od rana do nocy, nie cofa się przed żadną pracą. Niemiecki fabrykant, właściciel średniego zakładu przemysłowego, nie wyręcza się płatnym dyrektorem, lecz nieraz nawet całą swoją rodzinę zatrudnia w warsztacie. Posiadanie majątku przez ojca zbyt często jest tytułem, który zwalnia niejako młode pokolenie od pracy w ojcowskim warsztacie. Gdy powstaje jakaś nowa spółka akcyjna, nieraz tworzy się zbyt wielki zarząd, różnych w nim dygnitarzy, którzy myślą o synekurach, a prowadzenie przedsiębiorstwa, które jeszcze nie utrwaliło swojego bytu, zostawia się wynajętym siłom. Był czas, gdy w Polsce na każdym kroku można było spotkać jakiegoś „dyrektora”, ale niekoniecznie przy pracy. Gdy się porówna tempo pracy i jej organizację w jakimś biurze na Zachodzie z naszymi stosunkami, to łatwo sprawdzić, że u nas ta praca idzie dość ospale, przerywana jest różnemi zajęciami towarzyskimi, a nie podlega bardzo ścisłej dyscyplinie.

4. Zjawisko to, występujące w różnych postaciach, ma różne źródła; możnaby je rozbić na kilka czynników, które mają rozmaitą genezę. U warstw, niżej kulturalnie rozwiniętych, brak zamiłowania pracy pochodzi po prostu z braku potrzeb. Gdy potrzeby są niskie, pracuje się tylko tyle, by zaspokoić ich minimum. Do Ministerstwa Skarbu zgłosił się raz jeden przedsiębiorca drzewny z kresów z zapytaniem, czy nie będzie nałożony jaki nowy podatek gruntowy, wyjaśniając, że taki podatek byłby potrzebny do utrzymania tartaków w ruchu. Albowiem chłopci miejscowi pracowali w tartaku wtedy, gdy mieli płacić podatki; gdy je zapłacili z zarobku w przemyśle drzewnym, rzucili pracę, chociaż nie mieli jeszcze robót w polu, a płaca nie była niższa, niż w innych stronach kraju. Było to dość dawno temu, gdy jeszcze robotnika trzeba było szukać i na wsi nie było takiej biedy jak dzisiaj. W każdym razie niski stan potrzeb nie w każdych warunkach jest objawem dodatnim.

Wręcz odmienne źródło ma brak zamiłowania pracy, występujący wśród innych warstw ludności. Jest wyrazem pewnej „pańskości”, chęci życia na wyższą skalę, niż pozwalają na to warunki ekonomiczne. Ziemianin, który nie pilnował majątku, a spędzał dużo czasu na wyjazdach, który wyręczał się rządcą, to typ dobrze znany z dawnych czasów. Znanym jest również syn kupca lub fabrykanta, który wstydzi się swojego pochodzenia, a naśladuje inne warstwy w wydawaniu pieniędzy. Specjalną odmianą tej psychiki jest lekceważenie pewnych rodzajów pracy, pogarda dla pracy fizycznej, niechęć występująca tu i ówdzie, choć w mniejszych rozmiarach niż dawniej, do zawodu kupieckiego i rzemieślniczego. Pod tym względem zaznacza się u nas oddziaływanie pojęć, wytworzonych pod byłem panowaniem austriackim, gdzie rozrosło się nadmiernie zamiłowanie do zawodu urzędniczego. Urzędnik, choćby lichy płatny, żyjący całe życie w ukrywanej biedzie, uchodził za coś lepszego, za wyższy gatunek człowieka. Wiele pod tym względem się zmieniło i jeszcze się zmieni. Jednakże i obecnie można zauważyć, że młode pokolenie nie garnie się dostatecznie do zawodów, wymagających wysiłku fizycznego, ryzyka, wytrwałej pracy, prowadzonej na własny rachunek — za dużo w niem jest kandydatów do dyplomacji i wogóle do takich zawodów, w których można błyszczeć.

Niedomagania naszego charakteru narodowego w dziedzinie gospodarczej są wytworem rozwoju dziejowego Polski, skutkiem błędów, popełnionych w przeszłości. W czasach nowożytnych, gdy tworzyły się podstawy dzisiejszego ustroju gospodarczego, Polska szła innemi drogami, niż cała Europa. Nie wzięła udziału w walce ekonomicznej, którą od XVI wieku prowadziły inne państwa. Mając wielki wywóz, oddała go w ręce obce. Nie stworzyła u siebie nowoczesnego przemysłu i handlu. Nie dbała o morze, handel morski, cofnęła się w zacisze życia wiejskiego. Jak pisał ks. Piotr Grabowski w r. 1596 („Polska Niżna albo Osada Polska”): „Insze narody krzewią się i mocnią po świecie szeroko, krzewi się Niemiec po wszystkich państwach w Europie kupiectwem, rzemiosłem, żołnierką a nawet i agrykulturą... Krzewią się Hiszpani, Włochy,

Anglikowie po wyspach i brzegach morskich nieskończonych, po Indjach szerokich i bogatych"... Polska w tem nie uczestniczyła, wołała z zagranicy sprowadzać towary, niż wyrabiać je u siebie.

To zejście ze sceny wielkich przemian ekonomicznych i społecznych, martwota życia gospodarczego Polski od końca XVI prawie po koniec XVIII wieku, to wszystko stało się jednym ze źródeł upadku Polski. W dobie rozbiorów Polska była złożona z trzech warstw: szlachty o bardzo ciasnym horyzoncie gospodarczym, biernej masy chłopskiej i żydów, którzy ujęli handel w swoje ręce. Wielkie przemiany zaszły dopiero w dobie rozbiorów. Co prawda wysiłek, dokonany po pierwszym rozbiorze, by doścignąć w ustroju gospodarczym inne narody, nie zdał się na wiele, lecz w XIX w. przeobrażenia społeczno-gospodarcze poszły głębiej. Powstaje wielki przemysł fabryczny, który zdobywa dalekie rynki. Ludność chłopska dochodzi do czynnej roli. Zaczyna się, przynajmniej w niektórych dzielnicach, rozwijać warstwa średnia, polskie mieszczaństwo. Rośnie zrozumienie walki ekonomicznej, jako narzędzia utrzymania narodowej odrębności. W dziejach dawnej Polski z trudem szukamy postaci, któreby zaznaczyły się wybitnie w dziedzinie ekonomicznej i finansowej. Po utracie niepodległości wydaliśmy Lubeckiego, Steinkellera, ks. Warzyńskiego, Szczepanowskiego, Stefczyka i innych. I dzisiaj już mamy podstawy do tego, by usuniętą została dawna jednostronność struktury społecznej, byśmy mogli zmienić swoją psychikę gospodarczą, uniknąć dawnych zaniedbań i błędów. Już innym jest nasz stosunek do morza, niż był w dawnej Rzeczypospolitej, inaczej zaczynamy patrzeć na pracę gospodarczą, na handel i przemysł. Możemy wyleczyć się z tych wad narodowych, które szczególnie dotkliwie odbijały się na naszym gospodarstwie.

By wad się wyzbyc, by uniknąć na przyszłość wielkich błędów, które popełniliśmy od czasu odzyskania niepodległości, trzeba spojrzeć prawdzie w oczy, trzeba, bez romantyzmu gospodarczego, zdać sobie sprawę z istoty trudności naszego gospodarczego życia. Powierzchny optymizm nie jest dodatnim objawem, a płytkie

chwalenie się rzekomymi sukcesami i zdobyczami, podlane patryotycznym sosem, usypia czujność i osłabia energię narodu. Praca niniejsza daleką jest od tego rodzaju optymizmu. Przed zdrowym narodem nie można ukrywać trapiących go chorób. Czekają nas ciężkie walki o utrzymanie i wzmocnienie naszej samodzielności gospodarczej, walki, których nie rozstrzygnie żadna improwizacja, żaden krótki wysiłek, zabezpieczający spokój na długie lata. Doświadczenia ostatnich czasów powinny nas wiele nauczyć.

SPIS TREŚCI.

Rozdział I. Przesłanki i zasadnicze fakty.

	<i>Str.</i>
1. Cel gospodarstwa narodowego	5
2. Zasoby naturalne Polski	7
3. Zjednoczenie gospodarcze	10
4. Zależność od zagranicy	12
5. Przyrost naturalny ludności	15
6. Konsekwencje przyrostu ludności	17

Rozdział II. Kapitalizacja.

1. Pojęcie kapitalizacji	20
2. Lokaty długoterminowe	21
3. Akcjonariusz	24
4. Wkłady oszczędnościowe	26
5. Wkłady bezterminowe	28
6. Słaby przyrost kapitału	30

Rozdział III. Bilans płatniczy.

1. Walka o bilans płatniczy	32
2. Bilans płatniczy Polski bez obrotu towarowego	34
3. Ciężar długów zagranicznych	37
4. Znaczenie bilansu handlowego	40
5. Wyniki obrotów towarowych	41

*Rozdział IV. Handel zagraniczny
i zewnętrzna polityka handlowa.*

	<i>Str.</i>
1. Nadwyżka wywozu	44
2. Samostarczalność	45
3. Stosunki z krajami wierzycielskimi i dłużniczymi.	48
4. Granice protekcjonizmu	52
5. Dumping	55
6. Struktura handlu zagranicznego.	58
7. Trudności eksportu	60

Rozdział V. Kredyt i obce kapitały.

1. Kredyt oficjalny i podziemny	63
2. Etatyzacja kredytu	65
3. Lekkomysłność kredytowa	70
4. Niebezpieczeństwo kredytów inwestycyjnych	72
5. Kredyty zagraniczne	74
6. Obce kapitały	78
7. Likwidacja przesilenia kredytowego	81
8. Uwagi ogólne	84

Rozdział VI. Ciężary publiczne.

1. Udział państwa w dochodzie społecznym	87
2. Rozmiar ciężarów publicznych	89
3. Wskaźniki siły płatniczej	92
4. Kogo utrzymuje państwo	94
5. Rozmiary gospodarki państwowej	98

*Rozdział VII. Równowaga gospodarcza; kartele
i wolna wytwórczość.*

1. Nasze przesilenie	106
2. Wzajemna zależność działów produkcji	108
3. Równowaga cen	111
4. Zagadnienie karteli	113
5. Ceny kartelowe a koszty produkcji	116
6. Polityka kartelowa	120

Rozdział VIII. Kapitał a „praca”; zagadnienia robotnicze.

	<i>Str.</i>
1. Wzajemna zależność kapitału i pracy	126
2. Płace robotnicze	130
3. Syndykalizm i korporacjonizm	133
4. Ubezpieczenia społeczne	137
5. Przymusowa oszczędność	140
6. Uboczne skutki ustawodawstwa społecznego	142
7. Ogólne wnioski	144

Rozdział IX. Struktura społeczna Polski; warstwa średnia.

1. Parcelacja własności rolnej	148
2. Nadmiar ludności wiejskiej	152
3. Zatrudnienie tej ludności	153
4. Rzemiosło i średni przemysł	155
5. Handel	164
6. Żydzi w handlu	170
7. Przyszłość warstwy średniej	175

Rozdział X. Podstawy ustroju gospodarczego.

1. Podstawy prawne ustroju	179
2. Stosunek państwa do własności prywatnej	184
3. Państwo a gospodarstwo narodowe	189
4. Trudności gospodarki państwowej	191
5. Wychowawczy wpływ gospodarki państwowej	194
6. Liberalizm a wolność gospodarcza	198
7. Nacjonalizm a wolność gospodarcza	200

Rozdział XI. Wychowanie gospodarcze.

1. Charakter narodowy	203
2. Ogólne wady naszego charakteru	205
3. Wady charakteru w gospodarstwie	210
4. Możliwości naprawy	214



25.-

